

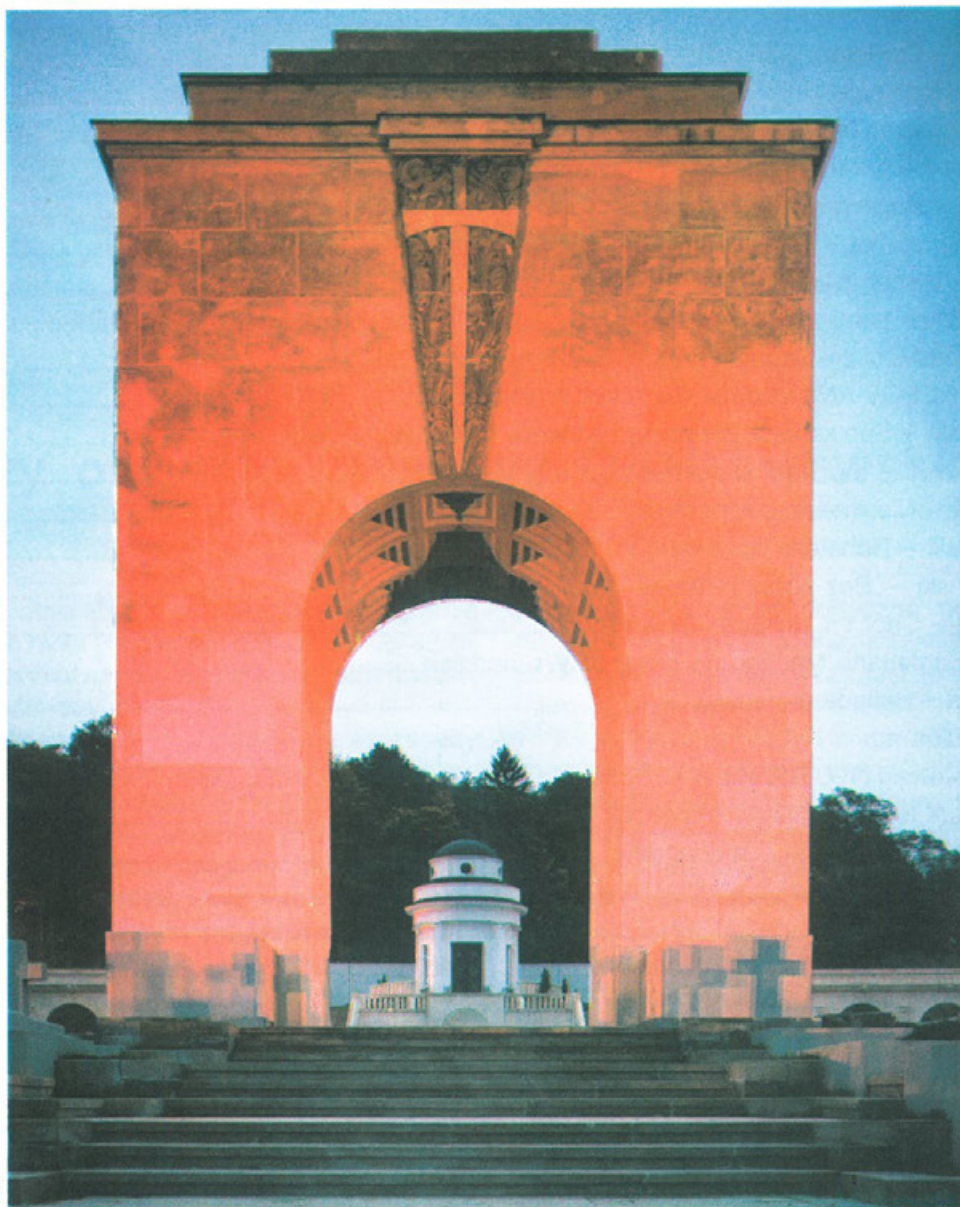


SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MAJ-CZERWIEC 3(86) 2005

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH • WROCŁAW



Odbudowany z pietyzmem przez Polaków Cmentarz Obrońców Lwowa od 2001 roku czeka na oficjalne otwarcie. Czy Kamienne Lwy, strzegące kiedyś spokoju Orląt, powrócą z tułaczki na przedmieściach Lwowa na swoje miejsca pod Łukiem Chwały, by pełnić swą straż?

Fot. Krzysztof Hejke

Spis treści

Józef Pieluszczyk – Czy otwierać Cmentarz Orląt Lwowskich?	1
Zbigniew Umański – Korzenie i tożsamość Wrocławia	2
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	3
Kazimierz Wesolowski – Sześćdziesiąt lat minęło	7
Maria Poznańska – Byliśmy na Monte Cassino na spotkaniu z Ojcem Świętym... ..	10
Elżbieta Żołyńska – ... i w Bolonii	11
Władysław Stążka – Moja droga do medycyny i zawodu lekarza (II)	13
Tadeusz Ulrych – Tadek: życiorys (II)	16
Iwo Werschler – Morderstwo w Truskawcu	19
Stanisław Majerski – Legia Akademicka na lwowskich wyższych uczelniach	22
Edward Gil – Młodzieńcze lata Ojca Świętego Jana Pawła II na Ziemi Lwowskiej i moje pielgrzymowanie do Lwowa	24
Janina Oparowska – Tu był Ojciec Święty – Jan Paweł II – wiersz	25
Jerzy Duda, Dariusz Dzionek – Józef Krajewski – kompozytor i pedagog	26
Jerzy Duda – Pamięć kresowych przesiedleń	27
Zbigniew Umański – Cmentarz Obrońców Lwowa. Zagłada i odbudowa	29
Grażyna Hońdo – Spotkanie Orląt	33
Anna Celińska, Wojciech Tesarczyk (nauczyciele historii), Marlena Sicińska, Elżbieta Wojdat (nauczyciele-bibliotekarze) – Orlęta Lwowskie i Lwów	34
Małgorzata Deska – Arcylwowanie patronami częstochowskich szkół	35
Maria Helena Dobrowolska – Polscy Ormianie	35
Maria Janowska – Wspomnienia z dzieciennych lat (II)	36
Anna Chłech – Tablica pamięci w Katowicach	40
Kazimiera Głogowska-Gosz – Jednym rzutem pod Pnikutem	41
Piotr Franków – KRESOVIANA 2005 w Gorzowie Wielkopolskim	46
Henryk Mitraszewski – Spotkanie z Piosenką Lwowską i Kresową w Jeleniej Górze	48
Janina Oparowska – Nie możemy zapomnieć... ..	49
Janina Oparowska – Nie możemy zapomnieć... – wiersz	50
Henryk Mitraszewski – Bohaterki tamtych lat	50
Aleksander Smoliński – „Bez ognia i miecza” (II)	52
Mieczysław Kowal – Chór im. Juliusza Słowackiego	56
Józef B. Zając – Sanktuaria Maryjne na Kresach Wschodnich	57
Krystyna Angielska – Ballada o Lwowie	58
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Śp. Roman Chrzastowski (1906-2005)	59
Śp. mgr inż. dr nauk tech. Stanisław Kopeczek (1913-2005)	60
J. Kowalczyk – Szkoły lwowskie – monografie	60
Władysław Szklarz – Informacja	60
Gdzie kupić „Semper Fidelis”	60
Lista Ofiarodawców w miesiącach IV-V 2005 r.	61

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
 Redaguje Kolegium: Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI, Zbigniew UMAŃSKI.
 Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel./fax 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631
 Nowe konto:

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.



Cmentarz Obrońców Lwowa – czerwiec 1939 rok

Czy otwierać Cmentarz Orląt Lwowskich?

(Artykuł dyskusyjny)

W dniu 20 kwietnia 2005 roku słyszałem w programie trzecim polskiego radia fragmenty kontrowersyjnej audycji na temat: „czy otwierać Cmentarz Orląt Lwowskich we Lwowie, czy nie”.

Nie jestem dziennikarzem i dalekie mi są zasady manipulowania słuchaczami, choć wcale nie twierdzę, że wszyscy dziennikarze manipulują takowymi. Gdybym miał jednak takie możliwości i ogłosił w radiu temat: „czy należy zlikwidować program trzeciego polskiego radia, czy nie”, wywołałbym zapewne niesamowitą wrzawę i zamieszanie. Zostałbym niewątpliwie nazwany „oszołomem”. Wcale jednak nie jestem taki pewny, czy nie znalazłoby się trochę ludzi, którzy słysząc taką audycję na taki temat, mieliby coś przeciwko programowi trzeciemu i dzwoniłoby z głosem na „tak”.

Patrzę jednak na ten problem trochę inaczej, myśląc po swojemu: „LUDZIE DO CZEGO TO DOSZŁO”, aby polskie media decydowały się na tego typu rozważania.

Przez 50 lat nie wolno było na temat Cmentarza Orląt Lwowskich wspominać. Wyrosły trzy pokolenia społeczeństwa polskiego, które raczone były historią sfalszowaną. Obecna polityka państwa też nie dąży do ujawnienia prawdy, bo zawsze stoją na przeszkodzie

innego rodzaju interesy polityczne i gospodarcze. Prawda jest bardzo niewygodna, a rząd polski skłonny jest do licznych przeprosin, czy jest to zdecydowanie potrzebne, czy nie.

W tej sytuacji każdy kto ma odmienne zdanie, kto zna prawdę z opowiadań rodziców, dziadków, a nie ma podstaw, aby nie wierzyć rodzicom, bo niby dlaczego? Jak dawać wiarę polskiemu rządowi, który już niejednokrotnie zawiódł to pokładane w nim zaufanie? Proszę zauważyć, że człowiek mający odmienne zdanie w takich drażliwych tematach jak „Cmentarz Orląt Lwowskich”, uznawany jest za takiego, który nie dąży do pojednania, który szuka zwady, który nie wiadomo czego chce.

Na Boga – Ludzie! Opamiętajcie się, kierujemy się przecież zasadami, jakich nauczył nas Ojciec Święty Jan Paweł II:

1. Mówić tylko prawdę, nie fałszować historii.

2. Naród, który nie szanuje swojej historii, nie pamięta o prawdziwych wydarzeniach, traci swoją tożsamość, jest podatny na wszelkiego rodzaju sugestie.

Takim narodem można manipulować, jak choćby publikując tego typu audycje w programie trzecim polskie-

go radia „otwierać Cmentarz Orłąt Lwowskich czy nie”. Może nie, bo potrzeba chwili jest taka, po co mamy zadrażniać naszego sąsiada? itp.

Ile mówi się na temat Orłąt Lwowskich we współczesnych podręcznikach historii?

Skąd niby młodzież i ich rodzice mieliby nauczyć się prawdy o Orłętach Lwowskich?

„Trójka” osiągnęła swój zamierzony cel. Większość słuchaczy opowiedziała się, aby zaniechać otwierania Cmentarza Orłąt Lwowskich, aby nie psuć dobrych stosunków między Ukraińcami i Polakami. Tylko tak dalej, a może za kilka lat będziemy mieli nowe audycje typu „Czy Lwów kiedykolwiek należał do Polski?”, „Czy Polacy wybudowali Oświęcim, czy nie?”, „Czy w bitwie

o Monte Cassino brali udział Polacy, czy nie?” itp. Po gratulować!

Tylko tak dalej, drobnymi kroczkami do celu, jakiego? Aby zbałamucić młodzież, społeczeństwo. Komu to potrzebne?

Może ktoś napisze co sądzi o tym krótkim artykule? Odchodzą świadkowie, odchodzą ludzie, których uczono o Orłętach Lwowskich. Kłamstwo króluje już od pół wieku i w tej sytuacji bardzo przykro jest słuchać tego rodzaju publikacji.

Z poważaniem
Józef Pieluszczyk

Zbigniew Umański

Korzenie i tożsamość Wrocławia

8 maja 60 lat temu zakończyła się II wojna światowa w Europie. We Wrocławiu trwała najdłużej. Dopiero 6 maja 1945 r., po 80 dniach zacieklej obrony, Festung Breslau skapitulowała. Wielkie i niegdyś piękne miasto nad Odrą, jego niemieccy mieszkańcy, Polacy przywiezieni tu po upadku Powstania Warszawskiego i na roboty przymusowe oraz inni zamknięci w mieście-twierdzy, najdłużej doznawali wszystkich okropności tej wojny. Dlatego 60 lat później, w polskim Wrocławiu wzniesionym na gruzach Breslau, odbyły się centralne obchody rocznicy zakończenia tej strasznej wojny w Polsce i w Europie. Uczestniczyli w nich prezydent RP A. Kwaśniewski i ponad 700 zaproszonych gości – 60 ambasadatorów (Rosję reprezentował dyplomata niższej rangi), polityków, duchownych różnych wyznań oraz przedstawicieli środowisk kombatanckich z całego świata, wśród nich Ryszard Kaczorowski, były prezydent RP na uchodźstwie, a także Eugeniusz Cydzik, uczestnik walk we wrześniu 1939 r., honorowy prezes Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie, w tym na Cmentarzu Obrońców Lwowa i wielu innych kombatan-tów z Kresów.

Złożono hołd pamięci żołnierzom polskim i radzieckim, którzy oddali życie, żebyśmy mogli żyć w pokoju. Na Cmentarzu Żołnierzy Polskich na Oporowie odbył się uroczysty Apel Poległych z udziałem Kompanii Honorowej WP, prezydenta RP, min. obrony narodowej J. Szmajdzińskiego oraz kombatan-tów. Potem, również niezwykle uroczyste, złożono wieńce i kwiaty na grobach oficerów radzieckich na Cmentarzu na Krzykach.

Główne obchody 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej odbyły się na wrocławskim Rynku. Rozpoczął je wielki koncert „Misterium iniquitatis, czyli tajemnica nieprawości”. Motywem przewodnim były myśli Jana Pawła II z książki „Pamięć i tożsamość” oraz teksty biblijne recytowane w różnych językach przez znanych polskich aktorów. Głównym elementem scenografii był tor kolejowy i wagon bydlęcy – symbol transportów wojskowych, transportów śmierci, przesiedleń, repatriacji i ekspatriacji. Podczas koncertu na telebimach wyświetlano filmy i fotografie z okresu II wojny światowej, o wojennym Wrocławiu, jego odbudowie. To było wielkie

widowisko (autorstwa R. Kołakowskiego i H. F. Tabęckiego), zrobiło wielkie wrażenie na zebranych na Rynku.

W części oficjalnej wystąpili prezydenci Kwaśniewski i Wrocławia, gospodarz uroczystości Rafał Dutkiewicz (ich przemówienia, oceniające inaczej niż dotąd wydarzenia w Europie i w Polsce z perspektywy 60 lat – podały obszernie prasa, radio i TV) oraz przedstawiciel kombatan-tów płk Józef Borowiec, żołnierz Armii Krajowej, a następnie uczestnik walk II Armii Wojska Polskiego, który w przejmujący sposób opowiedział o koszmarze wojny. W trakcie uroczystości prezydent RP awansował do rangi generałów płk. Tadeusza Andersa, płk. Mieczysława Bakę oraz płk. Zbigniewa Ścibora Rylskiego. Defilada wojskowa zamknęła oficjalną część bardzo podniosłych, a zarazem widowiskowych uroczystości wrocławskich.

Centralne obchody 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej we Wrocławiu były okazją, aby przypomnieć i pokazać oficjalnym i zaproszonym gościom, turystom zagranicznym odwiedzającym coraz częściej miasto nad Odrą, a także krajowym i ...samym wrocławianom (którzy nie pamiętają lub zapomnieli!) o korzeniach polskiego Wrocławia i jego tożsamości. Gospodarze miasta skorzystali z tej szansy i zlecili Muzeum Powstania Warszawskiego (wyspecjalizowanemu w tworzeniu wielkich ekspozycji) zorganizowanie wystawy „Korzenie miasta. Wrocław 1945-2005”. Urządzono ją w dwóch starych wagonach towarowych – takich, w jakich większość ekspatriowanych kresowian dotarła nad Odrę – które ustawiono na wrocławskim Rynku, oraz na ich zapleczu.

W pierwszym wagonie: 1945 rok – reprodukcje niemieckich plakatów z zarządzeniami hitlerowskiego gauleitera Hantkego z 19 stycznia 1945 r. nakazującymi mieszkańcom Breslau bezwzględną ewakuację z miasta w czasie bardzo mroźnej zimy (do 8 lutego opuściło 700 tys. mieszkańców, dla blisko 100 tys. była to droga śmierci), filmy – o upadku Festung Breslau, przesiedlaniu Niemców do alianckich stref okupacyjnych w Niemczech, przyjeździe pierwszych transportów z Polakami ekspatriowanymi z Kresów, o początkach zasiedlania miasta. Informacje: o pierwszym ślubie we Wrocławiu –

29 maja 1945 r. zawarli go Janina Krup i ppor. Maksymilian Heler, o pierwszych narodzinach: 11 czerwca wrocławianina Aleksandra Olbratowskiego i 21 czerwca – wrocławianki Anieli Zalewskiej. Inauguracyjny wykład na Uniwersytecie-Politechnice Wrocławskiej – odbył się 15 listopada o godz. 9.15, a prowadził go prof. Kazimierz Idaszewski ze Lwowa. I oświadczenie pierwszego polskiego rektora prof. Stanisława Kulczyckiego: „Jesteśmy materialnymi spadkobiercami kultury niemieckiej, duchowymi zaś polskiej Uniwersytetu Lwowskiego.”. Na 110 pracowników naukowych pierwszej polskiej wyższej uczelni we Wrocławiu przypadło 103 profesorów, asystentów i innych pracowników lwowskich uczelni.

Z oficjalnej statystyki: największą grupą kresowian, sięgającą 10 proc. ludności Wrocławia są przesiedleńcy ze Lwowa.

Te lwowskie, kresowe korzenie wrocławian możemy odnaleźć w reprodukcjach ogłoszeń matrymonialnych, nazwach kawiarni, restauracji, fryzjerni, piekarni, a nawet magla parowego. W ogłoszeniach poszukujących bliskich, w meldunkach o napadach rabunkowych na pierwszych polskich mieszkańców Wrocławia (najczęściej przez żołnierzy radzieckich), w dokumentach, na zdjęciach i „dobytku” przesiedleńców z Kresów, zgromadzonym na wolnym powietrzu przed Ratuszem.

W drugim wagonie – współczesna historia Wrocławia: stan wojenny, „Solidarność”, Pomarańczowa Alternatywa, powódź i wizyty Jana Pawła II nad Odrą. Można ją zobaczyć na monitorach, usłyszeć w słuchawkach. I poczytać – m.in. reprint pierwszego numeru wrocławskiej gazety „Słowo Polskie”, „podziemne” gazetki „Solidarności”, informacje o Wrocławiu... Tego, co można zobaczyć, usłyszeć, nie da się opowiedzieć, a tym bardziej napisać. Zachęcam do zwiedzenia tej interesującej ekspozycji, przypominającej nam: skąd przyszli-

śmy, kim jesteśmy. Dlatego wyrażając opinię wielu wrocławian, zwracam się do organizatorów wystawy: nie zamykajcie jej po zakończeniu oficjalnych obchodów, zostawcie otwartą na okres wakacji, urlopów, kiedy Wrocław odwiedza najwięcej gości! Niech zobaczą, poznają bliżej korzenie i tożsamość wrocławian i Wrocławia!

Pomysł jej zorganizowania zaproponował gospodarz miasta Zbigniew Brzeziński zwiedzając Wrocław. „Kupili” go i zrealizowali, o czym prezydent R. Dutkiewicz poinformował pomysłodawcę. Ten odpisał:

Drogi Prezydencie,

Jestem zachwycony, że wystawa dotycząca odbudowy Wrocławia stała się faktem. Jestem przekonany, że będzie świadectwem ogromnego zaangażowania i szczerego patriotyzmu mieszkańców, którzy zamienili zrujnowany Breslau w kwitnący, prawdziwie nowoczesny i europejski Wrocław. Gratuluję zarówno organizatorom tego przedsięwzięcia, jak i wszystkim, pełnym poświęcenia mieszkańcom Wrocławia.

Z wyrazami szacunku
Zbigniew Brzeziński

Dziękujemy za uznanie i gratulacje! Gratulujemy również Panu pomysłu wystawy. Tak, powinniśmy być dumni czym stał się, i jest dzisiaj dzięki nam, polski Wrocław. Odwiedzę jeszcze raz wystawę „Korzenie miasta. Wrocław 1945-2005”. Bo jest to wystawa jakby o mnie – ja także przyjechałem tu w sierpniu 1945 roku z Kresów, w takim samym wagonie towarowym do zdruzgotanego wojną Breslau. Mam swoją, skromną cegielkę w dźwignioci Wrocławia z ruin, w jego późniejszym rozwoju. Wrosłem w niego lwowskimi korzeniami, stałem się Wrocławianinem. Z miastem „Semper Fidelis” głęboko w sercu... To moja wrocławska tożsamość. I tysięcy wrocławian. □

WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

Koniec wojny o Orłąt?

Gdy oddajemy do druku ten numer „SF”, mass-media donoszą o „zakończeniu kilkunastoletniego sporu polsko-ukraińskiego w sprawie zakończenia odbudowy i ostatecznego wyglądu Cmentarza Orłąt”. Uczucie ulgi, bo wydawało się, że będzie trwać w nieskończoność. Bo to nie był spór, lecz kilkunastoletnia wojna polsko-ukraińska o Cmentarz Obrońców Lwowa, barbarzyńsko zniszczony za władzy radzieckiej. Nacjonalistyczne środowiska, w tym lwowscy radni, robili wszystko, by nie dopuścić do jego odbudowy w kształcie sprzed 1939 roku i do jego ponownego otwarcia, mimo wcześniejszych uzgodnień. Pamiętamy utrudnianie prowadzenia prac, wreszcie ich wstrzymanie, antypolskie ekscesy na cmentarzu, profanacja grobów Orłąt, napisów itp. Nie wiele dały wizyty i rozmowy sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika we Lwowie i Kijowie.

Impas został przełamany, gdy do władzy doszli przedstawiciele zwycięskiej Pomarańczowej Rewolucji, którą społeczeństwo polskie spontanicznie poparło. Ale nawet wówczas nacjonalistyczni radni lwowscy nadal obstawali przy swoich zastrzeżeniach i nie godzili się na otwarcie Cmentarza. Dopiero osobiste zaangażowanie się prezydenta Juszczeki w rozwiązanie sprawy „Orłąt”, popartego przez wielu ukraińskich intelektualistów oraz części prasy spowodowało, że ten najbardziej drażliwy problem w stosunkach polsko-ukraińskich chyba został rozwiązany.

Wpierw w Kijowie, a 6 czerwca br. w Warszawie doszło do spotkania i rozmów delegacji ukraińskiej, której przewodniczył Oleksandr Zinchenko, sekretarz stanu w kancelarii prezydenta Ukrainy i jego bliski współpracownik z szefem Biura Bezpieczeństwa Jerzym Bahrem i min. Andrzejem Przewoźnikiem. Minister spraw zagranicznych RP Adam Rotfeld potwierdził, że w wyniku negocjacji osiągnięto polityczny kompromis i podpisano specjalne porozumienie. Ostatecznie potwierdzono kompromisową wersję napisu na Mogile Pięciu Nieznanych Żołnierzy z Persenkówki: „Tu leży żołnierz polski poległy za Ojczyznę”, który zastąpi napis: „Nieznany Żołnierzom Bohatersko Poległym za Polskę” (Rada

Miejska Lwowa uznała, że wzmianka o „bohaterstwie” jest zbyt bolesna dla Ukraińców i przez cztery lata uniemożliwiała oficjalne otwarcie Cmentarza Obrońców Lwowa). Powrócą na swoje miejsce pomniki amerykańskiego lotnika i francuskiego piechura. Nie powrócą natomiast Kamienne Lwy, które stały przed wojną przed Łukiem Triumfalnym i miały w łapach tarcze z napisem na jednej „Zawsze wierny”, a na drugiej „Tobie Polsko”, bo w odczuciu lwowskich radnych zbyt mocno podkreślały... polskość Lwowa. Lwy strzegące kiedyś spokoju Orłąt władze sowieckie przeniosły na rogatki miasta. Stoi tylko jeden, drugi zniknął.

Porozumienie zawarte w Warszawie ma teraz zatwierdzić Rada Miejska Lwowa, której cmentarz podlega. Zbierze się 9 czerwca. Jeśli zaakceptuje to porozumienie, wówczas 24 czerwca br. prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Wiktor Juszczenko uroczystie otworzą Cmentarz Obrońców Lwowa. To będzie ważne wydarzenie w stosunkach polsko-ukraińskich. Czy lwowscy radni zdają sobie z tego sprawę?

Publicysta lwowskiego dziennika „Wysokij Zamok” Askod Jeriomina, polemizując z radnymi blokującymi dotąd otwarcie cmentarza napisał: – *Nawet jeśli cmentarz (Obrońców Lwowa – przyp. red.) stanie się panteonem polskiego oręża, ukraińskiemu Lwowowi niczym to nie zagrozi. Polacy i Ukraińcy powinni pójść na kompromis. Kto jednak zrobi pierwszy krok?*

Uczynili go Polacy, choć niełatwo nam to przyszło. Chcemy wreszcie zapewnić bohaterskim Orłom Lwowskim należną im cześć i spokój w miejscu ich wiecznego spoczynku.

Modlitewny akt pojednania

19 czerwca w Warszawie, a 26 czerwca br. we Lwowie odczytany zostanie w świątyniach modlitewny akt pojednania polsko-ukraińskiego. Taką decyzję podjęły wspólnie Konferencja Episkopatu Polski i Synod Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego.

– *Ta modlitwa będzie uroczystym ogłoszeniem przymierza między obydwojema narodami, wybaczenia i zapomnienia dawnych krzywd, które nas dzieliły – powiedział „Gazecie Wyborczej” ojciec Ihor Jaciw, rzecznik kardynała Huzara, dodając: – To będzie wydarzenie nie tylko religijne, ale także polityczne. Znaczenie tego aktu można porównać ze znaczeniem przymierza między elitami Polski i Niemiec jesienią 1989 r. w Krzyżowej.*

Czy faktycznie stanie się takim przymierzem wybaczenia, zależeć będzie od postawy ukraińskich elit, bo wielu jej przedstawicieli nadal gloryfikuje „powstańcze czyny” OUN-UPA, utwierdzając w tym przekonaniu społeczeństwo, zabiega o przyznanie jej weteranom statusu kombatantha (m.in. także premier rządu ukraińskiego). Nie pamiętają jakie „krzywdy” wyrządziła Polakom na Wołyniu, Podolu, ziemi tarnopolskiej, stanisławowskiej, lwowskiej... Czy przypomniał sobie o nich podczas modlitewnego aktu pojednania polsko-ukraińskiego i powiedzą z przekonaniem: „przepraszamy – przebaczymy i prosimy o wybaczenie”?

600 lat lwowskiej Bazyliki Metropolitalnej

Budowę fary lwowskiej z fundacji króla Kazimierza Wielkiego rozpoczęto w drugiej połowie XIV w. Jej budowa trwała, kolejnymi etapami, aż do końca XV wieku.

W 1527 r. świątynia częściowo uciepiała w czasie ogromnego pożaru, który zniszczył niemal cały średnio-wieczny Lwów, jednak szybko została odbudowana. Renesans, jak i kolejne okresy rozwoju architektury, kultury i sztuki wniosły do pierwotnego, gotyckiego wyrazu architektonicznego głównej świątyni Lwowa wiele przeobrażeń i zmian. W swoim dzisiejszym kształcie Archikatedra jest trzynawową, gotycką w swej zasadniczej strukturze przestrzennej budowlą halową z ośmioma dobudowanymi w XVI, XVII i XVIII w. po obu jej bokach kaplicami. Długość świątyni – 57 m, szerokość – 23 m, wysokość wieży – 65 m.

Modliło się tu wielu do Matki Boskiej Łaskawej. Św. Jan z Dukli głosił kazania, 340 lat temu Jan Kazimierz składał ślubowania Królowej Polski, byli tu nuncjusze apostołscy, arcybiskupi. 25 czerwca 2001 r. modlił się w Archikatedrze Lwowskiej przed obrazem Matki Bożej Łaskawej i ozdobił Jej wizerunek koronkami papieskimi Ojciec Święty Jan Paweł II. Tu znajdują się relikwie arcybiskupa lwowskiego Józefa Bilczewskiego oraz księdza Zygmunta Gorazdowskiego, którzy zostali beatyfikowani przez Jana Pawła II w czasie pielgrzymki na Ukrainę. 24 października będą kanonizowanymi, poinformowało Radio Watykańskie.

21 kwietnia w Archikatedrze Lwowskiej odprawiono uroczystą Mszę św. z okazji 600-lecia poświęcenia Bazyliki Metropolitalnej pw. Najświętszej Marii Panny.

List z Londynu

Mieczysław Hampel, prezes Koła Lwowian w Londynie, przesłał do Andrzeja Chłipańskiego, zajmującego się z upoważnienia ZG TMLiKPW powołaniem Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich list, w którym pisze:

– *Bardzo ucieszyliśmy się możliwością utworzenia instytutu, który powinien zająć się obroną przeszłości naszych kochanych Kresów Wschodnich. Całkowicie zgadzamy się z propozycją, bo rzeczywiście, już najwyższy czas na ten temat mówić i pisać. Szczególnie teraz, gdy coraz bardziej szeregi naszych Kresowianów się kruszą. Wczoraj rozmawiałem z Prezydentem Kaczorowskim na ten temat, który wyraził swoją bardzo pozytywną opinię o omawianym projekcie. On sam osobiście nie może zająć się tym zagadnieniem, natomiast jak będzie potrzeba, to będzie wspierał tę inicjatywę.*

Londyńskie Koło Lwowian jak najbardziej popiera tę akcję i prosi o więcej informacji na ten temat.

Inicjatywa TMLiKPW znajduje poparcie nie tylko w kraju.

Kresy we krwi

W krakowskim Pałacu Sztuki czynna była wystawa „Kresy Wschodnie we krwi polskiej tonące”. Wystawę zorganizowało Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia, a kuratorem całości był 80-letni Jan Młodkowski. Wystawa robiła wstrząsające wrażenie na oglądających. Obok nostalgicznych czarno-białych zdjęć miasteczek kresowych oraz fotografii ciał pomordowanych przez Ukraińców Polaków, pokazano kolorowe obrazy krwawych scen egzekucji ludności polskiej przez UPA, okrucieństwa i bestialskie tortury, rozpiatane niemowlęta. Każdy z obrazów podpisano cytatem ze zbioru 400 tortur stosowanych przez UPA, jakie zgromadził zmarły

w ub. roku Aleksander Korman z Wrocławia. Kto namalował te obrazy? Autor nie życzył sobie ujawnienia nazwiska. Sam przeżył te kaźnie, UPA wymordowało mu rodzinę.

Krakowska wystawa pokazująca w sposób naturalistyczny, drastyczny prawdę o tym, co się działo na Wołyniu, Polesiu wzbudziła zastrzeżenia „estety”. „Gazeta Wyborcza” nazwała wystawę kontrowersyjną, a Paweł Smoleński pisał o „epatowaniu okrucieństwem”. Otwierająca krakowską ekspozycję dr Lucyna Kuklińska, jedna z jej organizatorek, broniła autora obrazów. – Ten człowiek całe życie męczył się z brzemieniem Wołynia. „Malarskie impresje” na wystawie dopowiadają to, czego dawniej nie uchwyciły obiektyw aparatu fotograficznego: okrucieństwo, barbarzyństwo, ludobójstwo.

Święto „Ossolineum”

4 czerwca 1817 r. Józef Maksymilian Ossoliński otrzymał od cesarza Franciszka I zgodę na powołanie do życia fundacji swojego imienia. Od 15 lat pracownicy „Ossolineum” świętują ten dzień. Hrabia przekazał skarbnicy narodowej swoje zbiory książek, rękopisów, obrazów, map, medali. Uczynił wielką przysługę ojczyźnie i potomnym. W czasach zaborów „Ossolineum” przypominało Polakom, że są narodem z wielką tradycją.

Ossolińscy zaprosili na swoje święto wielu gości. Dyrektor dr Adolf Juzwenko mówił, co się działo w Zakładzie w ub. roku (z dziedzicem stał się pięknym salonem Wrocławia – przyp. red.), jakie są plany na przyszłość, o ossolińskich skarbach, które są we Lwowie i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będą zwrócone... Ale „Ossolineum” otrzymało milion złotych na skopiowanie lwowskich zbiorów, jest więc nadzieja, że zobaczymy je chociaż w wersji elektronicznej.

Gdyby hrabia Ossoliński mógł to przewidzieć...

Za poparcie Pomarańczowej Rewolucji

Prezydenci Warszawy, Lublina i Wrocławia otrzymali orderzy z prawdziwego złota od mera Lwowa Lubomyra Buniaka. Na orderze jest ukraińska flaga i herb miasta. To odznaka wdzięczności za pomoc i poparcie wyrażone dla Pomarańczowej Rewolucji przez warszawiaków, lublinian i wrocławian.

– *Przez tych sześć dni demokratycznej rewolucji czuliśmy prawdziwą i szczerą solidarność polskiego narodu, prezydenta i zwykłych ludzi – powiedział mer Budniak. Podkreślił jak ważne były dla ich wolnościowego zrywu nasze wiece, marsze i inne wyrazy poparcia.*

Obiecali i słowa dotrzymują

W darze Lublina dla Lwowa wyremontowany został zaniedbany plac wokół pomnika Adama Mickiewicza, a sam posąg poety został oświetlony. W majowy wieczór, na zakończenie I etapu prac remontowych za pieniądze lubelskich przedsiębiorców, pod pomnikiem spotkali się przedstawiciele władz Lublina i Lwowa, przybyło kilkuset lwowian. Wicemer Lwowa Wasyl Krawciw podziękował za ich zaangażowanie i wręczył wyróżnienia, m.in. prezydentowi Lublina A. Pruszkowskiemu i G. Stanisławskiej, eurodeputowanej z Bielska, która ufundowała latarnie wokół pomnika.

Latem rozpocznie się drugi etap odnowy pomnika – remont korpusu monumentu. Trzeba wyczyścić i uzu-

pełnić marmur, trzeba odnowić także figury samego Mickiewicza i anioła, który podaje pocie lirę. Planuje się zamontowanie kolejnych latarni wokół pomnika i metalowego ogrodzenia. Plac ze stojącą na nim kolumną z poetą będzie jednym z najpiękniejszych, zwłaszcza wieczorową porą, gdy będzie pięknie oświetlony.

Praca magisterska o TMLiKPW

Marek Jezierski napisał i obronił na Wydziale Nauk Historycznych i Pedagogicznych Uniwersytetu Wrocławskiego pracę magisterską na temat: „Oleśnicki Klub Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. Studium monograficzne”. Jest to pierwsza praca magisterska na ten temat (138 stron) napisana na Uniwersytecie Wrocławskim, a być może i w Polsce. Została wysoko oceniona nie tylko przez Komisję Egzaminacyjną, ale również przez środowiska kresowe, co jest osobistym jego sukcesem, a także dr Ewy Kurałowicz, pod kierunkiem której została napisana.

Zainteresowanych niezwykle interesującą pracą magisterską Marka Jezierskiego odsyłamy do Biblioteki Miejskiej w Oleśnicy k. Wrocławia, gdzie została przekazana lub do prezesa oleśnickiego Klubu TMLiKPW mgr. Leszka Mulki, z inspiracji którego i przy którego pomocy została napisana. Przy okazji: Dolnośląski Urząd Marszałkowski i Ministerstwo Kultury wysoko oceniły jego działalność w upowszechnianiu dziedzictwa historycznego i kulturalnego Lwowa i Kresów w Oleśnicy – L. Mulka został wyróżniony Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”. Gratulujemy.

Nowe pomniki i tablice pamięci

Podczas dorocznych obchodów „Dnia Kresowian” w Łagiewnikach odsłonięto kamienny monument z napisem „Umarłych pamięć dotąd trwa, dokąd pamięcią im się płaci” upamiętniający wywózkę Polaków z Kresów na Sybir.

W Gnieźnie odsłonięto tablicę „Krzyża Katyńskiego”, a w kościele garnizonowym pw. św. Elżbiety we Wrocławiu tablicę upamiętniającą 60. rocznicę Akcji Burza.

W pierwszą niedzielę lipca, podczas Ogólnopolskiego Zjazdu Lwowian i Kresowian połączonego z pielgrzymką na Jasną Górę, na Rakowie w Częstochowie odsłonięty ma być pomnik Orłąt Lwowskich.

Młodzi interesują się Kresami

Studenckie Koło Badań Społecznych działające przy Zakładzie Socjologii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie zorganizowało konferencję naukową „Dawne Kresy Wschodnie w świadomości młodego pokolenia Polaków”. Profesorowie i wykładowcy wyższych uczelni częstochowskich, KUL, Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego wygłosili interesujące referaty.

Studentki i studenci IV i V roku Architektury Krajo-brazu Wrocławskiej Akademii Rolniczej, w ramach praktyki wykonawczej, zwiedzili obiekty dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego nie tylko w Polsce południowej i wschodniej, ale także na Ukrainie. Opiekę naukową sprawowali: dr hab. prof. Tomasz Nowak – pomysłodawca i organizator trasy tych praktyk, dr Elżbieta Szopińska oraz dr Jarosław Haliniak.

W okresie minionych dwóch lat studenci zwiedzili ponad 40 miast i miasteczek, w tym daleko na b. Kresach Wschodnich, poznając zabytki kultury polskiej. Plon tych wypraw – wykonali ponad 10 tys. zdjęć oraz nakręcili 12 godzin filmu. Najciekawsze zaprezentowali na wielkiej wystawie prac studenckich „Polska – Ukraina” urządzonej w swojej uczelni. Imponująca wystawa, wspaniałe kolorowe zdjęcia, ciekawe ujęcia kamery filmowej, a to przecież robili młodzi ludzie, nieprofesjonaliści!

Oczywiście, te dalekie podróże, przygoda, mogły dojść do skutku dzięki uczelni i ich opiekunom, sponsorom i rodzicom. Są im za to wdzięczni. Poznali piękne krajobrazy kresowe, zabytki, ludzi.

Marta i Jerzy Kowalewscy, absolwenci UJ, nauczyciele, zaprezentowali ok. 200 fotografii obiektów sakralnych, dworów, pałaców, pomników historii, starych cmentarzy oraz miejsc związanych z życiem i twórczością A. Mickiewicza, E. Orzeszkowej, M. Rodziwi- czówny, T. Kościuszki, R. Traugutta i in. na wystawie „Fotograficzne refleksy Kresów” w Domu Polonii w Rzeszowie. Te zdjęcia wykorzystają później na lekcjach j. polskiego.

Pamięci lwowskich Profesorów

Z inicjatywy rad miejskich Wrocławia i Lwowa na zboczu Kadeckiej Góry na Wuleckich Wzgórzach, gdzie oddział Abwehry „Nachtigal” rozstrzelał w lipcu 1941 r. 28 uczonych – pracowników lwowskich wyższych uczelni, niektórych wraz z członkami rodzin, stanie wkrótce pomnik zamordowanych polskich profesorów.

Inicjatywa zrodziła się po rozmowach przedstawicieli Wrocławia i Lwowa z prof. Zbigniewem Brzezińskim. Popierają ją profesorowie Politechniki Lwowskiej.

Krakowianie wyróżnieni

Za całokształt działalności w TMLiKPW mgr inż. arch. Andrzej Chłipalski, członek Zarządu Głównego TMLiKPW otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu „Polonia Restituta”. W ciągu kilkunastu lat był wiceprezesa i prezesem Oddziału Krakowskiego Towarzystwa, a od 1995 r. twórcą i naczelnym redaktorem świetnego kwartalnika „Cracovia – Leopoldis”.

Zarząd Oddziału Krakowskiego TMLiKPW nadał godność Prezesa Honorowego prof. dr. Jerzemu Kowalczykowi, który przewodniczył OK w dwóch pierwszych kadencjach 1982-92 i 1992-96.

Gratulujemy obu wyróżnionym!

Podwójny jubileusz Adama Hanuszkiewicza

W ruinach zamku we wsi Polska Cerkiew na Opolszczyźnie odbył się jubileusz 60-lecia pracy aktorskiej i 50-lecia pracy reżyserskiej Adama Hanuszkiewicza – wybitnego aktora i reżysera urodzonego we Lwowie w 1924 r., obecnie dyrektora warszawskiego Teatru Nowego.

Jubilat otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Województwa Opolskiego. W części artystycznej jubileuszu wystąpili aktorzy Teatru Nowego w przedstawieniu „50 lat minęło”.

Gratulacje i stu lat, Panie Adamie, życzy „SF”!

Secesja Lwowa i Kresów

To tytuł wystawy fotograficznej wrocławskiego fotografa (I prezesa ZG TML Zdzisława Zielińskiego), którą zorganizowało Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Maius w Krakowie. Na zdjęciach czarno-białych i kolorowych ich autor pokazuje ów niezwykle fenomen, jakim była lwowska secesja, jakże inna od krakowskiej, mimo wspólnego dziedzictwa galicyjskiego i oddziaływania architektury secesji wiedeńskiej. Lekka, fantazyjna, wykorzystująca motywy ludowe.

Secesja lwowska narodziła się w tyglu etnicznym, gdzie współżyli ze sobą (do czasu zgodnie) Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Ormianie, Czesi, Austriacy i in. Każda z tych nacji przeżywała swoją secesyjną młodość i przetwarzała jej idee w secesyjny kształt.

Jest to 43 z kolei, a 6 o tematyce kresowej indywidualna wystawa wrocławskiego fotografa. Warto ją obejrzeć.

Najstarszy legnicki Lwowiak...

... z dziada pradziada i pocztowiec Emil Hlib skończył 85 lat, ale ma wciąż młodzieńczą sylwetkę, fenomenalną pamięć muzyczną i niespożytą energię. Choć mieszka w Legnicy, wciąż żyje swoim ukochanym Lwowem, który odwiedza prawie co roku. Tam, na pocście głównej, pracował jego ojciec, a w czasie wojny pan Emil. Jeszcze będąc we Lwowie zaczął grać w orkiestrze tramwajarskiej. Przeżycia z tego okresu zawarł we wspomnieniach pt. „Moje chodzenie we Lwowie”. Do Legnicy trafił z jednostką wojskową, gdzie grał w orkiestrze. Po demobilizacji pozostał tutaj i całe życie zawodowe związał, do 1995 r., oczywiście z Poczta Polska. Starzy legniczanie pamiętają pana Emila przemierzającego ulice miasta z torbą listonosza ...

Emil Hlib pozostał wierny swojej pasji – muzyce i miastu swojej młodości. Był współzałożycielem legnickiego TMLiKPW, zbierał przez lata piosenki lwowskie i kresowe i nuty do nich. Ma ich w zeszytach prawie czterysta! Połowę z nich udało mu się wreszcie opublikować w śpiewniku „Piosenki lwowskie i kresowe”, który wydała wrocławska oficyna Vider, specjalizująca się w wydawnictwach kresowych. A. Hlib chce wydać także drugą część swoich wspomnień ze Lwowa, w której przywołuje mało znane okoliczności zagłady lwowskich Żydów. Ma jeszcze inne plany.

Daj Ci Boży, Jubilacie, duża zdrowia i stu lat!

Pamięci „Orląt Lwowskich”

– pod takim tytułem, odbył się w Kłodzku turniej szachowy dla młodzieży gimnazjalnej Ziemi Kłodzkiej. Organizatorem był Klub Inicjatyw Młodzieży „Ziemia Kłodzka” oraz Samorząd Uczniowski Prywatnego Liceum i Gimnazjum im. M. Kłahra w Kłodzku. W liście do „Semper Fidelis” koordynator Klubu Wiesław Mietliński pisał:

– Prócz zmagani szachowych, na zakończenie turnieju, koleżanki: Karolina Ręczkowska, Agnieszka Sawicka oraz Karolina Mokrzycka, przedstawiły słowno-muzyczny program Pamięci „Orląt Lwowskich”. Podczas turnieju prezentowana też była mini-wystawa: Walki młodzieży polskiej Lwowa w 1918 r. o niepodległość Polski. Wystawę pomogli przygotować: Natalia Harnasz, Maciej Sawina i Bartek Niedziela (uczniowie w/w szkoły).



Uczestnicy turnieju szachowego
pamięci „Orląt Lwowskich”

Puchar zwycięzcy turnieju zdobyła Karolina Molen- da, która bezapelacyjnie wygrała turniej szachowy. II miejsce zajęła Adriana Krzesińska, a III Adam Płaskonka.

Na wyróżnienie zasłużył Dariusz Marciniś, który choć niepełnosprawny swoją zaciętością dorównał kolegom pełnosprawnym.

Turniej był jednym z zadań współzawodnictwa Samorządów Uczniowskich, jaki Klub Inicjatyw Młodzieży organizuje od lat. Potwierdza on, że młodzież chce znać historię swojej tożsamości, lecz nie zawsze znajduje wspólny język z seniorami. W 2003 r. Klub złożył wniosek do Rady Miasta Kłodzka o nazwaniu jednej z kłodzkich ulic, ul. „Orląt Lwowskich” i dotąd nie podjęto decyzji.

Pragniemy poinformować Czytelników „SF”, iż dla młodzieży szkół ponadgimnazjalnych turniej Pamięci „Orląt Lwowskich” zorganizujemy w okresie jesiennym w październiku. Chętnych manifestacji naszego patriotyzmu w takiej formie zapraszamy z całego Dolnego Śląska. Nasz adres: Klub Inicjatyw Młodzieży „Ziemia Kłodzka” 57-300 Kłodzko, skr. poczt. 33.

Mottem spotkania jest:

*Niech współczesny pamięta
sercem jesteśmy tam,
gdzie polskie śpią Orlęta!*

Kazimierz Wesołowski

Sześćdziesiąt lat minęło

„Wrocław, Wrocław, malowane miasto” to piosenka ludowa, którą usłyszałem w okresie międzywojennym w czasie wakacji spędzanych w jednej z podtarnowskich wsi. Melodię pamiętam jak przez mgłę, ale wiem, że daleko jej do piosenek opiewających urodę naszego ukochanego Lwowa. Sądzę, że twórcami tej pieśni byli nasi rodacy zamieszkali na Dolnym Śląsku lub ci, co przybywali tam za pracą. Przypomniała mi się ona późną jesienią w 1945 roku, kiedy jechałem z Krakowa do Wrocławia z myślą osiedlenia się w tym mieście. Podróż do stolicy Dolnego Śląska była po wojnie wyjątkowo

Więści ze Lwowa

● Prezesi polskich towarzystw, stowarzyszeń, organizacji, szkół, kierownicy zespołów artystycznych oraz redaktorzy naczelni „Gazety Lwowskiej” i „Spotkań Lwowskich” skierowali kolejny apel do Marszałka Senatu RP L. Pastusiaka o otwarciu Domu Polskiego we Lwowie. Zapewniają, że będzie służyć wyłącznie dobru Polski i integrować polskie środowiska w tym mieście.

● „Chciałbym, aby stosunek do śladów polskości we Lwowie i na całej Ukrainie był taki, jaki jest dzisiaj Polaków mieszkających we Wrocławiu do śladów niemieckich – powiedział poseł Jan Rokita na spotkaniu z lwowskimi rodakami.

● Kościół Karmelitanek Bosych zostanie przekazany wspólnocie greckokatolickiej. Prawdopodobnie także kościół Jezuitów, w którym obecnie przechowuje się prawie dwa miliony tomów książek biblioteki „Ossolineum” (Stefanyka) będzie przekazany grekokatolikom. Do maja przyszłego roku książki mają być przewiezione w inne miejsce i w kościele rozpoczną się prace konserwatorskie.

● Ponad 100 tys. mieszkańców Lwowa i województwa pracowało w ub. roku nielegalnie za granicą, m.in. w Polsce. Prawie 19 tys. dzieci pozostawało bez opieki jednego z rodziców, a ponad 4 tys. dzieci zostało pozbawionych opieki obojga rodziców. Przypuszcza się, że liczby te są wyższe od podanych oficjalnie.

● Najwięcej wiernych należy kolejno do kościoła greckokatolickiego, kościoła prawosławnego patriarchatu kijowskiego i Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Latem planowany jest Sobór, który ma zażegnać konflikty, najczęściej na tle majątkowym, wspólnot religijnych.

● W skrzydle b. pałacu Potockich – po lewej stronie od wejścia – będzie urządzona zachodnia rezydencja prezydenta Ukrainy.

● 22 maja otwarto sezon wyścigów konnych na lwowskim hipodromie. Startowało ponad 100 koni.

KRONIKARZ KRESOWY

uciążliwa, jechało się bowiem trasą okrężną przez Dzie- dzice (linia Kraków-Katowice była szerokotorowa), Kato- wice, Chorzów, Kluczbork, Oleśnicę do stacji Wrocław Nadodrze. Trasą przez Opole, Brzeg nie było dojazdu ze względu na zniszczony przez działania wojenne most na Odrze. Nieco później wojsko zbudowało tu most na filarach drewnianych, ale pociąg przejeżdżał go z szybkością nie większą niż 10 km na godzinę. A ile wtedy było strachu.

Kiedy w październiku 1945 roku wysiadłem na wro- cławskim dworcu Nadodrze, natychmiast udałem się w kierunku centrum miasta. Potwornie zniszczony Wro- cław robił piorunujące wrażenie. Po przejściu parku do- tarłem do placu Powstańców Wielkopolskich, na którym stał zniszczony kościół, który swoją sylwetką podobny był do lwowskiego Ossolineum. Tego kościoła już dziś

nie ma, rozebrany został u schyłku lat czterdziestych. W pobliżu stał szczęśliwie ocalały kościół św. Bonifacego, a obok dworzec kolei wąskotorowej kursującej do Trzebnicy. Ze świątynią św. Bonifacego związałem się kilka miesięcy później jako dyrygent pierwszego w polskim Wrocławiu chóru parafialnego. Proboszczem tej parafii był lwowski kapłan ks. Lagosz, który nieco później został administratorem diecezji. Ks. infułat Lagosz z wielką energią odbudowywał wrocławską katedrę, aczkolwiek jako kapłan uległy wobec władz PRL-u nie zaskarbił sobie szacunku księży i społeczeństwa.

Celem mojego pierwszego przyjazdu do Wrocławia było podjęcie pracy w charakterze muzyka w powstającej tu Operze i Filharmonii. Założycielem Opery Wrocławskiej był znany tenor Stanisław Drabik, ale pierwszym pionierem był Stefan Syryłło (urodzony w Winnikach pod Lwowem) krakowski dyrygent i wspaniały organizator, który rozpoczął w powojennym Wrocławiu organizację koncertów symfonicznych z dawną orkiestrą Opery niemieckiej. Nieco później powstała pod jego dyktando Filharmonia Wrocławska, która przez kilka lat uprawiała dwutorową działalność, dając koncerty i biorąc udział w spektaklach Opery. W tym czasie Opera miała za sobą pierwsze wykonanie HALKI, które odbyło się ósmego września. W spektaklu brali udział soliści z Krakowa, chór Opery Śląskiej z Bytomia, niemiecki balet i niemiecka orkiestra. Reżyserował Stanisław Drabik, a dyrygował Stefan Syryłło. Odtwórczynią roli tytułowej była Franciszka Paltówna, wieloletnia primadonna Opery we Lwowie. Drugim wydarzeniem operowym był CYRULIK SEWILSKI Rossiniego, wystawiony czwartego grudnia z Ewą Bandrowską-Turską w partii Rozyny. Śpiewakom towarzyszyła jeszcze niemiecka orkiestra, ale koncertmistrzem była Polka Alicja Hakowska-Rozgórka. Swoją pracę w orkiestrze Filharmonii i Opery zacząłem jako ósmy Polak dnia 4.04.1946 r., a już 3, 4 i 5 maja brałem udział w wystawianej tu operze RIGOLETTO Verdiego z Adą Sari w partii Glidy, lwowskim tenorem Franciszkiem Bedlewiczem w roli księcia i Antonim Wolakiem w partii tytułowej. Dyrygował Stefan Syryłło, a reżyserował B. Fotygo-Folański – postać niezwykle oryginalna. Ubierał się na czarno, na wzór francuskiego policjanta. Czarne wąskie spodnie, peleryna, złoty łańcuch spadający na piersi, czarny wielki beret, w ręku czarna laska ze złotą galką. Włosy miał siwe, kręcone, długie, spadające aż na ramiona. Jego dziwactwa nie miały granic. Po próbie udawał się do restauracji MONOPOL, ale zawsze wcześniej na portierni zdejmował obuwie i bosy szedł na posilek. Po powrocie wkładał obuwie i wracał do swoich reżyserskich zajęć. Pewnego dnia wraz z Antkiem Wolakiem i Zygmunt Bilińskim udał się Fotygo-Folański do domu towarowego (czynny był tylko parter) zwanego wtedy z niemiecka Awagiem. Dziwna postać Fotygi wzbudziła zainteresowanie kupujących. Ktoś zapytał wtedy Wolaka kim jest ta osoba. Z natury dowcipny Wolak odpowiedział, że jest to nuncjusz papieski. Tłum zaczął gęstnieć. Cała trójka otoczona ludźmi opuściła dom towarowy i na postoju obok wsiadła do dorożki (taksówek jeszcze nie było). Fotygo musiał chyba słyszeć, co wcześniej powiedział

ludziom Wolak, albowiem w dorożce udzielił oblegającym błogosławieństwa. Nieco wcześniej został Fotygo rozpoznany, a jego wybryk został przyjęty salwą śmiechu i oklaskami. Na pierwszą rocznicę wyzwolenia Wrocławia teatr operowy przygotował Verbum Nobile Moniuszki też w reżyserii Fotygi, który po tej premierze przeniósł się do Opery Śląskiej w Bytomiu.

We Wrocławiu zamieszkałem przy ulicy św. Antoniego, przy której stał w stosunkowo dobrym stanie kościół pod wezwaniem tego samego świętego, a który jest bardzo podobny do lwowskiej świątyni św. Marcina. Z tą wrocławską świątynią to historia trochę dziwna. Przy ulicy Legnickiej, po lewej stronie, mniej więcej po buntach był cmentarz, na którym stał parafialny kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych, który wraz z cmentarzem został po wojnie rozebrany. Kościół św. Antoniego stał się automatycznie świątynią parafialną zachowując wezwanie Wszystkich Świętych. Natomiast mieszkańcy ulicy św. Antoniego należą do parafii św. Doroty. Podejmując pracę w Operze otrzymałem mieszkanie przy tej ulicy. Moja droga do pracy biegła więc przez plac Żydowski (dziś Bohaterów Getta) ul. Krupniczą i plac Wolności. Skręcając w plac Wolności zostawiałem za sobą ulicę Włodkowica, przy której stała bardzo zniszczona synagoga oraz obiekt z siedzibą Komitetu Żydowskiego, który, wspomagany przez ośrodki żydowskie całego świata, dysponował sporymi funduszami. Będąc członkiem kwartetu smyczkowego muzykowałem w tym komitecie na różnych uroczystościach. Prócz honorarium otrzymywaliśmy paczki UNRA, które były sporym zastrzykiem żywności. W tym okresie byłem bardzo młody, miałem dużą ciemną fryzurę o kręconych włosach i jak się później okazało członkowie tej organizacji uważali mnie za swego. Przez długie lata spotykając mnie ciągle pytali, dlaczego nie bywam w komitecie. Na skutek tego dochodziło do kłopotliwych, ale i zabawnych sytuacji.

Moja codzienna droga do Opery wiodła przez plac Wolności, który był niegdyś terenem zabudowanym. Działania wojenne zamieniły go w gruzowisko, z którego okoliczni mieszkańcy zbierali drewno na opał, zwłaszcza że zimy powojenne nie należały do lekkich. Po ustaniu działań wojennych zbudowano od dworca Świebodzkiego tor kolejowy, który biegł przez dzisiejszy plac Orłąt Lwowskich, przecinał kanał i drugą jego stronę (przecinając ulicę Krupniczą) dochodził do placu Wolności, który był miejscem załadunku cegły wysyłanej do Warszawy. Gmach dzisiejszej Opery był po wojnie bardzo pokaleczony pociskami armatnimi, ale na szczęście widownia przetrwała. Tego szczęścia nie miały sąsiednie obiekty. Hotel Monopol stracił całą część kawiarnianą (od ulicy Świdnickiej), a kościół św. Doroty był na tyle zniszczony, że nabożeństwa odprawiano w ocalałej zakrystii. Po remoncie ta świątynia stała się prokatedrą, a ja przez wiele lat prowadziłem w niej chór i orkiestrę i organizowałem wiele uroczystości. Kościół św. Doroty, św. Stanisława i św. Wacława (pełne wezwanie) był też moją parafialną świątynią, w której 25.12.1950 roku brałem ślub z moją ukochaną Marią, zaś w 1961 roku chrzciliśmy tu syna Jacka, który urodził się we Wrocławiu, choć powinien przyjść na świat

we Lwowie. W okresie, który wspominam Wrocław był miastem potwornie zniszczonym. Ulica Świdnicka na odcinku Opera-Rynek była tunelem. Dziś pięknie odbudowany Kościół Bożego Ciała wyglądał okropnie, a stojąca naprzeciw niego piękna budowla obok Opery (w stylu rzymskim), podobno filharmonia, nadawała się tylko do rozbiórki. W tym okresie rozebrano też czynny po wojnie, choć mocno zniszczony, teatr przy ul. Ogrodowej (potem Świerczewskiego, obecnie Piłsudskiego) usytuowany na tyłach Urzędu Miasta. Gmach Opery, który szczęśliwie ocalał, tętnił życiem. Prócz Filharmonii i Opery dawał tu także przedstawienia Teatr Dramatyczny, w którym wiosną 1946 r. Ludwik Solski reżyserował GRUBE RYBY M. Bałuckiego. W personelu artystycznym tych instytucji pojawiło się wiele osób związanych ze Lwowem. Oprócz wspomnianej F. Platówny i F. Bedlewicza jako soliści w Operze pracę podjęli: Władysław Szeptycki, Waleria Jędrzejowska, Liliana Zamorska, Zygmunt Patkowski (choreograf) i kilku muzyków. W tym okresie przez rok współpracował z Filharmonią młody dyrygent lwowiak, Stanisław Skrowaczewski.

W maju 1946 roku w gmachu Opery cudem nie doszło do tragicznego wypadku. W trakcie trwania koncertu opadła na scenę żelazna kurtyna oddzielająca scenę od widowni. Na szczęście muzycy zdążyli uskoczyć albowiem kurtyna spadała z wielkim hałasem. Przeprowadzone śledztwo wykazało, że sprawcami byli niemieccy bojówkarze.

W mojej pamięci utkwił koncert Filharmonii w Hali Ludowej, która w sklepieniu miała potężną dziurę. Ten wielki obiekt słynął z największych organów w Europie, które umiejscowione były nad estradą, zaś echo nad głównym wejściem. Niestety ten wspaniały instrument zniszczyli szabrownicy, którzy rabowali głównie części skórzane z organowych piszczał. Ocalałe resztki tego niegdyś wspaniałego instrumentu przeniesiono potem do wrocławskiej katedry rzymskokatolickiej.

Po kilku latach przeprowadziłem się z ulicy św. Antoniego na ulicę Świerczewskiego (dzisiaj Piłsudskiego) do punktowców na odcinku plac Legionów – dworzec Świebodzki. Ten odcinek był po wojnie terenem zadrzewionym, później zrobiono tu ulicę i uruchomiono tramwaj. Z Wrocławiem wiąże się cała moja młodość. Opuszczając to piękne miasto po czterdziestu dwóch latach robiłem to jednak bez odrobiny żalu. Coś mnie gnało na Wschód. Wrocław pozostał dla mnie miastem, w którym zostawiłem wielu serdecznych przyjaciół, podstarzałych Lwówian. Niestety, wielu z nich spoczywa już na wrocławskich cmentarzach. Spoczął tam także mój lwowski przyjaciel Ryszard Polański.

Spotkałem go po raz pierwszy we Wrocławiu w kwietniu 1946 roku i wtedy opowiedział mi o przymusowej podróży ze Lwowa na Zachód wraz z będącą w ostatnim miesiącu ciąży żoną. Ich transport rozładowano w podopolskiej wsi i tam urodziła im się córeczka. Następnego dnia do domu weszło dwóch czerwonoarmistów, sierżant i porucznik z zamiarem dokonania gwałtu. Jak wynikało z ustaleń między nimi, w tym domu była kolej na sierżanta. Przerażony Ryśku stawał wódkę, tłumaczył, prosił i pokazywał niemowlę. Po awanturze między nimi, do porucznika dotarły argumenty Ryś-

ka. Lata polecały. Ryśku nie doczekawszy powrotu do Lwowa zmarł we Wrocławiu, na cmentarzu Grabiszyńskim żegnała go schorowana żona, dojrzała córka i dwie dorastające wnuczki. I taki był koniec tułaczego życia Ryśka ze Lwowa.

Po sześciu latach pobytu w Krakowie przenieśliśmy się do Tarnowa, o którym mówią, że dochodzą tu podmuchy dobrego lwowskiego powietrza. W tym mieście spotkałem też sporą grupę Lwówian i Kresowian, którzy zapuścili tu korzenie i założyli rodziny. Ich życie z konieczności biegnie do przodu. Znany i ceniony tarnowski urolog dr Piotr Pochwałowski swoim przyjściem na świat sprawił zapewne sporo kłopotów oczekującym jego narodzenia rodzicom. Lwowski stomatolog Stanisław Pochwałowski wraz z żoną Ireną opuścił Lwów. Pani Irena będąc w błogosławionym stanie spodziewała się rychłych narodzin dziecka. Niestety, w drodze ze Lwowa dojechała tylko do podkrakowskich Staniątek i tam urodziła syna Piotra.

Przykłady państwa Polańskich i Pochwałowskich świadczą o tym w jak trudnych czasach i okolicznościach przychodziły na świat lwowskie dzieci, bo choć w metrykach nie mają wpisanego urodzenia we Lwowie, to jednak są autentycznymi Lwówiakami. Taki to był nasz kresowy los.

Dożywając swoich dni w Tarnowie, wdzięczny jestem Opatrzności za moich lwowskich przyjaciół, świadków agonii polskiego Lwowa, z którymi dane mi było spotkać się we Wrocławiu, Krakowie i Tarnowie. W Tarnowie miałem zaszczyt zaprzyjaźnić się z Adamem Lewickim, który ze Lwowa przez Syberię, Szczecin, Warszawę dotarł do Tarnowa. Tu poślubił p. Jadwigę, córkę lwowskiego farmaceuty, tworząc wzorową lwowską rodzinę. I choć już nie żyje syn Andrzej, jak i Adam, to p. Jadwiga wraz z córkami Marią Sułowską i Teresą Obrzut-Lewicką oraz wnukami kontynuują nadal dzieło śp. Adama. Kontynuatorami lwowskich tradycji są też Lwówianie: p. Maria Kotowska oraz Marian Stanisławski z żoną Genowefą i córkami Ewą Barner, Zofią Stanisławską i Magdaleną Lupa. Żyją w Tarnowie dwie sędziwe Lwówianki. Pani Zofia Sacharuk liczy 97 lat, zaś pani Mieczysława Graff 96, obie są absolwentkami Lwowskiego Seminarium Nauczycielskiego i uczestniczkami w 1923 r. pogrzebu Bł. B-pa Józefa Bilczewskiego. Obie panny są skarbnicą wiedzy o Lwowie. Przykładem wielkiej miłości do Lwowa jest Lidia Wodnicka, której córka Aleksandra Stasiak, wizytator w kuratorium, w działaniach dla Lwowa jest podziwu godna. Wśród tych, którzy połąkni bakcyli Lwowa wyróżniają się: ks. prałat Aleksander Dychtoń, państwo Irena i Antoni Dychtoniowie, p. Cecylia Koziół z synem Marcinem oraz Przemysław Staszek. W Tarnowie mieszkam przy ulicy Lwowskiej. Z okien mam widok na górę św. Marcina, która przypomina mi naszą lwowską górę Wysokiego Zamku. Sąsiaduję z kościołem NSPJ, przy którym prowadzę zespół instrumentalno-wokalny GLORIA, z którym przy życzliwej pomocy ks. prof. Stanisława Sojki – proboszcza, muzykuję na chwałę Boga i przygotowuję imprezy upamiętniające ważne daty oraz wydarzenia z historii naszego narodu, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów Lwowa i Kresów.

Dożywając swoich dni jestem wdzięczny Bogu za to, że dał mi urodzić się we Lwowie – mieście najpiękniejszym, najwspanialszym i najwierniejszym naszej Ojczyźnie. Dziękuję też za przyjaciół-Lwowian, którzy mnie tu otaczają. Mam wielką nadzieję, że dobry Bóg ześle na mnie sen i tarnowska góra św. Marcina objawi mi się jako lwowska góra Wysokiego Zamku.

Na przełomie II i III tysiąclecia kapelan Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich śp. ksiądz Janusz Popławski apelował o zgodę wśród

ludzi Kresów i Lwowa. Zadawaliśmy sobie wtedy pytania: „Jacy byliśmy i jacy jesteśmy po opuszczeniu Lwowa i Kresów? Jakie jest źródło nieporozumień? Co zrobiliśmy z ideałami, o które walczyło pokolenie Orłów Lwowskich i czy byliśmy wierni naszemu miastu tak, jak ono było wierne Polsce przez wiele stuleci?”. Moim ostatnim marzeniem jest pragnienie, żeby nam Lwowiakom i Kresowiakom udało się zapisać w polskiej pamięci naszą lwowsko-kresową rzeczywistość, która z nami, urodzonymi tam, z wolna niestety odchodzi. □

Maria Poznańska

Byliśmy na Monte Cassino na spotkaniu z Ojcem Świętym...

W obchodach 60. rocznicy bitwy o Monte Cassino we Włoszech uczestniczyła sześciuosobowa delegacja uczniów, pod opieką wychowawczyni, Szkoły Podstawowej nr 73 we Wrocławiu, noszącej imię Generała Władysława Andersa.

18 maja ubiegłego roku na Cmentarzu Żołnierzy Polskich na Monte Cassino odprawiona została uroczysta Msza Święta pod przewodnictwem biskupa polowego Wojska Polskiego Sławoja Leszka Głódzia, z udziałem Kompanii Reprezentacyjnej WP, oficjalnych delegacji Rzeczypospolitej Polskiej na czele z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim oraz władz Republiki Włoskiej, Watykanu i miasta Cassino. W uroczystości uczestniczyły również delegacje kombatantów z Polski i zza granicy, delegacje harcerskie, a także poczty sztandarowe z ponad trzydziestu polskich szkół noszą-

cych imiona bohaterów związanych z bitwą, w tym naszej szkoły.

Na specjalne podkreślenie zasługuje obecność ostatniego prezydenta Rzeczypospolitej na uchodźstwie pana Ryszarda Kaczorowskiego wraz z małżonką, o. Adama Studzińskiego, kapelana 2. Korpusu Polskiego, generałowej Ireny Renaty Anders oraz córki i wnuka generała.

Udział orkiestry i chóru Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego dodał uroczystościom splendoru i był dopełnieniem tego niezwykłego spotkania.

Ze wzruszeniem modliliśmy się za poległych oraz wysłuchaliśmy relacji uczestnika bitwy pułkownika Zygmunta Odrowąża-Zawadzkiego, który w imieniu kombatantów podziękował organizatorom za przygotowanie tej patriotyczno-religijnej uroczystości i podzielił się refleksjami

na temat przebiegu bitwy, a my patrząc na skąpane w słońcu wzgórza próbowaliśmy wyobrazić sobie tamte wydarzenia. W swoim wystąpieniu pułkownik podkreślił m.in.:

„Generał Anders zdecydował, że 2. Korpus Polski będzie nacierał górami i to zadecydowało o wyniku bitwy. (...) Walka była szczególnie zacięta. Szturmowali klasztor na górę bez względu na straty i wyrwy w oddziałach. Pod Monte Cassino widziałem szczególną wolę walki naszych oddziałów. Siłą decydującą był niezłomny patriotyzm i wynikające z niego nadzwyczajne, wyjątkowe napięcie woli ludzi, pragnących za wszelką cenę wykonać postawione zadanie, którego sześć narodów nacierających przed Polakami wykonać nie zdołało. (...) To siła moralna pozwoliła pobić w bezwzględnej walce doskonale wyszkolonego i doświadczonego w boju przeciwnika, ku chwale oręża polskiego, a także ku chwale aliantów biorących udział w tej wielkiej bitwie. (...)”

Na zakończenie swego wystąpienia pułkownik złożył hołd bohaterom mówiąc:

„W imieniu zgromadzonych tu żołnierzy 2. Korpusu Polskiego chciałbym oddać cześć wszystkim poległym żołnierzom pod Monte Cassino i na całym bojowym szlaku włoskim. Cześć ich pamięci!”

Z ogromną powagą uczestniczyliśmy w apelu poległych, a grany na trąbce hejnał krakowski wycisnął na wielu twarzach łzy wzruszenia. Wysłuchaliśmy także z uwagą przemówienia prezydenta RP A. Kwaśniewskiego, a po modlitwach ekumenicznych wspólnie odśpiewaliśmy pieśń pt. „Boże coś Polskę”.

Potem robiliśmy pamiątkowe zdjęcia z honorowymi gośćmi i zapaliliśmy znicze na grobie naszego Patrona.

Elżbieta Żołyńska ... i w Bolonii

U progu sześćdziesiątej rocznicy zakończenia II wojny światowej polscy kombatanci – żołnierze 2. Korpusu Polskiego obchodzili uroczystości zakończenia swojego szlaku bojowego na terenie Włoch. Uroczystości związane z 60. rocznicą wyzwolenia Bolonii przez wojsko polskie, zorganizowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, odbywały się 21 kwietnia 2005 r. jednocześnie w Warszawie i w Bolonii.

Warszawskie obchody zainicjowano Mszą św. odprawioną w Katedrze Polowej Wojska Polskiego przez biskupa polowego gen. bryg. Tadeusza Płoskiego. Po południu uroczystości kontynuowano pod Pomnikiem Bitwy o Monte Cassino w Ogrodzie Krasińskich, gdzie kombatanci i przybyli goście w asyście honorowej Kompanii Reprezentacyjnej WP złożyli wieńce i wiązanki kwiatów.

Trzydniowe obchody 60. rocznicy zakończenia walk przez żołnierzy gen. Władysława Andersa rozpoczęły się w wyzwolonej przez 2. Korpus Polski Bolonii 21 kwietnia Mszą św., w której uczestniczyła delegacja z Polski z konsulem z Mediolanu. Następnie ulicami miasta defilowały orkiestry włoska i polska, a po południu Kompania Reprezentacyjna Wojska Polskiego zaprezentowała mieszkańcom Bolonii musztrę paradną przyjętą gromkimi brawami.

Kilkugodzinna uroczystość była dla naszych uczniów i dla nas niezapomnianym przeżyciem. Jesteśmy dumni, że sztandar z wizerunkiem patrona stał wśród wielu innych na Cmentarzu Żołnierzy Polskich podczas tak ważnych i uroczystych obchodów, jaką była 60. rocznica bitwy o Monte Cassino.

Wspaniałym zakończeniem naszego pobytu we Włoszech był udział w audiencji Ojca Świętego na placu św. Piotra w Rzymie. Papież zwracając się do Polaków podkreślił, że:

„Bitwa pod Monte Cassino była wydarzeniem, do którego z dumą odwołują się kolejne pokolenia Polaków. Stała się symbolem najwyższych wartości polskiego ducha, a szczególnie odwagi i gotowości oddania życia za wolność naszą i waszą (...). Proszę Boga, aby rządzący i wszyscy Polacy umieli nadal powracać pamięcią do Monte Cassino, aby uczyć się tej miłości do Ojczyzny, która dodaje odwagi i siły do wiernego zagospodarowywania przestrzeni wolności...”

Po wystąpieniu Ojca Świętego wojskowa orkiestra zagrała, a chór odśpiewał „Sto lat” z okazji 84 urodzin Jana Pawła II.

Z papieskim błogosławieństwem i nieopisaną radością w sercach wróciliśmy do kraju z jeszcze bardziej ugruntowanym przekonaniem, że mamy wspaniałego patrona na dzisiejsze czasy i musimy wytrwale: **„budować polskość w sercach i umysłach naszej młodzieży”**, bo tego chciał Generał Władysław Anders, a my pragniemy realizować to zaszczytne zadanie z największym oddaniem. **Tak nam dopomóż Bóg!**

W kolejnych dwóch dniach uroczystości uczestniczyli kombatanci przybyli samolotem rządowym z Warszawy i ci, którzy przyjechali na własny koszt z kraju, a także spoza jego granic. Grupie kombatantów podążających na uroczystości do Bolonii towarzyszyła w jednym z autokarów delegacja uczniów i nauczycieli wraz ze sztandarem ze Szkoły Podstawowej nr 73 im. Generała Władysława Andersa z Wrocławia. Do udziału w uroczystościach na ziemi włoskiej szkoła została zaproszona, podobnie jak w ubiegłym roku na Monte Cassino, przez sprawujące nad nią patronat Ogólnokrajowe Stowarzyszenie Kombatantów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie z siedzibą w Warszawie.

22 kwietnia o godz. 17 w Porta Maggiore w Bolonii odbyło się złożenie wieńców przy tablicy upamiętniającej wejście 2. Korpusu Polskiego do tego miasta. W uroczystości wzięli udział kombatanci, mieszkańcy Bolonii oraz licznie przybyłe z kraju poczty sztandarowe, głównie ze szkół, których patronami są żołnierze gen. Andersa. Następnie odbyła się uroczystość patriotyczna w Parku im. Generała Władysława Andersa przy pomniku 2. Korpusu Polskiego. W imieniu kombatantów przemówił do zebranych uczestnik walk, żołnierz 3. Dywizji Strzelców Karpaccich, Tadeusz Czerkawski. W swoim wystąpieniu przypomniał ofiarę poniesioną przez polskich żołnierzy.



Pani Irena Andersowa z delegacją SP nr 73 przy grobie patrona szkoły na cmentarzu na Monte Cassino



Pamiątkowe zdjęcie z kombatantami pod Pomnikiem 2. Korpusu Polskiego w Bolonii

23 kwietnia rano kombatanci odwiedzili prywatne muzeum wolności. O godz. 11 na cmentarzu w San Lazzaro pod Bolonią rozpoczęła się główna uroczystość patriotyczno-religijna, w której udział wzięli m.in. wicepremier Jadwiga Jaruga-Nowacka, sekretarz stanu Jan Turski – kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, wiceminister obrony narodowej Maciej Górski, zastępca szefa sztabu Wojsk Lądowych WP gen. Wojciech Kubiak, dowódca garnizonu Warszawa gen. Jan Klejszmit, admirał Ryszard Łukasik – z-ca szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, arcybiskup Bolonii Carlo Caffara, kanclerz kapituły orderu Virtuti Militari gen. Stanisław Nałęcz-Komornicki, prezes Stowarzyszenia Powstańców Warszawskich płk Zbigniew Ścibor Rylski, prezes Związku Byłych Więźniów i Osób Represjonowanych gen. Wacław Szklarski, prezes Stowarzyszenia Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie w Kraju Stefan Gawlik oraz 40 delegacji szkół dziedziczących tradycję 2. Korpusu Polskiego ze sztandarami, 70-osobowa grupa harcerskiego wolontariatu, kombatanci, rodziny poległych.

Uroczystej Mszy św. przewodniczył wraz z księżmi z Włoch i przybyłymi z Polski, m.in. z ojcem płk. Adamem Studzińskim – 94-letnim kapłanem 2. Korpusu, biskup polowy WP Tadeusz Płoski. W okolicznościowej homilii ks. biskup przypomniał ofiarę polskiego żołnierza, który płacił życiem i krwią, niosąc wolność mieszkańcom Bolonii. Tę wolność, do której drogę „krzyżami się mierzy”. W nawiązaniu do słów Papieża Jana Pawła II o wolności jako darze, który „stałe trzeba zdobywać, a którego nie wolno tylko posiadać”, ordynariusz polowy WP powiedział, że zarówno „droga do wolności”, jak i „droga wolności” okupiona jest krzyżem, ofiarą i poświęceniem. Zwracając się do zgromadzonych biskup Tadeusz Płoski mówił w odniesieniu do powojennego losu Polski, że „męczeńska i ofiarna krew polskich żołnierzy jest zasiewem wolnej Polski, ale również całej Europy”.



Poczet sztandarowy szkoły na uroczystości patriotyczno-religijnej w parku im. Gen. Wł. Andersa w Bolonii

Mówił też o pojawiających się fałszywych świadectwach na temat hitlerowskich obozów koncentracyjnych i sowieckich łagrów, że „polskie cmentarze wojenne i spoczywający w nich żołnierze domagają się od nas świadectwa prawdy”.

Podczas liturgii zostały odprawione modlitwy ekumeniczne w intencji 1427 żołnierzy spoczywających na cmentarzu w San Lazzaro. Sprawowali je bp Miron Chodakowski – prawosławny ordynariusz polowy oraz bp płk Ryszard Borski – naczelny kapłan ewangelicko-augsburski. W trakcie uroczystości grupa weteranów i osób szczególnie zasłużonych w utrwalaniu tradycji niepodległościowych została udekorowana Medalem „Pro Memoria” ustanowionym z okazji 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej.

Po niezwykle przejmującym apelu poległych oddano salwy honorowe, a obecni na uroczystości złożyli wieńce przed ołtarzem w grocie. Uczniowie i nauczyciele ze Szkoły Podstawowej nr 73 im. Generała Władysława Andersa z Wrocławia zapalili znicze na grobach poległych żołnierzy i dokonali wpisu do okolicznościowej księgi wyłożonej u stóp ołtarza.

Tego samego dnia po południu w miejscowości Imola położonej niedaleko Bolonii dokonano odsłonięcia Pomnika 2. Korpusu Polskiego, którego pamiątkową tablicę zdążył jeszcze poświęcić nasz Wielki Rodak – Papież Jan Paweł II. W uroczystości uczestniczyła pani wicepremier RP, przedstawiciele władz Imoli, grupa kombatantów i poczty sztandarowe szkół polskich, w tym poczet sztandarowy Szkoły Podstawowej nr 73 z Wrocławia. Szczególnie wzruszającym momentem było spotkanie grupy weteranów i uczniów wrocławskiej szkoły z mieszkanką Imoli, która ze łzami w oczach wspominała moment wkroczenia polskich żołnierzy do swojego miasta.

Dla uczestników z Polski udział w uroczystości 60. rocznicy zakończenia przez 2. Korpus Polski walk na ziemi włoskiej kończył się w miejscowości Imola, skąd większość powróciła tego samego dnia do kraju.

Grupa weteranów oraz delegacja uczniów i nauczycieli ze Szkoły Podstawowej nr 73 im. Generała Władysława Andersa z Wrocławia kończyła swój pobyt we Włoszech 24 kwietnia udziałem w mszy inauguracyjnej pontyfikat nowego Papieża – Benedykta XVI. Tego dnia, po dwudniowych uroczystościach w Bolonii i po

pokonaniu 300-kilometrowej odległości, grupa przyjechała do Rzymu, aby po uroczystej Mszy św. w Watykanie oddać hołd zmarłemu Ojcu Świętemu – Janowi Pawłowi II. Wśród tłumu wiernych przybyłych na Plac Św. Piotra na uroczystą Mszę Pontyfikalną, po wielu godzinach oczekiwania kombatantom i delegacji uczniów oraz nauczycieli z wrocławskiej szkoły udało się dotrzeć do grobu ukochanego Jana Pawła II w podziemiach bazyliki watykańskiej. Modliliśmy się w intencji Papieża Jana Pawła II u jego grobu w imieniu swoim i w imieniu wszystkich rodaków.

Udział uczniów ze Szkoły Podstawowej nr 73 im. Gen. W. Andersa we Wrocławiu w 60. rocznicy wyzwolenia Bolonii przez 2. Korpus Polski był dla nich

wspaniałą lekcją żywej historii i wychowania patriotycznego. Pobyt w miejscach uświęconych chwałą i ofiarą życia polskich żołnierzy, trwanie przy pocście sztandarowym w podniosłych momentach uroczystości, niepowtarzalne chwile spędzone na rozmowach z kombatantami zaowocowały przyjaźniami, jakie nawiązały się między weteranami a uczniami, między którymi trwa obecnie wymiana korespondencji. Kombatanci mówili o uczniach z dumą „nasze dzieci”, a płk Zbigniew Jaworski z Borów Tucholskich odwiedził już naszą szkołę po powrocie ze wspólnej wyprawy. Dzieci są przyszłością narodu, to one będą świadczyć prawdę kolejnym pokoleniom o naszej historii, której dzisiaj są świadkami. □

Wspomnienia dawne i niedawne. 60 lat nauczania medycyny w Lublinie

Władysław Stążka

Moja droga do medycyny i zawodu lekarza (II)



Władysław Stążka

W tymże zakładzie Fiziologii pracowałem do chwili przejścia na emeryturę, to jest przez następnych 16 lat. Początkowo pracę godziłem z dalszym studiowaniem. Nie było łatwo. Starałem się uczęszczać na wszystkie wykłady i ćwiczenia. Tak zwane egzaminy kliniczne można było zdawać w dowolnym terminie. Byli wśród nas i tacy, którzy dyplom ukończenia studiów otrzymywali w kilka lat po absolutorium. Okres ten był wypełniony niezwykle intensywną pracą. W tym czasie nawiązałem też do swojej przedwojennej aktywności w gimnazjum i zapisałem się do Sodalicii Mariańskiej na KUL-u, gdzie pełniłem funkcję zastępcy prezesa Sekcji Medycznej. Pamiętam spotkania z kardynałem Stefanem Wyszyńskim, który był wówczas wykładowcą. Wspominam też pracę w Bratniaku i Kole Medyków. Ponadto odbywałem prace społeczne na rzecz uczelni i miasta, na przykład przy odgruzowywaniu budynków na potrzeby stomatologii przy ul. Lubartowskiej, czy terenów obecnego miasteczka akademickiego. Były też wyjazdy w teren na wykopy kartofli. Już w późniejszych latach oczyszczaliśmy teren pod Zalew Zemborzycki. Były też i chwile prawdziwego relaksu. Chociażby słynne bale medyków, które odbywały się w różnych miejscach, między innymi w Collegium Maius, w Katedrze Medycyny Wojskowej, a nawet w sali Komendy Milicji przy ulicy Narutowicza. Były to

skromne zabawy z lemoniadą i oranżadą, ale zawsze w wesołej atmosferze, przy śpiewach i tańcach.

Po trzecim i czwartym roku studiów obowiązywały nas miesięczne praktyki wakacyjne w szpitalach na terenie całego kraju. Szczególnie zapamiętałem tę odbywaną z Zuzanną w Szpitalu Powiatowym w Żninie (woj. poznańskie) po ukończeniu czwartego roku. Szpital studwudziestolóżkowy z Oddziałami: Wewnętrznym, Dziecięcym, Gruźliczym, Chirurgicznym i Ginekologiczno-Położniczym. Na stałe zatrudnionych było dwóch lekarzy. Dyrektor szpitala – ginekolog, położnik, chirurg oraz jego ojciec, prowadzący oddziały zachowawcze. Po naszym przyjeździe lekarz-senior udał się na miesięczny urlop, więc zostaliśmy we trójkę, a popołudniami już tylko we dwoje z Zuzanną. Przez cały miesiąc niemal nie opuszczaliśmy murów szpitala. Izba przyjęć funkcjonowała przez całą dobę. Codziennie było też czynne ambulatorium (tu praktyka stomatologiczna i chirurgiczna). Zuzanna prowadziła samodzielnie oddział wewnętrzny, dziecięcy, gruźliczy oraz wykonywała wszystkie iniekcje. Ja zaś towarzyszyłem dyrektorowi w obchodach i operacjach, odbierałem porody. Zdarzyło się, że samodzielnie zoperowałem pęknięty wyrostek robaczkowy u 16-letniego harcerza w asyście Zuzanny i pod okiem świetnej instrumentariuszki. W wyjątkowo nagłych przypadkach, np. przy podejrzeniu pękniętej ciąży pozamacicznej, mogliśmy telefonicznie wezwać dyrektora. Co ciekawe, po zabiegach chirurgicznych pacjenci wracali pieszo na salę. Praktyka ta była doskonałą szkołą sztuki medycznej.

Ostatni, V rok studiów, ukończyłem w 1950 roku. Dyplom lekarza medycyny uzyskałem w roku następnym, po zdaniu ostatniego egzaminu. Dyplomy odbieraliśmy indywidualnie w dziekanacie. Moment otrzymania dyplomu był dla mnie ogromnym przeżyciem, mimo braku uroczystej oprawy. Wracałem do domu obrzeżami miasta, okrężną drogą, wpatrzony w ten dyplom, sięgając myślami wstecz, wspominając wypełnione pracę

lata. Wojna, okupacja, walka na froncie zmusiły do przerwania nauki i uniemożliwiły podjęcie studiów wyższych o czasie. Satysfakcja była więc tym większa, że zrealizowałem wcześniejsze plany i spełniły się moje najskrytsze marzenia.

W 1950 roku wziąłem ślub z Zuzanną Wojciechowską, wówczas studentką V roku. Nasza siedmioletnia znajomość i uczucie także przetrwały trudne czasy.

Od początku 1950 roku Wydział Lekarski był już częścią nowoutworzonej Akademii Lekarskiej, przemianowanej później na Akademię Medyczną. Rektorat mieścił się przy ulicy Cichej. Do dziś z wielkim szacunkiem i sentymentem wspominam moich nauczycieli akademickich. Spotkałem wśród nich ludzi pełnych głębokiej wiedzy, oddanych dydaktyce, życzliwych, kochających swoją pracę i nas, studentów. Cześć im za to! Z nich brałem przykład, nawet postępując już własną drogą dydaktyczną. Pracę ze studentami zawsze lubiłem i lubię nadal, choć dziś ze względu na podeszły wiek jestem może raczej kochającym ich dziadkiem.

We wczesnych latach powojennych medycyny uczyli nas profesorowie, ich zastępcy oraz asystenci bez tytułów naukowych. Wymienić chcę ich nazwiska i przedmioty, które wpajali nam do głów. Byli to: Wiktor Ziemecki – fizyka, Kazimierz Kalinowski – chemia nieorganiczna, Mieczysław Stelmasiak – anatomia prawidłowa, Tadeusz Kielanowski – propedeutyka lekarska, a później fizjatria i patologia ogólna, Ludmiła Morawska – lektorat języka francuskiego, Stanisław Grzycki – histologia, Marian Godlewski – chemia organiczna, Janina Blauth-Opieńska – chemia fizjologiczna, Wiesław Hołobut – fizjologia człowieka, Stanisław Mahrburg – anatomia patologiczna, Ludwik Fleck – mikrobiologia, Tadeusz Onyszkiewicz – chirurgia, Aleksander Goldschmied – choroby wewnętrzne i balneologia, Jan Lesiński – fizjologia ciąży i porodu, Witold Chodźko (były minister zdrowia) – epidemiologia, Jan Mydlarski – antropologia, Józef Świtek – laryngologia, Jan Danielski – higiena, Wiktor Stein – neurologia i psychiatria, Feliks Skubiszewski – chirurgia, Michał Voit – choroby wewnętrzne, Witold Klepacki – pediatria, Czesław Ryll-Nardzewski – dermatologia i wenerologia, Stanisław Liebhart – ginekologia i położnictwo, Tadeusz Krwawicz – okulistyka, Benedykt Dylewski – laryngologia, Witold Dżułyński – medycyna sądowa, Józef Freytag – choroby zawodowe, Aleksander Wośkowski – położnictwo operacyjne, Józef Jarzab – stomatologia, płk Robert Stryer – lekarskie wykształcenie wojskowe. W czasie moich studiów dziekanami byli kolejno profesorowie: Feliks Skubiszewski, Tadeusz Kielanowski i Stanisław Mahrburg.

Wielu z naszych nauczycieli słynęło z poczucia humoru. Podam tylko kilka przykładów. Profesor Grzycki żegnając się ze studentem, który musiał powtórzyć egzamin, podawał płasko rękę, mówiąc: „Pa, spotkamy się po kopaniu kartofli”. Prof. Liebhart popularnie zwany „Siasiem”, świetny wykładowca, ceniony i lubiany za poczucie humoru i błyskotliwe wypowiedzi, umiał na sobie samym zademonstrować przebieg porodu. Egzamin z położnictwa zdawałem razem z kolegą, bardzo słabo wówczas przygotowanym. Wydawało się, że obleję, a tu profesor mówi: „Ja wprawdzie nie słyszałem nigdy tego, o czym kolega opowiada, ale może ma pan

rację. Dam panu piątkę, bo może nikt więcej panu jej nie da.”

Wykłady prof. Kielanowskiego często wykraczały poza problem patologii i fizjatrii. Mówił zajmująco, pięknym językiem, bezpośrednio, jak gdyby rozmawiał ze swoimi kolegami. Któregoś razu na wykładzie, a było około godz. 16, zaczął mówić niewyraźnie, za co zaraz nas przeprosił. Przyznał się, że nie miał nic w ustach. Na to jedna ze studentek: „Panie profesorze, mam kanapkę z kielbasą.” „Ach, no to dawaj” – zjadł i kontynuował wykład w pięknym stylu. Profesor wykladał też i egzaminował w Gdańsku. Bywało, że w lecie egzamin odbywał się na plaży, w strojach kąpielowych, a nawet w doróżce.

Wykłady profesora Skubiszewskiego z chirurgii także były pełne humoru. Utkwiło mi jego powiedzenie: „Najlepsza z witamin to witamina K – kielbasa.”. Pewnego razu egzaminując już starszego wiekiem studenta, fatalnie przygotowanego, rzekł: „Panie, klękaj pan, podnieś dwa palce do góry i przysięgaj, że nigdy w życiu nie weźmiesz skalpela do ręki.”. Tak się też stało. Egzamin zaliczono. Takich i tym podobnych sytuacji było wiele.

Wielu pracowników naukowych uczelni pochodziło ze Lwowa i Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Po tragicznych dla całego narodu postanowieniach w Jajcie, znaleźli oni schronienie w Lublinie. Niektórzy z nich byli z bagażem przeżyć wyniesionych z łagrów i więzień. Wybitni ludzie nauki i kultury, cenieni w kraju i poza granicami, oddali swoją bogatą wiedzę, doświadczenie i siły w organizację i rozwój nowopowstających w Lublinie po drugiej wojnie światowej wyższych uczelni. W znacznej mierze, właśnie dzięki nim Lublin stał się znaczącym ośrodkiem nauki i kultury, przejmując choć w części rolę utraconego Lwowa. Z grona tego wielu już odeszło, a liczba pozostałych przy życiu nieubłagane maleje. Wymienię choć z nazwiska organizatorów i twórców katedr, klinik i zakładów Wydziału Lekarskiego i Farmaceutycznego alfabetycznie: Adam Bartoszewski, Ludwik Fleck, Marian Godlewski, Stanisław Gregosiewicz, Stanisław Grzycki, Wiesław Hołobut, Tadeusz Jacyna-Onyszkiewicz, Tadeusz Kielanowski, Zdzisław Kleinrok, Tadeusz Krwawicz, Stanisław Liebhart, Helena Mysakowska, Janina Blauth-Opieńska, Józefa Pietruska, Wiktor Stein, Wanda Stojalowska, Robert Stryer, Tadeusz Szynał, Alfred Tuskiewicz, Maria Tuskiewicz, Michał Voit. Wszyscy oni, jak i ja, urodzili się we Lwowie lub na kresach. Wspomnę też o innych, urodzonych poza kresami znakomitych pracowników naukowych, którzy związali swe zawodowe życie z Uniwersytetem im. Jana Kazimierza we Lwowie: Witold Dżułyński, Mieczysław Gamski, Andrzej Jakliński, Józef Jarzab, Mieczysław Kędra, Jan Kozak, Józef Parnas, Sergiusz Schilling-Siengalewicz, Kazimierz Skorzyński. I wreszcie ich godni następcy podkreślający swe lwowsko-kresowe rodowody: Alina Dobrzańska, Teresa Gerkowicz, Władysław Gołkiewicz, Janusz Hanzlik, Grażyna Jarzab, Janusz Klimek, Lidia Klukowska, Zbigniew Łozowski, Adam Majczak, Marian Markiewicz, Paweł Misiuna, Tadeusz Radomański, Helena Rodziejewicz, Olga Sakławska-Szymona, Maria Sieklucka-Dziuba, Wiesław Soroczan, Teresa Strobel-Kamińska, Maria

Stroczyńska-Sikorska, Ewa Tuskiewicz-Misztal, Ingeborga Tychowska-Moniakowska, Zuzanna Wojciechowska-Stążka, Jerzy Zagórski. Szczegółowe życiorysy wszystkich podane są w książce wydanej przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Lublinie, zatytułowanej *Lwowsko-kresowe korzenie wyższych uczelni Lublina* pod moją redakcją.

Wracam znowu myślami do mojej pracy w Zakładzie Fizjologii. Jak nadmienilem, zakład ten mieścił się początkowo przy ul. Lubartowskiej, w gmachu przedwojennej szkoły rabinackiej. Tamże był Zakład Chemii Fizjologicznej kierowany przez profesor Janinę Blauth-Opieńską, lwowiankę, Zakład Mikrobiologii z kierownikiem prof. L. Fleckiem, a później J. Parnasem. Tam też prof. W. Hołobut sprawował funkcję kierownika nieistniejącego jeszcze Zakładu Farmakologii, gdzie na etacie asystenta zatrudniono Zuzannę. W Zakładzie Fizjologii zastałem pracujących tam od roku: dr. Kazimierza Wajdę ze Lwowa (krótko) oraz dwóch asystentów kończących właśnie studia: Romana Kordeckiego i Tadeusza Węgrzeckiego. Roman Kordecki rozpoczął studia w Wilnie w 1940 roku, dyplom lekarza uzyskał w Lublinie w 1946 roku, a w 1950 roku objął stanowisko Naczelnika Wydziału w Ministerstwie Zdrowia. Później był kierownikiem Katedry Fizjologii AM w Białymstoku i tamże dziekanem. Doktor Tadeusz Węgrzecki był założycielem Wojewódzkiej Stacji Krwiodawstwa w Lublinie i przez wiele lat pełnił funkcję jej dyrektora. Wielu kolejnych, byłych pracowników Zakładu Fizjologii objęło później odpowiedzialne stanowiska naukowe, kierowało klinikami i zakładami teoretycznymi, nawet pełniło funkcję rektorów. Wspomnę tu chociażby Romana Kordeckiego, Jerzego Cytawę, Juliusza Tokarskiego, Adama Kołataja, Eligiusza Modrzejewskiego, Bolesława Semczuka.

Mile wspominam moją pracę dydaktyczną ze studentami. Zawsze chętnie uczestniczyli oni w zajęciach praktycznych. Preparowaliśmy żaby, w które zakład zaopatrywali dostawcy, a niejednokrotnie łapaliśmy je sami. Prowadziliśmy ciekawe pokazy na izolowanych sercach tychże żab, królików, na uśpionych psach z otwartą klatką piersiową, obserwując pracę serca i wpływ na nią różnych czynników. Studenci chwalili sobie nasze ćwiczenia i pokazy, chętnie uczęszczali też na wykłady profesora. Profesor Hołobut był doświadczonym pedagogiem i wykładowcą, syn sędziego Sądu Okręgowego w Samborze. Szkołę powszechną i gimnazjum ośmioklasowe typu klasycznego ukończył we Lwowie. Dyplom lekarza i stopień doktora wszech nauk lekarskich uzyskał także we Lwowie, na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu im. Jana Kazimierza w 1931 roku. Już na drugim roku studiów pracował w Zakładzie Fizjologii, początkowo jako demonstrator, potem jako asystent pod kierunkiem wybitnego specjalisty – profesora Adolfa Becka. Następnie podjął pracę lekarza w Szpitalu Powszechnym we Lwowie oraz w Klinice Ginekologii UJK. W latach 1939-1944 pracował w Państwowym Instytucie Medycznym oraz w Miejskim Szpitalu Położniczym, jak również w Miejskiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Krótko był kierownikiem Zakładu Fizjologii Instytutu Weterynaryjnego i ordynatorem Kliniki Położniczo-Ginekologicznej Instytutu Medycznego. Zmobilizowany do I Armii WP był ordynatorem w stopniu kapitana

VIII Polowego Szpitala. W Lublinie znalazł się na początku 1945 roku i brał udział w tworzeniu Wydziału Lekarskiego UMCS. Tu habilitował się i w roku 1947 został mianowany profesorem. W 1955 roku został prorektorem, a w latach 1956-1959 pełnił funkcję rektora, już wówczas Akademii Medycznej. W latach siedemdziesiątych był ponadto dyrektorem Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi w Lublinie. Przez te wszystkie lata, do momentu przejścia na emeryturę w 1977 roku, pełnił funkcję Kierownika Zakładu Fizjologii AM. Był człowiekiem charakteru i wszechstronnej, także humanistycznej, wiedzy. Cechowała go odwaga i poczucie godności. Był uczniem znakomitych lwowskich profesorów, twórców polskiej fizjologii, prof. Adolfa Becka i prof. Andrzeja Klisieckiego. Znakomicie wykladał, świetnie kierował naszym zespołem. Mam Go stale w pamięci.

Drugą moją zawodową miłością oprócz fizjologii była pediatria. Chciałem przecież wykonywać zawód lekarza. Specjalizację rozpocząłem pod kierunkiem dr. Krzysztofa Ślaskiego, wybitnego specjalisty, doświadczonego pediatry, pracującego w Szpitalu Dziecięcym przy ul. Staszica, człowieka ogromnej wiedzy praktycznej i naukowej. Odznaczał się spontanicznym, życzliwym stosunkiem do ludzi. Zaangażowałem się w tym czasie jako lekarz praktyk w pracę lubelskich żłobków, przedszkoli i szkół. Po uzyskaniu tytułu specjalisty z zakresu pediatrii podjąłem dodatkową, stałą pracę w przychodni rejonowej na Kalinowszczyźnie, kierując też przez jakiś czas tą placówką. Pracowałem tam do czasu habilitacji. Niełatwo było pogodzić te wszystkie zajęcia. Wracalem do domu późnym wieczorem. Dwoje dzieci, dziś także lekarzy. Ciężar ich wychowania, prowadzenia domu spoczywał na żonie, również pracowniku naukowo-dydaktycznym AM – początkowo w Zakładzie Farmakologii – następnie w I Klinice Chorób Wewnętrznych pod kierunkiem prof. M. Gamskiego i wreszcie w Klinice Kardiologii kierowanej przez prof. Mieczysława Kędrę.

W czasie pełnienia przez prof. W. Hołobuta funkcji rektora AM (1956-1959) udostępniono mi fragment akt personalnych. Była to anonimowa opinia tej treści: „... Wróg państwa, o poglądach skrajnie klerykalnych, żegna się przed jedzeniem i przechodząc obok kościołów...”. W czasach stalinizmu w Polsce był to poważny zarzut. Owszem, nawyki religijne pozostały mi z czasów dziecięcych i młodości, tak zostałem wychowany przez matkę i szkołę. Za radą rektora napisałem oświadczenie, że treść opinii nie jest zgodna z prawdą i kwalifikuje się do zniszczenia, co rzeczywiście uczyniono.

Wracam do mojej 46-letniej pracy jako fizjologa. W roku 1963 Zakład Fizjologii przeniesiono w nowe mury przy ul. Radziwiłłowskiej, przemianowanej swego czasu na ul. Dymitrowa. Dziś znów jest to ul. Radziwiłłowska. Warunki lokalowe znacznie się nam poprawiły. Zakład Fizjologii funkcjonuje tu do dnia dzisiejszego. Ja, dzięki życzliwości JM rektorów: nieżyjącego prof. Zdzisława Kleinroka i aktualnie sprawującego władzę w AM prof. Macieja Latańskiego, korzystam nadal z mojego skromnego pokoiku i jestem tu codziennie. W gmachu tym znajdują się ponadto Zakłady: Higieny, Biologii, Genetyki i Histologii AM. Przez szereg lat funkcjonował tu także, na jakże skromnej powierzchni, dziekanat Wydziału Lekarskiego. (c.d.n.)

Tadeusz Ulrych

Tadek: życiorys (II)

W 20 rocznicę moich urodzin, 3 października, przekroczyłem Kanał Sueski w Kantarze i pociągiem przez deltę Nilu do Agami, pięknej miejscowości letniskowej bogatych Egipcjan oddalonej 15 km od Aleksandrii. Wille, niestety, były zamknięte, a my zamieszkaliśmy w namiotach wkopanych w piasek. Lotnictwo wrogiej Osi interesowało się wtedy flotą morską w Aleksandrii, ale i o nas nie zapomnieli. Jednego razu znalazłem się pomiędzy czwartym a piątym lejmem po bombach – to modlitwy ocaliły mi życie.

Tak jak Polacy w 1920 r. rozbili Armię Czerwoną pod Warszawą, tak Anglicy rozbili armię włoską na granicy Egiptu-Libii. My musieliśmy zaopiekować się 60000 jeńców.

W roku 1941 Anglicy zajęli całą Cyrenajkę i rozbili armię włoską w Somalii, Etiopii i Erytrei. Nas wysłano na pustynię zachodnią El Daba, Mersa Matruh (Kleopatra i Marek Antoniusz tu spędzali miesiąc miodowy), Sidi Bagush i Sidi Hannish. Naszym zadaniem było pilnowanie magazynów amunicji, żywności, paliwa i założenie ponad kilkunastu kilometrów pól minowych.

13 lutego do Libii przyleciał Rommel i wbrew rozkazom z Rzymu i Berlina ruszył na wschód. Anglicy, nie spodziewający się tego, zaangażowali się w Grecji. Drogo zapłacili za swoją głupotę: stracili Cyrenajkę i dwie dywizje w Grecji. My też mieliśmy tam popłynąć, ale zanim przyjechalibyśmy z pustyni do Aleksandrii, flota była już zajęta ewakuacją niedobitków z Krety. Jedyną korzyścią z takiego obrotu spraw było nowe uzbrojenie dla nas.

W połowie sierpnia sytuacja zmieniła się diametralnie: najpierw w dniach 16 i 17 przerzucono nas z Sidi Bagush do Mersa Matruh, a potem, 19 i 20 sierpnia, pociągiem z Mersa do Amiriya. Cały czas trwało pogotowie marszowe, nie było przepustek. Lecz w tym wszystkim jeden szczegół był bardzo dziwny: cała Aleksandria знаła nasze przeznaczenie, tylko my nie wiedzieliśmy o niczym! Ot, typowa tajemnica wojskowa. Wolno nam było wziąć mundur, płaszcz, karabin, karabin maszynowy, buty w plecaku, a pantofle gimnastyczne na nogach i... dalej w drogę. Przed świtem 24 sierpnia pojechalibyśmy samochodami do portu aleksandryjskiego i załadowano nas na okręty wojenne. Prowadził krążownik Ajax, słynny z bitwy i zatopienia Graf von Spee. Był też polawiacz min Latona, storpedowany i zatopiony ze stratą 900 ludzi w konwoju wrześniowym. Płynęły też trzy kontrtorpedowce, a ja na jednym z nich. Miejscem przeznaczenia był Tobruk. W ciągu dnia eskortowało nas 27 samolotów. W nocy byliśmy sami. Przed północą zawinęliśmy do portu i najszybciej jak się dało po drabinach sznurowych opuściliśmy się do barek, na mola i marszem do miejsc, gdzie czekały samochody. Po godzinie już nie było po nas śladu. I całe szczęście – nadleciały niemieckie samoloty i rozpoczęły bombardowanie.

Tymczasem my obsadzamy odcinek El Adem w odległości 2-3 km od nieprzyjaciela. Co noc wysyłamy patrole i tylko artyleria przypomina nam od czasu do

czasu o tym, że trwa tu wojna. Zostaliśmy zluźowani 30 września i od razu objęliśmy nowy odcinek, by 3 października, w dniu kolejnych moich urodzin, przenieść się na najcięższy fragment frontu: Ras El Meduar. Tu było między nami a wrogami wynosił tylko 80-120 metrów, więc mogliśmy ruszać się tylko w nocy. Co wieczór między 7.00 a 9.00 trwało zawieszenie broni – obie strony uzupełniały żywność, wodę i amunicję. Ewakuowano rannych i chorych, wymieniano załogi. Polacy trzymali ten odcinek przez 71 dni. Nikt inny nie trzymał tak długo! Niepisane zawieszenie broni było szanowane przez obie strony. Zupełnie spokojnie i bezpiecznie o siódmej można było wyjść i rozprostować nogi. Patrole oczywiście znajdowały się na przedpolu na wszelki wypadek, ale nie pamiętam, by ktoś strzelał. Nie było głupich. Pod koniec strzelano w górę kurtuazyjną serią pocisków świetlnych. Nikt nie spał w ciągu nocy, a w dzień tylko obserwatorzy pełnili służbę. Naturalnie zmienialiśmy stanowiska co dwa-trzy tygodnie i tak pod koniec października spotkałem mego serdecznego przyjaciela z gimnazjum Józia Rowińskiego. Ja obejmowałem jego stanowiska, a on odchodził na odpoczynek na S13, do bunkra wykopanego w skale. Był w złym humorze, bo moździerze niemieckie rozwalily mu kuchnię i cały dzień nic nie jadł i nie pił. Ostrzegł mnie, że Niemcy polują na najmłodszych, a my byliśmy najmłodsi w naszych kompaniach. Zginął krótko potem, w listopadzie. Miał przeczucie...

Niemcy zaczęli coś szykować, więc wszystkie oddziały otrzymały rozkaz: brać jeńca! Przyszła moja kolej na patrol. Było nas sześciu. Przekradaliśmy się cichutko do pola niemieckiego czy też włoskiego – nie miało to znaczenia. Zaczęliśmy nasłuchiwać... Oho! Jest ich czujka w środku min!!! Postanowiliśmy zrobić przejście w polu minowym i urządzić zasadzkę. Niestety, szczęście nie sprzyjało, a może ktoś nas usłyszał?! Nagle rakiety rozświetliły pustynię i rozpoczęła się strzelanina. Pociski świetlne widać tuż nad nami, a pod nami ziemia równa jak stół – nie było najmniejszej nawet nierówności, za którą można by się ukryć!!! Leżymy płaciusierko i modlimy się... Sytuacja jest dość nieprzyjemna, bo pupa wystaje, a mieć przestrzeloną pupę fosforowym pociskiem jest bolesne i niewygodne. Nareszcie wszystko uspokoiło się! Dzięki Bogu obeszło się bez rannych. Wyczołgaliśmy się z pola minowego i na czworaka dotarliśmy do naszych pozycji.

W kilka dni później zdarzyła się inna „przygoda”. Tak wspomina się ją w „Historii Baonu”: 17-19 listopada nagle ulewa tropikalna przeobraziła pustynię w jezioro. Woda wezbrała tak gwałtownie, że wszystkie stanowiska, schrony, ziemianki, rowy zostały zalane. Także broń, amunicja, dobytek żołnierski. Rakiety zapłonęły na całym odcinku. Dłuższe przebywanie na stanowiskach zalanych lodowatą wodą było samobójstwem. O świcie, o dziwo, nastąpił nieoficjalny rozejm – obie strony stały się bezbronne! Trwał przez trzy dni. W nocy wojna, ale za dnia – pokój. Życie wróciło do normy 20 listopada. Trzy dni później przeniesiono mnie do odwodu i zostałem przydzielony do oddziału, który miał wyjść z fortecy i nawiązać kontakt z Anglikami pod Sidi Rezegh.

Nagle 25 listopada Niemcy otworzyli huraganowy ogień na S13. Tam poszedł na odpoczynek Józio Ro-

wiński! Z rejonu White Knoll i Pimpli natarł batalion niemiecki. Atak załamał się dzięki skoncentrowanemu ogniovi naszej artylerii. Józio, niestety, został ciężko ranny. Nie pomogła natychmiastowa ewakuacja – zmarł w szpitalu. Tymczasem mjr Fanslau wysłał mnie z drużyną na patrol na White Knoll, by sprawdzić co robią Niemcy. Po drodze natknęliśmy się na zwłoki młodego Niemca leżące bezładnie w leju po bombie. „Dobrze ci tak – pomyślałem. To za mego Józia!” Przesiedzieliśmy całą noc; nic się nie działo. Wracając o świcie zatrzymaliśmy się przy poległym Niemcu. W jego kieszeni znaleźliśmy list. Mama pisała między innymi, że spodziewa się go na Boże Narodzenie w domu. Zrobiło się nam niedobrze!!!

7 grudnia po drugiej bitwie o Sidi Rezegh Niemcy zaczęli wycofywać się na zachód, a pięć dni później staliśmy się wolni!!!

Zamiast jechać do Egiptu, jak obiecywano od miesiąca, skierowano nas do Gazali. Naszym zadaniem był atak na włosko-niemiecką obronę. W dniach 15-16 grudnia złamaliśmy opór nieprzyjaciela i odnieśliśmy pierwsze zwycięstwo nad Niemcami! Do dziś co roku spotykamy się na koleżeńskim obiedzie w niedzielę najbliższą 15 grudnia.

Boże Narodzenie i Nowy Rok 1942 przywitaliśmy na lotnisku w Dernie, dobrze zaopatrzeni w żywność pochodzącą z magazynów pozostawionych przez Włochów i Niemców. Były nawet konserwy z Polski. A specjalny koniak dla wyższych oficerów włoskich był poezją niezapomnianą do dziś. W Dernie, nadmorskim mieście-oazie odpoczywaliśmy naprawdę.

25 stycznia Rommel rozpoczął marsz na wschód. Oaza i skrzyżowanie traktów pustynnych w Mechili były bronione przez Brygadę z Wolnymi Francuzami. Cynicy mówili, że jeżeli utrzymamy Oazę przez 48 godzin, to będzie cud! Anglicy opuścili Bengazi bez walki, niszcząc port. Rommel więc zamiast atakować Mechili, postanowił zatrzymać się i naprawić zniszczenia, by doprowadzić port do stanu użyteczności. To uratowało Brygadę!

4 lutego zostaliśmy przeniesieni do Gazali, by budować nową linię oporu Gazala-Bir-Hacheim. Monotonne życie wówczas urozmaicało nam jedynie lotnictwo niemieckie. 16 marca zluźowali nas Południowi Afrykańczycy i natychmiast z 16/17 wyruszyliśmy do Aleksandrii oddalonej o 570 km. 22 marca dotarliśmy do Amiriya i tu nareszcie upragniony miesięczny odpoczynek i urlopy – w Kairze.

Pod koniec kwietnia przyszły nowe rozkazy. Wsiedliśmy na samochody i przez pustynię synajską zdążaliśmy do Palestyny. Nocą 2 maja dojechalibyśmy do Quastina koło Gazy. Nie miałem pojęcia, że czeka mnie tu nieprawdopodobne spotkanie.

Nadszedł pamiętny dla mnie dzień 3 Maja. Po południu z grupą kolegów czekałem na jakiś mecz, a tu idą „Pestki”, ochotniczek w mundurach. Patrzę i poznaję Nuśkę, ale oczom nie wierzę! „Te kobiety przybyły z Rosji! Nuśka z Rosji??? Niemożliwe!!!” Przez jakieś pół godziny przyglądałem się jej z różnych stron: czy to moja kuzynka? Córka siostry mojej mamy? W końcu koledzy mnie wypchnęli. Podchodzę i nieśmiało pytam: „Przepraszam, ale czy pani jest Danutą Helcówną?”. Kobieta pomału wstaje i mówi: „Tak, ale kto pan jest?”.

Ja byłem już od dawna bez okularów, więc nic dziwnego, że mnie nie rozpoznała!!! Wpadliśmy sobie w ramiona i opuściliśmy boisko sportowe. Okazało się, że Nuśka z mężem Bronkiem – przed wojną pracownikiem ministerstwa, we wrześniu 1939 roku uciekli z Warszawy do Żółkwi, do jego rodziców. I tak zostali „gośćmi Stalina”. Teraz Bronek był też niedaleko, więc od tej pory spotykaliśmy się często w Rehovot z Nuśką i w Quastina z Bronkiem. Ale najważniejsze – nareszcie miałem pierwsze informacje o moich Rodzicach.

Tymczasem rozpoczęła się wielka reorganizacja. Tworzono nowe oddziały. Pewna liczba oficerów, podchorążych i podoficerów odeszła do nowych jednostek. Ja pozostałem w tej samej kompanii. Nuśka pojechała do Jerozolimy, gdzie z innymi Pestkami prowadziła Dom Polski. Odwiedzałem ją dość często. Bronek, jako strzelec z cenzusem, odszedł do Podchorążówki. Będąc przedwojennym pracownikiem ministerstwa w Warszawie miał znajomości i dobrze się ulokował w Głównej Bazie Zaopatrzenia II Korpusu. Namawiał mnie bym się przyłączył do niego. Wytłumaczyłem mu jednak, że to niemożliwe, że nie mógłbym patrzeć w oczy moim kolegom i podwładnym.

Czas mijał na kursach, szkoleniach, ćwiczeniach. W lipcu batalion załadował się na pociąg i przenieśliśmy się na północny koniec Kanału Sueskiego, do Port Said. Przez kolejnych 21 dni naszym domem był okręt hinduski: ciasno, brudno, gorąco. A na dodatek – kuchnia hinduska!!! Ale przeżyliśmy i to! Przepłynęliśmy wtedy Kanał Sueski, Morze Czerwone, Aden, Ocean Indyjski (w zasięgu japońskich łodzi podwodnych, żeby nam się nie nudziło), Morze Arabskie, Zatokę Perską i Shatt El Arab (ujście Eufratu i Tygrysu) do Basry. Tu czekając na transport kolejowy, poszliśmy na rynek i jedyny raz w życiu widziałem handel kobietami. Kupowali sobie żony lub babki do haremu. Ponieważ kobiety były przykryte, więc po kupnie, za murami rynku, mężczyzna odkrywał „towar” i jeżeli mu się spodobał, to zabierał go do domu, jeżeli nie – z powrotem na rynek i sprzedawał innemu. Zaraz po wojnie handel ten zaniknął.

Tymczasem wyruszyliśmy w dalszą drogę: pociągiem dookoła Bagdadu do Kurdystanu. Polaków nikt tu nie znał, ale o Lechistanie krążyło wiele legend. W Jaloula koło Quizil Ribat zorganizowano nasz nowy obóz, przygotowany przez „rzut kołowy”, który przyjechał tu wcześniej. Wokół nas znowu pustynia, ale jakże inna od tamtej: z temperaturą dochodzącą do +50 stopni i dość częstymi burzami piaskowymi z trąbami powietrznymi porwijącymi nawet namioty! Mimo tych warunków rozpoczęło się normalne życie codzienne i ćwiczenia, szkolenie w różnych broniach, podchorążówka, szkoła podoficerska. I dla nas najważniejsze – mieliśmy tu naszą małą Polskę: polskie radio, gazety, tygodniki, miesięczniki, kantyny, świetlicę z żeńską obsługą w mundurach. Odbывały się imprezy artystyczne, rewie, turnieje śpiewacze itd. Mieliśmy też czas wolny, który ja wykorzystałem na poszukiwania kogoś z Bitkowa. I szczęście mi dopisało!

Już po dwóch tygodniach odnalazłem Władkę Stecko, córkę komendanta posterunku w Bitkowie, jednym słowem – sąsiadkę! Ona z matką i braćmi (ojciec zastrzelony przez NKWD w październiku 1939 roku) była

z moimi Rodzicami w Andrejówce! Teraz nareszcie mam dokładny opis ich życia.

W roku 1940 cała rodzina: Ojciec, Mama, Babka, kuzynka i córki przyjeżdżały do Ojca, dwie Krysie: Biała i Czarna, zostali wywiezieni, jak setki tysięcy innych, do Kazachstanu. Te dwie 13-letnie wówczas dziewczynki pochodziły z dwóch rodzin o tym samym nazwisku: Schmidt. Ich domy znajdowały się z dala od centrum, więc zbierały się tam grupy uciekinierów na Węgry. W marcu 1940 r. NKWD zlikwidowało to wszystko. Panowie Schmidtownie byli już w wojsku polskim w Szkocji, a panie zostały aresztowane i wysłane do więzień w Rosji. W Bitkowie zostały dwie Krysie; blondynka, zwana Białą, była córką chrzestną mego Ojca. Pojechały więc z moimi Rodzicami do Kazachstanu. Ktoś musiał się nimi zająć!

Dusia Stecko opowiadała mi również o innych krajach, wśród nich o Krysi i Hance Łodzińskich, które niestety odjechały już do Palestyny i z którymi spotkam się dopiero w roku 1943.

Pewnego dnia odkomenderowano mnie do Qayarah do szkoły podchorążych jako instruktora na dwa sześciomiesięczne turnusy. Było to cholernie wygodne, gdyż niedaleko, w mieście Mossul, był szpital, a w nim pracowały pani Schmidtowna z córką Białą Krysią. Odwiedzałem je często. Rozmawialiśmy dużo o moich Rodzicach i ich biedzie. Pani Schmidtowna, dowiedziawszy się o tym, że nie mam żadnego kontaktu z Rodzicami, chciała za wszelką cenę temu zaradzić. Wszystkie próby spaliły na panewce, aż wreszcie wpadła na genialny pomysł: za pośrednictwem Poselstwa Polskiego wysłała ogłoszenie do gazety w Kustynaju, że podchorąży Tadeusz Ulrych z Brygady Karpackiej poszukuje rodziców. Od tej pory listy zaczęły dochodzić, co prawda nieregularnie, wiele zaginęło, ale najważniejsze, że łączność była utrzymana.

Po Wielkanocy 1942 obie bitkowniki popłynęły okrętem szpitalnym do Szkocji. Spotkaliśmy się znowu w Anglii w latach 1947-49. W sierpniu 1949 roku cała ich rodzina wyjechała do Argentyny.

Tymczasem zostałem odkomenderowany na jeden turnus do szkoły podoficerskiej, gdzie nauczałem o różnych broniach, nb. mój ulubiony temat. Po powrocie do Batalionu przeniesiono mnie do p-panc. i w tym oddziale pozostałem aż do Cassina. Wykorzystałem ten okres na zaznajomienie się ze sztuką dowodzenia moździerzami 3-calowymi. W kampanii włoskiej ćwiczyłem to w ogniu walki: Rysiewi Hoenowi, dowódcy naszych moździerzy, dawałem dane tak dokładnie, że nie tracił czasu na kalkulacje.

Nadszedł czerwiec 1943 roku. Odbywaliśmy wówczas ostatnie wielkie ćwiczenia dywizyjne. Ostatni też raz odwiedził nas gen. Sikorski. Potem nadszedł 3 lipca i tragiczna wiadomość o Jego śmierci okryła nas żałobą. Jednak życie i walka nie znają przerwy – natychmiast nastąpiły zmiany w dowództwie: 30 lipca gen. Kopański odszedł do Londynu na stanowisko Szefa Sztabu, a dowództwo w 3DSK objął gen. Bronisław Duch.

Już pod rozkazami tego generała 19 sierpnia wyruszyliśmy samochodami przez Irak, Jordan do Haify i pociągami do Tripoli w Syrii. Tu wykonujemy ćwiczenia górskie z mulami i na zakończenie – krótkie komando. 15 października jedziemy do Palestyny na ostatnie wiel-

kie ćwiczenia Korpusu z Hindusami. Potem nadchodzi czas urlopów. Odwiedzam Nuškę w Jerozolimie, Krysie Łodzińską w Gederze, Hankę Łodzińską i Czarną Krysie Schmidtowną w gimnazjum dla dziewcząt w Jenin, gdzie według przekazów ewangelistów Pan Jezus uleczył trędowatego.

Rozpoczął się listopad i ostatnie tygodnie na ziemi palestyńskiej. Nim wyruszyliśmy ponownie w drogę, tym razem do Europy, odwiedził nasz Korpus gen. Sosnkowski. Tak, przed nami w planach Europa, ale czy to znaczy, że zbliżamy się do Polski, do domu...? Na razie jednak samochodami jedziemy do Qassasin, do dużego przejściowego obozu nad Kanałem Sueskim na południe od Ismailii. Późnym wieczorem 12 grudnia ładujemy się na statek transportowy w Suez i pod eskortą Mountains Princes (Księżniczka Gór) płyniemy Kanałem Sueskim do Port Said. Tu ostatnie sortowanie konwoju i pod eskortą 9 torpedowców, wśród których są dwa polskie – Ślązak i Kujawiak, płyniemy na zachód. Konwój prowadzi wciąż Księżniczka Gór. Mijamy deltę Nilu i Abu Kir, miejsce, w którym Nelson rozbił flotę francuską, czym wybił Napoleonowi Egipt z głowy! Zostawiamy też naszą kochaną Aleksandrię i Agami – brzeg afrykański znika za horyzontem. Nareszcie stawiamy stopy na ziemi europejskiej!!!

Jest 21 grudnia 1943 roku. Taranto. Europa wita nas ruinami, strachem i głodem. Komu zdarzyło się być w grudniu we Włoszech, ten wie, co znaczy deszcz. Przez kilka godzin maszerujemy przemoczeni do suchej nitki. Leje bez przerwy. Nareszcie obóz – namioty pod deszczem, maszerujemy na nowe miejsce. Tu są co prawda lepsze namioty, ale koce, bagaż i kuchnie dojadą dopiero za dwa dni. Tutaj też zastaje nas Boże Narodzenie AD 1943 – wtedy 3 Batalion obchodził je jedyny raz po chrześcijańsku – na trzeźwo.

Zaraz po Nowym Roku wyruszamy pieszo do stacji kolejowej i pociągami do Minervino, małego, brudnego miasteczka w górach. Zaznajamiamy się z włoskim winem i zajmujemy pozycje nad rzeką Sangro. Po lewej na zachód Amerykanie, na wschód Anglicy, a przed nami Niemcy. Monte Cassino mruczy z dala. Wokół pełno śniegu – wszystkie pozycje znajdują się powyżej 1000 m nad poziomem morza. Co noc wychodzimy na patrole. Artyleria urozmaica monotony tryb życia. Batalion ma gości: w dzień przed Wielkanocą zjawili się Polak z armii niemieckiej. Przyniósł wiele ciekawych wiadomości o niemieckich oddziałach rozmieszczonych w Abruzzi.

Nadeszła wiosna, a z nią nowe rozkazy. Opuśczaemy góry i 27 kwietnia 1944 r. jedziemy do Venafrò i dalej pieszo do ruin San Vittore. Tu rozproszeni w rowach zamaskowanych w gajach oliwnych czekamy na świt. Pomału wylaniają się z mroku nocy góry Monte Cassino, klasztor w ruinie i zadymiona przez cały nadchodzący dzień dolina rzeki Liri. Cassino to kilkumiesięczne starcie zbrojne siedmiu narodów. My jesteśmy ostatni i to będzie czwarta bitwa. Nareszcie „wodzowie” nauczyli się na poprzednich błędach. Walka musi być prowadzona na całym odcinku od morza do morza. Jedynie to uniemożliwi Niemcom przerzucanie oddziałów i łatanie dziur.

Anders miał do wyboru dwa odcinki, więc wybrał klasztor – wybór był pozorny. Stalin oskarżał nas, że nie chcemy bić Niemców tak jak „bohatera Armia

Czerwona”, że jesteśmy tchórzami. Gdy Cassino padło, to Radio Moskwa oświadczyło, że klasztor zdobyły wojska słowiańskie! Przecież nie mogli ogłosić, że Stalin oczerniał Polaków!!!

Czytając „Szkice spod Monte Cassino” Wańkowicza odnosi się wrażenie, że 3 Batalion nie brał udziału w tej krwawej batalii. Tymczasem to on trzymał linię, a pierwszy i drugi szturmowały. Ja, będąc w p-panc., zostałem w eszelonie. Naszym zadaniem było przeładowywanie całego zaopatrzenia na muły i dostarczenie do tzw. Dużej Miski. Wszystko musiało być przygotowane i posortowane. Było o tyle wygodnie, że znajdowaliśmy się jedynie w zasięgu artylerii, a ona okładała nas stosunkowo rzadko. Jednak nie każdy zdaje sobie sprawę, jak od kuchni wyglądało nasze zadanie. Oto jak opisuje to „Historia 3DSK”: „Praca wymagała wielkiej pilności, dokładności i punktualności. Za dnia musiało się przygotować żywność, wodę, amunicję, naprawioną i nową broń, pocztę. Załadować to wszystko w juki wedle ściśle określonej wagi i rozłożyć na poszczególne oddziały. Punktualnie o oznaczonej godzinie przybywała co wieczór kolumna mułów, prowadzona przez Cypryckich bez broni. Natychmiast do mułów wiązało się juki, co wymagało specjalnej umiejętności, aby w 12-kilometrowej drodze pod górę juki się nie obluźniły i nie pospadały. Komendantem kolumny był oficer lub podchorąży. Co sześć mułów jako eskorta szedł jeden uzbrojony szeregowy. Wszystko musiało chodzić jak w zegarku – tabela ruchu była jak najsurowiej przestrzegana, przelot-

Iwo Werschler

Morderstwo w Truskawcu



Tadeusz Hołowko
Archiwum Dokumentacji
Mechanicznej w Warszawie
(brak daty)

70 lat, pierwszą sprawą jaką wspominając je winien wyjaśnić jest kwestia: kim był Hołowko oraz kto i dlaczego dokonał tego zamachu? Aby odpowiedzieć na te pytania trzeba pokrótce nakreślić curriculum vitae zabitego polityka.

Tadeusz Hołowko urodził się w 1889 r. w Semipalatyńsku (Kazachstan) jako syn zesłańca. W Kazach-

ność dróg i ścieżek ograniczona. Kolumny szły jedna za drugą do różnych punktów. Były straty od ognia artylerii i moździerzy. Trupy ludzkie usuwano, ale muły gnily i śmierdziały niesamowicie.”

Byłem dwa razy na takim „spacerze”. Za drugim razem droga prowadziła przez Dolinę Śmierci, Diabelski Most, Drogę Polskich Saperów do Dużej Miski. Na pięciu pierwszych mulach jechały granaty fosforowe, które musiały być dziś dostarczone. Ruszamy i jak zwykle „Ojciec Nasz” na lewą nogę. Artyleria maca tu i tam; niebliśko, więc idziemy. Tymczasem Niemcy skracają ogień. Idę za ogniem, ale gdyby tylko raz zmienili, to dziś nie opowiadałbym tej historii. Nareszcie Duża Miska. Rozładowujemy i padają pierwsze pociski moździerzy. Na następne nie czekamy, biegiem do domu. Uff, obyło się bez strat! Wyciągam zza pazuchy manierkę, by lyknać rumu, a tu ani kropli. Co jest, u licha? Ot, dziura w manierce!!! Więc modlitwa została wysłuchana! Będziemy żyć jeszcze co najmniej przez jeden dzień i będzie okazja na rum!

Batalion stał na pozycji przez 18 dni, co kosztowało 230 zabitych i rannych. Podczas odpoczynku zostałem przeniesiony do 4 kompanii i objąłem pluton Adasia Koczerkiewicza, kolegi z podchorążówki. Dokładnie nie wiem, kto wpadł na ten pomysł, bo Adaś był sportowcem i wszystkie akcje traktował jak mecz piłki nożnej, a ja należałem do „spokojnych pijaków”, których dewiza brzmiała: „był do jutra”. No cóż, rozkaz jest i koniec.

(c.d.n.)

stanie nazywanym wówczas Turkiestanem ukończył gimnazjum, a następnie rozpoczął studia na uniwersytecie w Petersburgu angażując się równocześnie w działalność polityczną w kręgu socjalistów-niepodległościowców, co ściągnęło nań represje policji carskiej. Represje te zmusiły Hołowkę do opuszczenia na pewien czas Rosji i kontynuowania studiów w Krakowie, w zaborze austriackim. Tam związał się z ruchem, któremu przewodził Józef Piłsudski. Piłsudski wywarł na młodym człowieku silne wrażenie. „Natchnął mnie wiarą i umiłowaniem Sprawy (...) On mnie pasował na żołnierza Niepodległej Polski.” – napisał po latach Hołowko. Gdy wybuchła wojna w 1914 r. Hołowko przerwał studia i wstąpiwszy do tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej pracował w redakcjach pism warszawskich, propagując poglądy ugrupowania piłsudczyków stawiających wówczas na państwa centralne. Już wtedy głosił potrzebę budowania współpracy z Litwinami, Białorusinami i Ukraińcami, a więc narodami rozwijającymi się na obszarach byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Był zatem zwolennikiem tzw. koncepcji federalistycznej, przeciwnej koncepcji inkorporacyjnej Romana Dmowskiego.

Po zajęciu Warszawy przez Niemców w 1915 r. za głoszenie postulatów odbudowy niepodległej Polski został Hołowko aresztowany i przez 9 miesięcy więziony w obozach niemieckich. Po wyjściu na wolność nadal działał w POW i pisał artykuły do wydawanego poza cenzurą pisma „Rząd i Wojsko”. Na słusność orientacji na państwa centralne zdawał się wskazywać tymczasem proklamowany przez cesarzy Niemiec i Austro-Węgier „Akt 5 listopada” 1916 r., zapowiadający budowę sprzymierzonego z nimi państwa polskiego. Aktu tego

piłsudczycy nie przyjęli jednak bezkrytycznie, a zwycięstwo rewolucji lutowej 1917 r. w Rosji skłoniło ich przywódcę do zasadniczej zmiany frontu i podjęcia wysiłku przejścia do obozu Ententy. Próba ta skończyła się internowaniem legionistów I i III Brygady i uwięzieniem J. Piłsudskiego w Magdeburgu. Podczas nieobecności Komendanta kierownictwo ruchu przejęli Jędrzej Moraczewski i Edward Rydz-Śmigły. Gdy na terenie zrewolucjonizowanej Rosji powstawać zaczęły polskie formacje wojskowe, wysłali oni Hołówkę na wschód. Jego celem było podporządkowanie piłsudczykom polskich korpusów, skierowanie ich do walki z Niemcami oraz organizowanie POW na Ukrainie i Białorusi. Pomagać mu w tym mieli oficerowie związani z Legionami. Misję swą, zakończoną w istocie niepowodzeniem, opisał Hołówko później w książkach „Przez dwa fronty” i „Przez kraj czerwonego caratu”.

Listopad 1918 r. zastał Tadeusza Hołówkę w Lublinie, gdzie jako wiceminister propagandy w „rządzie ludowym” Ignacego Daszyńskiego napisał tekst manifestu tego rządu. W następnych miesiącach i latach pracował Hołówko jako redaktor pism socjalistycznych „Robotnik”, „Trybuna”, „Przedświt”, wyrażających również poglądy piłsudczyków. Czynnie też włączył się do walki o granice Polski bijąc się jako ochotnik w wojnie z bolszewikami i w jednym z powstań śląskich. Ranny w bitwie nad Narwią w 1920 r. został odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*. Po nastaniu pokoju nie kontynuował już przerwanych w 1914 r. studiów, poświęcając się całkowicie działalności politycznej i publicystycznej jako członek PPS. W partii reprezentował kierunek związany z Naczelnikiem Państwa. Po stronie Piłsudskiego stanął również podczas przewrotu majowego 1926 r. Po przewrocie, w okresie narastania rozbieżności między PPS a Piłsudskim, wystąpił z partii i stanął po stronie Komendanta. Skutkiem tego w czasie poprzedzającym wybory do parlamentu w 1928 r. włączył się do montowania Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem Marszałka Piłsudskiego. Wkrótce stał się Hołówko jednym z głównych polityków kierujących tym ugrupowaniem, a po wyborach 1930 r. został posłem do Sejmu III kadencji. Gdy na pierwszym posiedzeniu klubu parlamentarnego BBWR dokonano wyboru nowych władz klubu, prezesem został bardzo bliski współpracownik Piłsudskiego sprzed wojny Walery Sławek, a wiceprezesami – Janusz Jędrzejewicz i Tadeusz Hołówko.

Już od początku swojej działalności politycznej wykazywał Hołówko żywe zainteresowanie polityką zagraniczną i problemami narodowościowymi, jakie rozwiązywać musiała Polska Odrodzona. W polityce zagranicznej wyrażał Hołówko poglądy kierunku federalistycznego. Tak jak Piłsudski, główną uwagę kierował na Rosję. Zdobycie władzy przez bolszewików, a następnie powstanie ZSRR, nie zmieniło w zasadzie oceny zagrożenia, jakie dla Polski istniało od wschodu.

Zapewnieniu bezpieczeństwa ze strony Rosji służyć miało, według Hołówki, zbudowanie szerokiego frontu państw niepodległych od Bałtyku po Bałkany. Pracował nad tym w Związku Zbliżenia Narodów Odrodzonych powstałym w 1921 r. publikując artykuły w piśmie „Przymierze”. Hołówko przekonywał o konieczności wspierania narodów bałtyckich i dążeń niepodległościowych Ukraińców i Białorusinów. Ponieważ federalistyczne pla-

ny obozu belwederskiego przekreślił ostatecznie traktat ryski dzielący terytoria Ukrainy i Białorusi między Rosję i Polskę, a zwycięstwo Polaków w wojnie z Zachodnio-ukraińską Republiką Ludową o Galicję Wschodnią zdecydowało o oparciu granicy Polski na południowym wschodzie o rzekę Zbrucz, w granicach odrodzonej po 123-letniej niewoli Rzeczypospolitej znalazł się duży odsetek tzw. mniejszości narodowych. Najliczniejszą z nich, stanowiącą około 15% ogółu mieszkańców Polski, stanowili Ukraińcy.

Tadeusz Hołówko wiele uwagi poświęcał sprawom narodowościowym. Jeszcze jako działacz PPS publikował na ten temat liczne artykuły, a przed wyborami parlamentarnymi 1922 r. wydał broszurę pt. „Kwestia narodowościowa w Polsce”. Od tego czasu uchodził za znawcę i specjalistę w zakresie problematyki stosunków między państwem a mniejszościami narodowymi. Ogólnie ujmując, Hołówko reprezentował pogląd, że szanując prawa mniejszości i prowadząc w stosunku do nich politykę tolerancji osiągnąć można ich asymilację państwową. „Niech każdy Ukrainiec, Żyd, Niemiec i Białorusin dobrze czuje się w Polsce, a wówczas na pewno przywiążą się do Polski, staną się dobrymi jej obywatelami” – pisał. Dlatego konsekwentnie przeciwstawiał się wszelkim zakusom asymilacji narodowej, próbom polonizowania mniejszości słowiańskich. Protestował przeciwko szykanom i represjom stosowanym wobec ludzi innego języka czy wyznania żyjących w Polsce. W groń krytyków, postawa taka w odniesieniu do Ukraińców, zyskała Hołówce, podobnie jak Leonowi Wasilewskiemu czy Piotrowi Dunin-Borkowskiemu, opinię „ukrainofila”.

Sferą działalności Hołówki, ściśle związaną z zainteresowaniami narodowościowymi, stała się także polityka wschodnia państwa polskiego. W tej dziedzinie dał się poznać jako propagator koncepcji prometeistycznej. Istotą prometeizmu było dążenie do osłabienia Rosji (ZSRR) i odsunięcie jej granic na wschód. Po zakończeniu wojny z bolszewikami zarysowało się groźne dla Polski porozumienie Niemiec z Rosją, czego wyrazem była umowa z Rapallo (1922 r.). Prometeizm służyć miał zmianie niekorzystnego dla nas układu sił w tej części Europy. Jako czołowy prometeista nawiązał Hołówko bliskie kontakty z przedstawicielami Ukraińców, Gruzynów, Ormian i Tatarów przebywających na emigracji. Stało się to podczas jego pobytu w Paryżu w 1925 r.

Takie poglądy i działania Hołówki stały się podstawą zatrudnienia go w Ministerstwie Spraw Zagranicznych na stanowisku Naczelnika Wydziału Wschodniego. Pracował tam od 1927 do 1930 r. mając na oku perspektywiczny cel: osłabienie ZSRR przez popieranie dążeń niepodległościowych dążących do wyzwolenia się narodów słowiańskich i kaukaskich. Doraźnie natomiast realizował oficjalną linię MSZ, utrwalenia pokojowych stosunków ze wschodnimi sąsiadami. Wyrazem tego było podpisanie w 1929 r. „protokołu Litwinowa”, będącego wschodnioeuropejską wersją paktu Brianda-Kelloga, stawiącego wojnę poza nawiasem prawa. Ten wielostronny układ miał dodatkowo zapewnić Polsce bezpieczeństwo ze wschodu.

W 1930 r. Tadeusz Hołówko ustąpił z zajmowanego stanowiska w MSZ i jako członek BBWR zaangażował się w kampanię wyborczą do Sejmu RP. W jej wyniku zdobył mandat z okręgu nowogródzkiego, a po ukonstytu-



Archiwum Dokumentacji Mechanicznej w Warszawie
T. Hołówko (pierwszy z lewej) podczas wizyty prezydenta Estonii w Belwederze, 1930 r.

tuowaniu się władz Klubu Parlamentarnego BBWR, powierzono mu wspomnianą funkcję wiceprezesa.

W tym samym roku sytuacja polityczna na południowo-wschodnich kresach II Rzeczypospolitej ulega gwałtownemu pogorszeniu. Stało się tak za sprawą nacjonalistów ukraińskich. Mimo, że w Polsce mieli Ukraińcy najlepsze warunki i najszerze możliwości rozwoju narodowego, to jednak właśnie Polskę nazywali głównym wrogiem i okupantem. Ich najsilniejsza partia Ukraińskie Narodowo-Demokratyczne Zjednoczenie (UNDO) już w Sejmie II kadencji złożyła deklarację głoszącą, iż celem jej jest „niezawisłe państwo ukraińskie”. W 1929 r., na zjeździe nacjonalistów w Wiedniu, utworzono Organizację Ukraińskich Nacjonalistów, organizację o charakterze narodowo-socjalistycznym, która do swej taktyki działania włączyła terror. OUN nie zamierzała posługiwać się terrorem na Ukrainie sowieckiej, Zakarpaciu i na Bukowinie. Całą energię zwróciła OUN przeciw „okupacji polskiej” wznosząc hasło: „Lachy za San!”.

W lecie 1930 r. OUN rozpętała na obszarze Małopolski Wschodniej zakrojoną na dużą skalę akcję sabotażową. Dokonywano zamachów bombowych na polskie urzędy, napadano na poczty, niszczone urządzenia kolejowe i telekomunikacyjne, wysadzano mosty, wzniesiono pożary w polskich gospodarstwach rolnych, biciem a nawet morderstwami terroryzując bezbronną ludność polską. Marszałek Piłsudski uznał, że takiego stanu rzeczy nie można dłużej tolerować i polecił ministrowi F. Składkowskiemu zaprowadzenie porządku. Tak doszło do osławionej „pacyfikacji”, której Ukraińcy nadali niespotykany rozgłos. Również prasa sowiecka i niemiecka próbowała wywołać oburzenie na Polskę w Europie. Za niemieckie pieniądze wydano w Czechach w kilku językach „czarną księgę” mającą dowieść polskiego „barbarzyństwa”. Wybrani w 1930 r. parlamentarzyści ukraińscy skierowali do Ligi Narodów petycję domagając się interwencji. Protest ukraiński rozpatrywać miał Komitet Trzech, złożony z przedstawicieli W. Brytanii, Norwegii i Włoch. Jak zachował się w tej sytuacji Hołówko? Był on znany z licznych i odpowiedzialnych działań na odcinku stosunków polsko-ukraińskich. Od 1922 r. opublikował wiele artykułów, w których popierał słuszne postulaty Ukraińców do-

tyczące szkolnictwa. Domagał się utworzenia wyższej uczelni ukraińskiej w Polsce. Stał na stanowisku konieczności poprawy warunków ekonomicznych chłopów ukraińskich przez przeprowadzenie sprawiedliwej reformy rolnej. W decydującej mierze przyczynił się do założenia w Warszawie Ukraińskiego Instytutu Narodowego. Wiadomo było, że chciał uwzględnić maksimum żądań Ukraińców, ale na przeszkodzie tym zamiarom stawały szowinizmy obu narodowości oraz obojętność kompetentnych czynników państwowych. Pacyfikacja zatem nie odpowiadała uczuciom Hołówki. Prywatnie był nią „oburzony do głębi”. Skrępowany jednak swym wysokim stanowiskiem, krył się z własnymi myślami. Jednak w wypowiedzi na łamach „Dnia Polskiego” określił pacyfikację mianem „zjawiska ujemnego”,

gdyż na plan pierwszy wysunięta została „siła fizyczna i represja”.

Sprawę protestu ukraińskiego do Ligi Narodów poruszył Hołówko w dyskusji w komisji spraw zagranicznych Sejmu. Zarzucił wtedy politykom ukraińskim z UNDO brak lojalności wobec państwa polskiego, a zatem spełnienia warunku jaki zawierał międzynarodowy traktat o ochronie mniejszości narodowych. Równocześnie dał sygnał o możliwości porozumienia w drodze negocjacji wewnętrznych. Tak doszło do poufnych rozmów członków prezydium Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej z J. Jędrzejewiczem i Hołówką, reprezentującymi BBWR. Rozmowy zakończyły się fiaskiem. Zaniepokoiły jednak OUN, wyznającej zasadę „im gorzej, tym lepiej” i nie tylko niezyczącej sobie żadnej normalizacji stosunków polsko-ukraińskich, ale już myślącej o wojnie z Polską prowadzonej u boku Niemiec.

Hołówko wyczerpany intensywną pracą potrzebował wypoczynku. Lekarz zalecił mu kurację. W tym celu pojechał do znanego uzdrowiska – Truskawca, gdzie zamieszkał w nowym pensjonacie Sióstr Służebniczek. Wybór tego miejsca był dla wielu zaskoczeniem. Hołówko odrzucił jednak przestrogi. Ufał świętemu prawu gościnności i nie zgodził się na ochronę osobistą. W Truskawcu leczył się 20 dni. Do Warszawy postanowił wrócić 30 sierpnia. Na prośbę siostry przełożonej wpisał się jeszcze do księgi pamiątkowej pensjonatu. „Jestem bardzo wdzięczny za opiekę, troskliwość i życzliwość, której tyle dowodów miałem ze strony siostry przełożonej i całego Zgromadzenia” – zakończył.

Wieczorem 29 sierpnia, kiedy po kolacji leżał już w łóżku czytając książkę, do jego pokoju weszło dwóch osobników. Jak okazało się później, byli to bojownicy OUN Wasyl Biłas i Dmytro Danyłyszyn. Sześcioma strzałami oddanymi z bliska zabili Tadeusza Hołówkę. Śledztwo, które wyjaśniło okoliczności zabójstwa trwało długo. Biłas i Danyłyszyn wpadli w ręce policji dopiero w 1932 r., w czasie pościgu po napadzie na pocztę w Gródku Jagiellońskim. Pomogli ich ująć chłopci ukraińscy z okolic Mikołajowa nad Dniestrem. Za napad na pocztę i zabicie policjanta sąd doraźny we Lwowie ska-

zał Biłasa i Danyłyszyna na śmierć. Wyrok wykonano na terenie więzienia Brygidki we Lwowie. Natomiast proces o zamordowanie Hołówki odbył się w 1933 r. w Samborze. Potwierdził on formalnie winę straconych bojowców i ujawnił ich współpracowników. Proces ten nie dał jednoznacznej odpowiedzi na pytanie kto ponosił odpowiedzialność moralną i polityczną za tę zbrodnię.

Stanisław Majerski

Legia Akademicka na lwowskich wyższych uczelniach

Legia Akademicka utworzona została na wyższych uczelniach w Polsce zarządzeniem Ministra Spraw Wojskowych w porozumieniu z Ministrem W.R. i O.P. w 1918 roku. W ramach Legii Akademickiej prowadzone było szkolenie wojskowe młodzieży akademickiej, w miejsce szkół podchorążych rezerwy. Studenci I i II roku studiów przechodzili program szkolenia wojskowego, zgodnie z prowadzonym szkoleniem w szkołach podchorążych rezerwy. Szkolenie podczas roku akademickiego polegało na odbywaniu całodziennych okresowych, w odstępach co 10 dni, zajęciach wojskowych w wyznaczonych jednostkach wojskowych. W okresie wakacji letnich obowiązywały dodatkowo dwa czterotygodniowe obozy ćwiczeniowe, jeden w zakresie piechoty, drugi specjalistyczny w jednostkach wojskowych zgodnie z zakresem odbywanych studiów. Poza tym każdy ze studentów-legionistów zobowiązany był do odbycia dwutygodniowego obozu kulturalno-oświatowego.

Szkolenie wojskowe w ramach Legii Akademickiej było korzystniejsze niż roczny pobyt w szkołach podchorążych rezerwy, tak dla studentów, którzy nie tracili roku w oderwaniu od studiów i rodzin, jak i dla budżetu państwa, które zaoszczędzało znaczne wydatki na szkolenie w szkołach podchorążych.

We Lwowie do 1939 roku były cztery wyższe uczelnie:

- Uniwersytet Lwowski im. Króla Jana Kazimierza z 5 Wydziałami: Teologicznym, Prawa, Lekarskim, Humanistycznym i Matematyczno-Przyrodniczym,
- Politechnika Lwowska z 5 Wydziałami: Architektury, Chemicznym, Mechanicznym, Inżynierii Lądowo-Wodnej i Rolniczo-Leśnym,
- Akademia Weterynaryjna,
- Akademia Handlu Zagranicznego.

Na wszystkich wyżej wymienionych uczelniach lwowskich w roku akademickim 1937/38 wprowadzone zostały szkolenia wojskowe w ramach Legii Akademickiej.

We Lwowie kierownictwo organizacyjne L.A. sprawował dowódca 19 Pułku Piechoty obrony Lwowa – ppłk dypl. Andrzej Liebich. Natomiast komendantem Legii Akademickiej we Lwowie został mjr Jan Krysa.

Podstawową jednostką szkoleniową była kompania, w której szkoleni byli studenci jednego wydziału lub kilku wydziałów o podobnej specjalności nauczania. Kompania składała się z trzech plutonów, a każdy pluton z trzech drużyn. Dowódcą drużyny byli koledzy ze studiów, którzy już odbyli szkolenie w podchorążówkach rezerwy i mieli stopień podchorążego. Dowódcą plutonu byli studenci z wyższych lat studiów, najczę-

ściej z IV roku, którzy mieli stopnie podporuczników rezerwy. Dowódcą kompanii był oficer zawodowy w stopniu kapitana, delegowany z pułku.

Chociaż atentat truskawiecki był na rękę tak Niemcom jak i Sowietom, gdyż mógł przekreślić szanse na polsko-ukraińską ugodę, to jednak dzisiaj nie ma już wątpliwości, że mord na Hołówce obciąża OUN. Ona bowiem szczególnie obawiała się takiej ugody. Jak napisał jeden z polityków polskich lat międzywojennych Stanisław Thugutt „chodziło o takie pogłębienie przepaści, żeby już żadna dobra wola nie mogła przez nią sięgnąć ręką”. □

Na Politechnice Lwowskiej były utworzone trzy kompanie szkoleniowe, które obejmowały:

- pierwsza studentów Architektury i Inżynierii Lądowo-Wodnej
- druga studentów Wydziału Mechanicznego
- trzecia studentów Wydz. Chemicznego oraz Wydz. Rolno-Leśnego.

Poszczególne kompanie liczyły od 180 do 200 legionistów.

Podobnie było na pozostałych uczelniach, z tym, że na Uniwersytecie były 3 kompanie, a na pozostałych uczelniach po jednej. Szkoleniom podlegały również studentki Wydziału Lekarskiego, z tym, że stanowiły oddzielny oddział szkolony w zakresie wojsk sanitarnych. Wszyscy studenci wcieleni do Legii Akademickiej otrzymali do własnego użytkowania pełne umundurowanie przysługujące podchorążemu. W umundurowaniu tym obowiązani byli stawiać się na wszystkie szkolenia.

Szkolenia całodziennie kompanii Wydziału Mechanicznego, w których brałem udział jako student I roku studiów, odbywały się w koszarach 19 Pułku Piechoty na Cytadeli.

Całodziennie szkolenia odbywały się od godz. 6 rano (pobudka) do 19 wieczorem (capstrzyk), pełne wyżywienie w tym dniu otrzymywali studenci w kantine pułkowej.

Szkolenie całodziennie obejmowało:

- ćwiczenie musztry wojskowej
- ćwiczenia bojowe
- strzelanie na strzelnicy pułkowej
- wykłady z zakresu wojskowości.

Wykłady prowadzone były przez wysoko kwalifikowanych oficerów, często dyplomowanych, którzy w przystępny sposób przekazywali słuchaczom – zadania i tematykę wykładów.

W celu zapoznania się z innymi rodzajami broni obok piechoty kompania miała również jednolite ćwiczenia w pułkach specjalistycznych jak: artyleria, broń pancerna, lotnictwo, saperzy. Wyszczególnienie wojskowe legionistów było wszechstronne.

Pierwszy wakacyjny obóz szkoleniowy miała kompania Wydziału Mechanicznego w ośrodku szkolenia wojsk zmechanizowanych w Modlinie w lipcu 1938 roku.

Szkolenie obejmowało:

- naukę jazdy na samochodach terenowych, wozach pancernych oraz czołgach,

– zapoznanie się z urządzeniami i silnikami ww. pojazdów,

– zajęcia warsztatowe w warsztatach motoryzacyjnych ośrodka, między innymi na czołgach typu Vickers i Renault R 35 oraz polskich tankietkach dwuosobowych typu TK/TKS.

Po ukończeniu szkolenia studenci legionści otrzymali prawa jazdy na pojazdach wojskowych. Szkolenie w ośrodku było też korzystne dla studentów Wydz. Mechanicznego, ponieważ stanowiło również praktykę zawodową.

Obóz szkoleniowy kulturalno-oświatowy kompania Wydziału Mechanicznego miała w okresie ferii zimowych w lutym 1939 roku. W ramach obozu poszczególne drużyny skierowane zostały do wsi podkarpackich. Wsie te zamieszkałe były przez ludność wielonarodową, a mianowicie: Huculów, Łemków, Polaków i Ukraińców. Handlem zajmowali się przejezdni Żydzi. Jeżeli chodzi o Polaków to była to ludność napływowa z centralnej Polski. Przez szereg stuleci przemieszczali się tutaj Polacy, często szlacheckiego pochodzenia, którzy często uciekali przed represjami oraz mając na sumieniu jakieś przewinienia. Zakładali tutaj rodziny i wchodzili w tutejszą ludność. Ludność podkarpacka była przeważnie wyznania greckokatolickiego, ponieważ były tu cerkwie i parafie grekokatolickie blisko osiedli, gdzie znajdowali często pomoc i opiekę popa i jego żony.

Zadaniem obozów kulturalno-oświatowych było przybliżenie polskości ludności podkarpackiej. Szczególnie chodziło tu o odnalezienie Polaków, w czym czynnie działał związek „Szlachta Zagrodowa”. Założył ten związek i opiekował się nim do wojny ks. płk J. Miodoński, dziekan przy korpusie D.O.K. X w Przemyślu. Powoływani do służby wojskowej młodzi ludzie pochodzenia polskiego z Podkarpacia byli otoczeni szczególną opieką. W poszczególnych pułkach górskich, np. w 5 Pułku Podhalańskim w Przemyślu, tworzone były kompanie szlacheckie, a ich uczestnicy byli doszkalani tak, że odchodząc z wojska każdy miał ukończoną podstawową szkołę powszechną oraz określony zawód. Pomagało to im w uzyskaniu po wojsku odpowiedniego zatrudnienia np. w leśnictwie, na kolei, w policji, gminach itp. Niestety w okresie wojny ludzie ci byli prześladowani przez Ukraińców, a bandy U.O.P. wielu tych ludzi pomordowały.

Organizowane przez Legię Akademicką obozy kulturalno-oświatowe bardzo pomagały ludności we wsiach podkarpackich, które były bardzo ubogie i zacofane kulturalnie, a zdrowie i higiena mieszkańców były w opłakanym stanie. Ludność przechodziła szereg chorób, a szczególnie wobec braku jodu chorobę tarczycy. Wiele pracy mieli tutaj na obozach studenci medycyny, którzy pomagali w leczeniu jak tylko mogli. Dostarczano ludności obok jedzenia wiele lekarstw, jak również niezbędną sól jodowaną. Obozy były przez mieszkańców wsi bardzo serdecznie przyjmowane.

W jednym z obozów kulturalno-oświatowych w lipcu 1939 roku brał również udział w ramach Legii Akademickiej jako student Uniwersytetu Krakowskiego Karol Wojtyła, późniejszy Papież Jan Paweł II. Obóz miał miejsce we wsi Ożomla koło Lwowa. Ożomla była wioską zamieszkałą przez ludność ruską. Legionści pracowali tam przy budowie szkoły, aby poprawić w ten sposób stosunki między Polakami a Rusinami.



Karol Wojtyła (pierwszy z prawej) podczas akademickich ćwiczeń wojskowych – lipiec 1939 r.

Drugi obóz szkoleniowy czterotygodniowy, na przełomie lipca i sierpnia 1939 roku, kompania Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej odbyła w Ośrodku Szkoleniowym Centralnego Obozu Wyszczególnienia Legii Akademickiej w Grandziczach koło Grodna. Ośrodek był zlokalizowany nad rzeką Niemnem, doskonale przystosowany i wyposażony do przeprowadzenia szkolenia. Komendantem obozu szkoleniowego był mjr J. Chudyba.

Dowódcą naszej lwowskiej kompanii Wydz. Mechanicznego Politechniki był kpt. dypl. E. Miller. Oficer młody, ale zdolny, absolwent Wyższej Szkoły Wojennej. Przewidując wojnę z Niemcami oraz jej skutki wprowadził obok szkolenia objętego programem, dodatkowe szkolenie zaznajamiając nas ze sposobami prowadzenia walk partyzanckich. Szkolenie to wymagało dużego wysiłku, ale w czasie okresu wojennego dopiero było zrozumiałe i przyniosło legionistom duże korzyści.

Szkolenie podstawowe obejmowało program obowiązujący w szkołach podchorążych rezerwy piechoty. Natomiast szkolenie dodatkowe odbywało się przeważnie w porze nocnej. Podzieleni na małe kilkusobowe grupy byliśmy szkoleni w walkach ulicznych oraz nocami przechodziliśmy szkolenie w okolicznych lasach. Były to podchody, orientacje w terenie, starcia pomiędzy grupami, zakładanie obozów itp. Poza tym, specjalności z A.W.F. szkolili nas w walce wręcz dżudo (jujitsu) oraz pływania na dużych odcinkach pod wodą. Szkoleni byliśmy również w zakresie minerstwa oraz specjalnych ćwiczeń fizycznych np. w wskakiwaniu do i wyskakiwaniu z pojazdów będących w ruchu.

Dwuletnie przeszkolenie w Legii Akademickiej dało bardzo dobre wyszkolenie wojskowe studentom-legionistom oraz okazało się przydatne w okresie wojny i okupacji. Gdy we wrześniu 1939 roku Lwów nie posiadał odpowiedniej ilości żołnierzy wojsk regularnych, broniły go również zmobilizowane kompanie Legii Akademickiej. Wielu studentów-legionistów podczas okupacji brało udział w działaniach Armii Krajowej, szczególnie na terenach podległych Komendzie Obszaru Nr 3 we Lwowie.

Wielu studentów-legionistów oddało swe życie za wolność Ojczyzny.

Aby pamięć o Legii Akademickiej nie uległa zapomnieniu oraz aby uchronić ją od całkowitej niepamięci uważam, że należało w oparciu o istniejące jeszcze dokumenty oraz wspomnienia uczestników, które miały miejsce we Lwowie, przedstawić jej działalność. □

Edward Gil

Młdzieńcze lata Ojca Świętego Jana Pawła II na Ziemi Lwowskiej i moje pielgrzymowanie do Lwowa

Rodowód Jana Pawła II autorstwa Józefa Szczypka wydany przez Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1991 r.

Na str. 42 taki oto zapis:

Ostatnie tygodnie przedwojenne. Wojtyła spędził li-
piec na obozie Legii Akademickiej we wsi Ożomla pod
Lwowem. Nie był nowicjuszem jako żołnierz. Pomijając
szkolenie w gimnazjum, w ramach przysposobienia
wojskowego odbył kurs wstępny od 27 września do
2 października 1938 r. Następnie, po zwolnieniu 28 listo-
pada ze służby czynnej, brał udział w cotygodniowych
zajęciach Legii. W Ożomli oprócz ćwiczeń wojskowych
studenci pomagali przy budowie szkoły we wsi, za-
dzierżając więzi z miejscową ludnością rusińską. Jed-
den z kolegów robił zdjęcia. Długo nie wywoływał klisz,
czy też wywoływał nie wszystkie. Kiedy po wielu latach,
obejrzawszy w telewizji inaugurację pontyfikatu Jana
Pawła II, sięgnął do starych negatywów z Ożomli, oka-
zało się, iż ukazują studenta z Tynieckiej w rozmaitych
sytuacjach. Wojtyła w żołnierskim dwuszerogu, gdy pre-
zentuje broń, gdy składa meldunek podoficerowi, gdy
siedzi przy obiedzie. I gdy pracuje na budowie, obnażo-
ny do pasa i ze szkaplerzem na szyi.

Taki jest zapis w Rodowodzie Karola Wojtyły.

Wieś Ożomla położona jest w pasie roztoczańskim
między miastem Jaworów i miasteczkiem Sądowa
Wisznia. Z Sądowej Wiszni do Ożomli jest siedem kilo-
metrów szosy łączącej oba miasta, a Ożomlą ze stacją
kolejową w Sądowej Wiszni. Kolej łączy miasto Lwów
z Przemyślem i Krakowem i tę trasę pokonywał pocią-
giem Karol Wojtyła.

W okresie międzywojennym z Sądowej Wiszni do
Jaworowa kursował autobus, ale przeważnie ze stacji
kolejowej Sądowa Wisznia do Ożomli mieszkańcy po-
sługiwali się pojazdami konnymi, czyli furmankami.
Ożomlą do II wojny zamieszkiwali Polacy, Rusini, Żydzi
i koloniści niemieccy. Po nich została rozpadająca się
ewangelicka Kirche. Do wojny nikomu nie przeszkadza-
ła wyznaniowość religijna i narodowość. Nacjonalizm po-
różnił od wieków zamieszkujących Kresy mieszkańców.
Jak tragiczne są losy Polaków kresowych, niech świad-
czy autentyczny los życia najbogatszego gospodarza i
wójta wsi Ożomla Szczepana Zamasza. Kluczowe sta-
nowiska administracyjne w Polsce przedwojennej obsa-
dzone były przez Polaków, ludzi z odpowiednim wy-
kształceniem, cieszących się nieposzlakowaną opinią
społeczeństwa, uczciwych i sprawiedliwych. Takim
był Szczepan Zamasz, piastujący funkcję ożomel-
skiego wójta. Na pewno jego oczy widziały przyszłe-
go papieża Karola Wojtyłę. Dalsze losy Szczepana
Zamasza opisuję z opowiadań moich rodziców.
Szczepan Zamasz w okresie międzywojennym owdo-
wiał, miłość nie zna nacji, koloru skóry i języka.
Szczepan Zamasz poślubił Rusinkę, też wdowę
z Ożomli. Owocem ich miłości małżeńskiej był syn
Jan Zamasz.



Kościół rzymskokatolicki w Ożomli – obecnie cerkiew

Ucieczki Polaków przed wyniszczającymi mordami
ryzunów ukraińskich sprawiły masowe wyjazdy Pola-
ków, najczęściej z duszą na ramieniu, na tzw. „Lachy za
San”. I tak rodzice moi znaleźli się na Dolnym Śląsku.
Transport kolejowy wiozący uciekinierów-Polaków for-
mowany był w Przemyślu, w takim transporcie kolej-
owym znajdowali się Polacy z różnych miejscowości
Kresów. Od Katowic na każdej stacji odczepiano od
składu pociągu dwa lub trzy wagony towarowe wiozące
uciekierów. W każdym takim wagonie było po kilka
rodzin i takim zbrodniczym sposobem rozdzielano rodzi-
ny, sąsiadów, wioski i miasteczka po całej Polsce. Lu-
dzie szukali się latami. Rodzice moi zamieszkali koło
Nysy. Ich sąsiadem byli ożomelscy mieszkańcy, ucieki-
nierzy spod siekier swoich niedawnych sąsiadów. Byli
to Karkowscy, Nechrebecka, której męża na jej oczach
zamordowano, uciekła z dzieckiem, synem Michałem.
Dalej akuszerka ożomelska Anna Woroniak. Skończyła
się miłość Szczepana Zamasza z Rusinką. Z duszą na
ramieniu, w nocy, ratując życie wyruszył na tułaczy
szlak. W Ożomli została jego żona i syn Jan Zamasz.
Jak wiodły jego gnane żalem i tęsknotą drogi? Jest
faktem, że dotarł do tej miejscowości zamieszkałej
przez tę parę niedorzętnych rodzin dawnych sąsiadów
z Ożomli. Był niczym, starym człowiekiem, bez rodziny,
ubogim uciekinierem z Ożomli. Znanie są fakty ucieczek
mieszanych małżeństw na Zachód z Kresów, ale dla-
czego ten ożomelski wójt nie znalazł się na tułaczce
z żoną i synem w Polsce? Tego już nikt nie ustali. Jest
faktem, że Szczepan Zamasz jakiś czas mieszkał
w domu zajmowanym przez moich rodziców, przyjaź-
niając się z naszą rodziną. Po jakimś czasie odnalazł bra-
tanka, który mieszkał za Wrocławiem i zabrał od moich
rodziców Szczepana Zamasza do siebie. Tam zmarł.
W latach czterdziestych w jednym z wyjazdów
z darami dla Polaków na Kresy postanowiłem odszukać
syna ożomelskiego wójta Jana Zamasza. Znajac dobrze
język ukraiński nie sprawiło mi trudności zajechać do
Ożomli, bo docelowe moje wyjazdy były do Sądowej

Wiszni. Tam odszukałem dom Szczepana Zamasza,
przedstawiłem się i doznałem zawodu. Jan Zamasz,
syn Szczepana Zamasza, nie był to Jan, ale Iwasiu.
Pokazywał mi zdjęcia swego ojca. Ale nie widziałem
żadnego sentymentu do ojczyzny swego ojca. Tam
została zamordowana miłość ożomelskiego wójta
Szczepana Zamasza do swej rusińskiej małżonki. Żona
jego zmarła w latach sześćdziesiątych nie utrzymując
z mężem Lachem żadnych kontaktów. Już po śmierci
Jana Pawła II ponownie udałem się do wsi Ożomla idąc
śladami Ojca Świętego. Tankując samochód przed
Ożomlą, zobaczyłem jadącego rowerem starego czło-
wieka z bańką na paliwo i zapytałem jak daleko do
Ożomli. Ten stary człowiek odpowiedział mi, że teraz
Ożomla nazywa się Wiżomla i on pochodzi z tej wioski.
Powiedział, że ma 85 lat i dobrze pamięta czasy „pol-
skie”. Udzielił mi bardzo trafnych i wiarygodnych infor-
macji. Pamięta dobrze, że wojsko stało w sadzie koło
budynku wójta, pod namiotami, budowali szkołę i za-
wsze chodzili do pobliskiego kościoła, czwórkami i
ze śpiewem. O tym, że był w Ożomli za swej młodości
papież Karol Wojtyła nie słyszał nic. Budynku urzędu
wójta ożomelskiego nikt nie użytkował, świecił oczodo-
łami pustych okien. Kościół zamieniono na cerkiew.
A szkoła stoi jak przed laty budowana przez studenta
ze szkaplerzem.

Jak zawile są losy naszych narodów polskiego i ru-
skiego niech świadczy inny zapis pielgrzymki Ojca
Świętego Jana Pawła II we Lwowie w pamiętne dni hi-
storii miasta SEMPER FIDELIS.

Na spotkanie z Ojcem Świętym wybrałem się z całą
moją rodziną. Do Lwowa nie tylko ciało, ale cała dusza
leciała. Wyposażony przez proboszcza swojej parafii w odpo-
wiednie pismo pielgrzymkowe i emblemat Papieża przy-
klejony do szyby samochodu, udałem się do Lwowa.
Już za Tomaszowem spotykałem liczne pieszce piel-
grzymki do Lwowa. Na granicy tylko Polacy szukali nie
wiedząc czego, ale wreszcie szlaban ukraiński i pode-
szła do mojego samochodu ładna ukraińska strażniczka
graniczna. Dałem paszporty i bumagę pielgrzymkową i
po paru minutach „szczęśliwej drogi”, przez Rawę
Ruską, Żółkiew i Kulików, Boże to mój Lwów, miasto
moich snów. Ulokowałem się w domu zaprzyjaźnionej

docent Eweliny Małanicz, zaraz bliźniutko ul. Łyczakow-
skiej. I oddycham Lwowem, wszędzie Polacy, masa za-
konnic i język polski, jakby to już nasz kochany Lwów.

Na hipodrom z Łyczakowskiej parę ładnych kilome-
trów. Wychodzimy z domu po drugiej w nocy. Tysiące
ludzi idzie na spotkanie z Największym Polakiem
wszechdziesięciu historii Lwowa. Zaraz za kościołem Ber-
nardynów w kierunku Stryjskiej, marszrutki tj. busiki
wiozą na hipodrom ludzi. Moje orlecia szorują całym bru-
kiem, bo tyle ludzi idzie w jednym kierunku, nie ma
możliwości iść chodnikiem. Zatrzymuje się busik i kie-
rowca zaprasza. Po paru kilometrach już nie można
jechać, tylko na plac hipodromu trzeba iść pieszko. Ty-
siące ludzi, nie można nawet swobodnie iść.

W nocy lało, brniemy przez kałuże błota i wody do
wyznaczonego sektora. Sektory ogrodzone, jak wszę-
dzie w czasie pielgrzymek Ojca Świętego. Droga prze-
jazdu papieża wyglancowana, różne flagi, w tym pol-
skie. Śpiewy i mowa nas zdradza. Mamy szósty sektor,
nawet niedaleko ołtarza. Wielka panoramiczna płachta
telewizji umożliwia dobrą widoczność. Msza Święta,
ukazuje się nam kochana postać Papieża Polaka. Okła-
ski, okłaski i okłaski. Tak witają Polaka samistijni nasi
bracia w Chrystusie. Zatarły się wszystkie wiekowe róż-
nice Polaków i Ukraińców. Razem rozmodleni staliśmy
po kolana w błocie w czasie sprawowania Najświętszej
Ofiary przez Ojca Świętego. Patrząc na ten rozmodlony
naród nie do uwierzenia było, że ci ludzie dokonywali
takich strasznych mordów. Nie, to nie byli ci, którzy
mordowali, był to całkiem inny naród naszych braci
chrześcijan. Po Mszy Świętej tysiące, tysiące ludzi
ruszyło w różne strony do domów swoich. Przez park
Stryjski zmęczeni, ale jakże szczęśliwi dotarliśmy
wreszcie na Łyczaków.

Droga powrotna z pielgrzymki lwowskiej niczym nie
była zakłócona. To sprawił Ojciec Święty, wezwał Ducha
Świętego i odnowił oblicze „Ziemi, tej Ziemi”, lwowskiej
ojczyzny Polaków i Rusinów.

Na spotkaniu z Ojcem Świętym w Zamościu spotka-
łem starowinę księdza greckokatolickiego ze Lwowa.
Był w trebach, szedł na piechotę ze Lwowa. Powiedział
mi, że „teraz może spokojnie umierać, oczy moje wi-
działy Ojca Świętego”. □

Janina Oparowska

Tu był Ojciec Święty – Jan Paweł II

Lwów – miasto wybrane
wyróżnione wśród wielu
po tylu latach zniewolenia, cierpienia,
przygnębienia –
z dumą i godnością przyjęło u siebie
Wielkiego Polaka – Papieża przełomu wieków,
który zagościł tu – gdzie nie zapomniano
czasów świetności, bohaterstwa,
walki i zwycięstwa –
tu powitały Go z radością
tłumy wiernych –

tu pokłoniły Mu się wyniosłe wieże
lwowskich świątyń wszystkich wyznań –
tu złożyły Mu hołd najgłębszy
wszystkie pokolenia –
swoją chrześcijańską postawą,
modlitwą i pieśnią potwierdziły wierność
Chrystusowej Ewangelii –
a On – Ojciec Święty – Jan Paweł II
z miłością pobłogosławił to niezwykle miasto
i całą Lwowską Ziemię.

Józef Krajewski – kompozytor i pedagog



Józef Krajewski

W czerwcu tego roku minęła 33 rocznica śmierci Józefa Krajewskiego, zasłużonego nauczyciela opolskich szkół średnich, organizatora życia kulturalnego w powojennym Opolu. W pamięci mieszkańców naszego miasta i Śląska Opolskiego pozostał przede wszystkim jako kompozytor, twórca sławnej pieśni „Skarbie polskich ziem! Śląsku kraju nasz...”. O kulisy powstania tego pięknego utworu wspomina Stanisław Kisiel: „...W lipcu 1946 roku uruchomiliśmy kurs repolonizacyjny dla młodzieży z Opola i okolic, wraz z internatem w obiektach obecnej Publicznej Szkoły Powszechnej nr 8, przy ulicy Bończyka. Wspólnie z młodzieżą spędziliśmy w internacie dwa miesiące... Trzeba było szukać nauczyciela śpiewu. Przypadkowo spotkałem na drewnianym moście na Odrze kolegę Józefa Krajewskiego ze skrzypcami pod pachą. Po krótkiej rozmowie wyraził zgodę na udzielanie lekcji. Gdy przybył wieczorem do internatu – pozostał. Młodzież go uwiodła. Do późnej nocy słyszał było dźwięk skrzypiec i melodie pieśni ludowych. Na zakończenie kursu obiecał przyjechać gen. Aleksander Zawadzki, ówczesny wojewoda śląsko-dąbrowski. Należało go godnie przyjąć. Zwróciłem się do Józefa Krajewskiego, aby na tę okazję skomponował pieśń. Wywiązał się między nami taki dialog: „– Jak to, na poczekaniu?“, „– Tak“, „– Melodię może, ale słowa?“, „– Słowa ja napiszę...”. I długo nie czekając napisałem tekst. Inni kole-dzy uzupełnili słowa, a kolega Krajewski skomponował melodię. I gdy gen. Aleksander Zawadzki przybył na zakończenie kursu popłynęły słowa: „Skarbie polskich ziem! Śląsku kraju nasz...”.

Tak powstała ta powszechnie znana melodia, która przez wiele lat żyła i nadal żyje niemal na prawach hymnu Śląska Opolskiego, stała się także przez pewien czas sygnałem Polskiego Radia Opole, śpiewana na apelach szkolnych, uroczystościach regionalnych i państwowych, do dzisiaj wzrusza i żywiej biją serca mieszkańców Opolszczyzny na dźwięk tej pięknej melodii.

Kompozytor tej pieśni Józef Krajewski urodził się 11 marca 1896 roku w Starym Siole (pow. Bóbrka, woj. łódzkie). W 1914 roku ukończył VI Państwowe Gimnazjum we Lwowie. Po maturze podjął pracę w charakterze wychowawcy w Zakładzie dla Sierot i Ubogich w Drohowyżu, następnie był nauczycielem w szkołach we Lwowie. W latach 1915-1918 walczył na frontach I wojny światowej w armii austriackiej, a od 1919 roku w szeregach wojska polskiego. Okres 1921-1924 to studia w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie przerwane ze względu na trudności materialne. W 1924 roku zostaje mianowany kierownikiem chóru amatorskiego w Związku Teatrów i Chórów Ludowych we Lwowie. W tym samym roku złożył w Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim we Lwowie egzamin na podstawie którego został przez Radę Szkolną Miejską we Lwowie mianowany nauczycielem i przydzielony do służby w Szkole Męskiej im. św. Anny oraz w filii Szko-

ły Powszechnej Męskiej im. św. Zofii. O tym zdarzeniu tak napisano w akcie nominacyjnym: „...Rada Szkolna Miejska uchwałą z dnia 20 marca 1925 roku przydzieliła Pana do czynności służbowych...w nadziei, że Pan gorliwą pracą w szkole i działalnością oświatową pozaszkolną wśród mieszkańców naszego miasta usprawił wieli połozone w nim zaufanie...”. W szkołach tych pełnił służbę nauczycielską do końca sierpnia 1930 roku. Okres 1930-1939 to praca w Związku Teatrów i Chórów Ludowych we Lwowie, w charakterze instruktora orkiestr i chórów. W latach 1939-1944 był dozorcą w przedszkolu na Persenkówce we Lwowie.

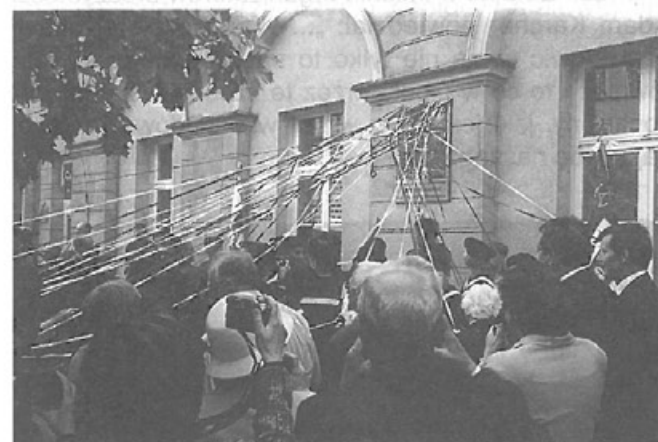
W 1944 roku wraz z rodziną opuszcza Lwów i poprzez Białobrzegi koło Łańcuta w maju 1945 roku przybywa do Opola. Zostaje nauczycielem Liceum i Gimnazjum Żeńskiego w Opolu (obecnie II Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej), uczy w wymiarze 30 godzin tygodniowo, dodatkowo prowadzi zajęcia w Państwowym Gimnazjum i Liceum Spółdzielczym w Opolu (obecnie Zespół Szkół Ekonomicznych). Zakłada miejski chór „Lutnia”, koncerty chóru są ozdobą uroczystości miejskich, są także koncerty specjalne z utworami ukończonych kompozytorów Feliksa Nowowiejskiego i Stanisława Moniuszki. Jedną z ówczesnych chórzystek wspomina ten czas jako „...należący do szczególnie pracowitych i wypełnionych prawdziwym entuzjazmem...”. Podobnie oceniano pracę nauczyciela z chórami szkolnymi, które często występowały na terenie całego ówczesnego województwa śląsko-dąbrowskiego. W tym też okresie skomponował Józef Krajewski ponad 20 oryginalnych kompozycji przeznaczonych na chór i orkiestrę do tekstów napisanych przez ks. Michała Banacha, Stefana Iwaszkiewicza i wspomnianego już Stanisława Kisiel. Oto tytuły niektórych pieśni: „Po co szczęścia szukać”, „Pozdrowienie z Opola”, „Opolanka”, „Na Śląsku w Otmęcie”, „W pracy i w zabawie” itd. Jest Józef Krajewski także autorem hymnu II Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej w Opolu, skomponowanym do słów ks. Michała Banacha z okazji wręczenia tej szkole w dniu 20 kwietnia 1947 sztandaru. Tytuł hymnu „Pieśń o sztandarze”. Oto jedna z jego strof: „...Płyną młode lata – jak nurt wiernej rzeki./ Polski duch zostanie w Opolu na wieki./ Tam gdzie Odra wartko płynie./ Gdzie Piastowska Wieża słygnie! Polska młodzież niech pamięta./ Że sztandary to rzecz Święta...”. W 1950 roku zostaje decyzją Dyrekcji Okręgowej Szkolnictwa Zawodowego w Katowicach skierowany do pracy w Państwowych Zakładach Kształcenia Handlowego w Opolu (obecnie Zespół Szkół Ekonomicznych). W szkole tej pracował do czasu przejścia na emeryturę w 1960 roku. Potem był w macierzystej placówce zatrudniony w niepełnym wymiarze godzin do dnia śmierci 18 czerwca 1967 roku.

Żegnany przez liczne grono wychowanków i nauczycieli odchodził człowiek, który swój talent i wiedzę oddał swojej nowej Ojczyźnie, i który potrafił przetopić tęsknotę za krajem urodzenia w uczucie miłości do ziemi i miasta w których przyszło Mu zamieszkać. I może warto w tym miejscu przypomnieć apel skierowany w 1996 roku przez Zbigniewa Kościową do opolskiego środowiska muzycznego: „... warto byłoby w bieżącym, lub w przyszłym roku przypomnieć drukiem niektóre kompozycje pierwszego po wojnie pieśniarza opolskiego...”. □

Pamięć kresowych przesiedleń

Niezwykle uroczystie i dostojnie uczczono w Opolu 60 rocznicę przesiedlenia Polaków z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej na tzw. Ziemię Odzyskaną. To były dwa ważne dni w życiu miasta Opola i w życiu mieszkających tu od 1945 roku dawnych mieszkańców kresowych województw. Przybywali oni na tę ziemię tuż za przesuwającym się na Zachód frontem, nie mieli innego wyboru, wypędzeni z Ojcowizny musieli od nowa szukać miejsca, gdzie mogliby zatrzymać się i podjąć od podstaw trud organizowania życia rodzinnego i społecznego.

W niedzielę 15 maja 2005 roku, w pierwszym dniu uroczystości przygotowanych przez Opolski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, w opolskiej Katedrze św. Krzyża miała miejsce okolicznościowa msza święta celebrowana przez biskupa opolskiego ks. Pawła Stobrawę. Po jej zakończeniu bardzo licznie w świątyni zgromadzeni



Odsłonięcie tablicy w Opolu

wierni przeszli na pobliski Rynek i tam nastąpiło odsłonięcie pamiątkowej tablicy wmurowanej w ścianę frontową opolskiego Ratusza. Tę podniosłą uroczystość uświetniły występy zespołów artystycznych mających w repertuarze utwory lwowskiej i kresowej proweniencji, były to: chór „Inwencja” z Brzegu, kabaret „Varia” z Głubczyc oraz kapela podwórzowa „Lewiniacy” z Lewina Brzeskiego.

Drugi dzień obchodów pamiątkowej rocznicy – 17 maja – przeznaczony został na sesję popularnonaukową pod patronatem dyrektora Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego prof. dr hab. Adama Suchońskiego. Na sesji zostały przedstawione ciekawe opracowania opolskich historyków. I tak prof. dr hab. Krzysztof Tarka mówił o „Ewakuacji ludności polskiej” starając się wyjaśnić, czy mieliśmy do czynienia z repatriacją, przesiedleniem czy też wysiedleniem. Prof. dr Elżbieta Treli-Mazur omówiła problematykę związaną z okupacją Kresów przez Sowieców, po napaści 17 września 1939 roku. Uzupełnieniem tematyki merytorycznej był referat mgr Agnieszki Jędrzychowskiej-Książek „Środowisko Lwowiaków w Opolu. Problemy tożsamości i integracji”.

Pomysł uczczenia sześćdziesiątej rocznicy wysiedleń kresowych zrodził się w środowisku działaczy opolskich oddziałów Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich już w 2003 roku, inicjatywa wyszła od Ireny Kalit (Potok Złoty), podjęli ją i w sposób twórczy kontynuowali: Adam Karcher, Roman Wodiczko (Nadwórna), Zdzisław Kuhl (Lwów), Joanna Mirecka (Tarnopol). Opracowano specjalny program, dzięki życzliwości redakcji miejscowych mediów publicznych udało się przekazać mieszkańcom miasta i województwa szereg informacji o historii i o życiu na Kresach Wschodnich. O tych sprawach mówiły artykuły prasowe w „Nowej Trybunie Opolskiej”, „Gazecie Opolskiej”, „Gazecie Wyborczej”, audycje radiowe i telewizyjne. Szczególną rolę odegrało Muzeum Śląska Opolskiego, wielką zasługą dyrektorki Krystyny Lenart-Juszczewskiej oraz pracowników naukowych Muzeum: Urszuli Zajączkowskiej i Elżbiety Dworak było przygotowanie kilku wystaw czasowych poświęconych historii Kresów. W salach muzealnych odbywały się również, przynajmniej kilka razy w roku, spotkania z udziałem historyków, publicystów i dawnych mieszkańców Kresów, na których wracano pamięcią do odległych czasów, do wzruszających wspomnień o świecie pięknym, bezpowrotnie utraconym.

Pierwsi przesiedleńcy kresowi trafili do Opola już w kwietniu 1945 roku. W sprawozdaniu Rejonowego Inspektoratu Osadnictwa w Opolu możemy przeczytać: „... Jak wiadomo Opole, z braku połączeń kolejowych z lewym – zachodnim brzegiem Odry, stało się punktem rozładunkowym dla transportów przeznaczonych na sąsiednie powiaty. Do Opola przybyło ponad 170 transportów kolejowych w ilości 2.655 wagonów, 12.320 rodzin, 53.400 osób, z czego osiedlono w mieście i w powiecie 5.518 rodzin, resztę przewieziono samochodami i transportem konnym w powiaty: Brzeg, Grodków, Niemodlin...”.

Ogółem w latach 1945-1950 z Kresów Wschodnich do Opola przybyło 30.230 osób, zasiedliły one miasto, wśród nich najliczniejszą grupę stanowili mieszkańcy dawnych województw: lwowskiego (36,3% ogółu), tarnopolskiego (20,6%), stanisławowskiego (14,3%), wołyńskiego (14,2%) i wileńskiego (1,9%). Ludzie ci wrośli w to miasto, uznali je za swoje, ale nigdy nie zapomnieli stron ojczystych, miejsc z których przybyli i tę wielką miłość przekazują kolejnym pokoleniom. Świadczyła o tym wypełniona w niedzielne południe 15 maja br. Katedra św. Krzyża. Przed rozpoczęciem liturgii Mszy Świętej odczytana została „Modlitwa za Kresy” napisana przez Janusza Wójcika, na co dzień naczelnika Departamentu Kultury w Urzędzie Marszałkowskim w Opolu. Oto jej fragment:

„... Panie, daj powrócić na Kresy,
do miast magicznych, do Wilna, do Lwowa,
spraw jednak abym nie zranił nikogo –
albowiem nie pragnę władzy ani ziemi,
chcę tylko spojrzeć w gwiazdy nad Prutem,
zaczepnąć źródło ze studni Syrokomyi,
w cieniu dębu odpocząć w Żulowie...”

Babcia płacze,
Mówiąc, że do Światyna
Nie ma po co już wracać.
Nasz dom jest cudzym domem
A na starym cmentarzu
Wyrośli betonowe bloki.
Zasłuchany w słowa skargi
nie dostrzegam jak noc skrada się do okien,
trzeba nakarmić cienie okrucami wierszy,
aż po świt i przyjdzie mi ujrzeć
słońce wschodzące nad Kresami..."

O dramacie pierwszych dni na nieznanym w kraju mówił w swojej homilii opolski biskup ks. Paweł Stobrawa. O tym jak było ciężko mówi fragment jednego ze wspomnień z tamtego okresu:

"... W pierwszym rządzie udano się na trasę kolejową Opole-Wrocław, gdzie stwierdzono cały szereg rodzin repatriacyjnych rozłożonych po obu stronach toru. Rodziny te od trzech tygodni i więcej pozbawione środków żywnościowych, opieki sanitarnej, ludzone obietnicami wyjazdu już jutro lub za parę dni, pozostają w warunkach urągających najprymitywniejszym pojęciom bytowania ludzkiego..."

Do tych tragicznych doświadczeń nawiązywała także przygotowana przez Irenę Kalitę – odczytana w czasie Mszy Świętej – „Modlitwa Powszechna”. Oto jej fragmenty:

"... Modlimy się dzisiaj za pomyślność naszej Ojczyzny, za Ojczyznę, która jest naszym „wspólnym obowiązkiem”, za Ojczyznę – nasze duchowe dziedzictwo, przejęte od przodków, wywalczone bohaterstwem polskiego żołnierza na wszystkich frontach świata, okupione życiem na syberyjskich szlakach, zaświadczone niewinnie pomordowanymi na Wołyniu, Podolu, Wileńszczyźnie, w Katyńskim Lesie, w obozach koncentracyjnych.

Modlmy się za tych z nas Kresowiaków, którzy zostali daleko, a na ich drogach już krzyży brak. Niech Dobry Bóg przyciągnie ich do siebie, a naszej pamięci nie da o nich zapomnieć, niech trwają w naszej modlitwie. Ciebie prosimy – wysłuchaj nas Panie...

Modlmy się za tych, którzy w poczuciu głębokiego patriotyzmu opuścili swój dom, ziemię, dobytek całych pokoleń, groby swoich przodków – by tam gdzie im wskazano budować nowe gniazda. Ty, Panie Nasz, wiesz o naszym bólu, nieustającej tęsknocie, naszej pamięci o tym co już nie wróci. Dziękujemy Ci za pomoc w budowie nowego życia, błogosław naszym dzieciom, wnukom, prawnukom, by pracą miłą Tobie, czynili tę ziemię poddaną i drogą. Ciebie prosimy – wysłuchaj nas Panie..."

Modlmy się za nas urodzonych na Kresach, u których pamięć swoich korzeni jest wciąż żywa, byśmy potrafili przekazać swoim dzieciom miłość do Ojczyzny, szacunek przodkom i wiarę w Bożą Opatrzność, która przez swoje miłosierdzie i ukochanie każdego człowieka czuwa nad nami nieustannie. Ciebie prosimy – wysłuchaj nas Panie..."

Można zatem z całą odpowiedzialnością napisać, że akt wmurowania w fronton opolskiego Ratusza tablicy upamiętniającej sześćdziesięciolecie zesłań kresowych

był podsumowaniem trzyletniej akcji organizowanej przy życzliwym współudziale władz miasta z prezydentem Ryszardem Zembaczyńskim i przewodniczącym Rady Miasta Ryszardem Ciecierskim, pracowników naukowych i nauczycieli. Wielkim wsparciem była również wszechstronna pomoc proboszczów i księży parafialnych, tydzień przed uroczystą Mszą Świętą w Katedrze nabożeństwa w intencji wysiedlonych z Kresów Wschodnich odbyły się we wszystkich kościołach naszego miasta.

Symbolicznego odsłonięcia tablicy z inskrypcją „Semper Fidelis Poloniae. Kresowianie w 60 rocznicę przesiedleń. 1945-2005” dokonały najstarsze Kresowianki. Tablicę według projektu Józefa Lewczaka wyrzeźbił Henryk Korbański, odlana została w Artystycznej Odlewni Metali Wiktora Halupczoka. Płyta z brązu o wymiarach 100 x 70 cm poza inskrypcją przedstawia wagony ewakuacyjne na szynach, ryngraf Matki Boskiej z Katedry Lwowskiej, w której Jan Kazimierz składał sławne śluby oraz jedną z wież Katedry. Koszt wykonania tablicy w kwocie ośmiu tysięcy złotych pokryty został ze składek Towarzystw Kresowych.

Przemawiając w imieniu organizatorów uroczystości Adam Karcher powiedział: „... Warto przy tej okazji uzmysłwić sobie nie tylko to skąd pochodzimy, ale również i to co w Opolu przez te sześćdziesiąt lat dokonaliśmy, jaki jest nasz wkład w odbudowę i rozwój naprawdę naszego miasta...”



Odsłonięcie tablicy w Łowej

Warto wspomnieć, że w kwietniu bieżącego roku replikę „opolskiej” tablicy wykonaną z tworzywa sztucznego wmurowano w ścianę kościoła Podwyższenia Świętego Krzyża w Łowej. Odbyło się to staraniem działaczy Koła Złotopotoczan w Łowej w osobach: Michaliny Smagi, Adeli Kuślewicz, Anny Jackowskiej, Piotra Skrzypeckiego i Stanisława Boskiego.

Chodzi generalnie o to, by uroczystości w Opolu jak i w Łowej nie miały li tylko charakteru jubileuszowego, one muszą być rozpatrywane w kategoriach historycznych, bo i nasze Kresy Wschodnie od czasów Kazimierza Wielkiego były historycznie nierozdzielnie przywiązane do Rzeczypospolitej Polskiej. □

Cmentarz Obrońców Lwowa

Zagłada

Dewastacja lwowskiego Santo Campo rozpoczęła się już w latach 50-tych za władzy radzieckiej na Ukrainie – kradziono płyty nagrobne, niszczone marmurowe ozdoby, balustrady, zniknęły Kamienne Lwy spod Łuku Chwały. Zagłada nastąpiła 25 sierpnia 1971 roku. W tym dniu czołgi zrównały z ziemią groby Obrońców Lwowa, rozjechały grób, z którego w 1921 r. zabrano zwłoki Nieznanego Obrońcy do Warszawy (i złożono w Grobie Nieznanego Żołnierza), spychaczami zburzono kolumnadę. Usiłowano zniszczyć, przy użyciu czołgu i stalowej liny,



Okaleczona, bez kolumn, brama Łuku Chwały



Fot. D. B. Łomaczewska

Tak wyglądał Cmentarz Obrońców Lwowa w październiku pamiętnego dla wszystkich Lwowiaków 1971 roku.

Pomnik Chwały, ale barbarzyńcom udało się to tylko częściowo, więc uszkodzili go ostrzelując pociskami...

W 1975 r. oba skrzydła wcześniej sprofanowanych katakumb, w których spoczywało 75 Obrońców Lwowa, m.in. 14-letni Jurek Bitschan i 13-letni Antek Petrykiewicz (najmłodszy dotąd Kawaler Krzyża Virtuti Militari), przebudowano na warsztat kamieniarski, szlifiernię lastrika i garaże, a w kaplicy urządzono magazyn złomu.



Barbarzyńsko zdewastowane katakumby



*Górna część zniszczonych
i zamurowanych katakumb*



*Jeden ze zniszczonych
kamiennych aniołów*



Zdewastowany grób

Odbudowa

Pierwszymi, którzy jeszcze półlegalnie przystąpili do odkopywania Cmentarza Obrońców Lwowa spod zwałów śmieci i gruzów, byli pracownicy polskiej bazy „Energopolu” we Lwowie. Od 20 maja 1989 r. jej załoga, pod kierownictwem dyrektora Józefa Bobrowskiego, wspomagana przez inżynierów J. Winglarka i R. Balcerzaka, początkowo w wolne soboty, a wkrótce też codziennie po skończeniu pracy przystępowała do prac społecznych na cmentarzu. Dołączyli do nich spontanicznie miejscowi Polacy, głównie członkowie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Koparki „Energopolu” wydobywały, a ciężarówki wywoziły setki ton gruzów i śmieci, wycięto dziesiątki drzew samosiejek i krzaków wyrosłych na grobach, alejkach cmentarnych, na tarasach wokół Pomnika Chwały.



Odbudowa Łuku Chwały



Odbudowa kaplicy i katakumb

Niechętne odbudowie polskiego Santo Campo lwowskie władze, mimo wcześniejszych uzgodnień, utrudniały ją, zabraniając pracownikom „Energopolu” wstępu na Cmentarz, zakazując, pod różnymi pretekstami, prowadzenia przy nich prac itp. Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik, kierujący także pracami Społecznego Zespołu Odbudowy Cmentarza Orłąt wielokrotnie podejmował rozmowy we Lwowie dla uzyskania formalnej zgody na kompleksową odbudowę

W ciągu dwóch lat energopolowcy odtworzyli 16 kwatery, ustawiając na grobach kamienne krzyże, przypominające przedwojenne, które wykonali własnoręcznie w lwowskiej bazie. Odrestaurowali Kaplicę Orłąt, zrekonstruowali płytę nagrobną w miejscu, gdzie spoczywało pięciu nieznanym Obrońców Persenkówki, odnowili inne tablice oraz napisy nad pylonami, informujące o miejscach bitew wokół Lwowa i we Lwowie. Nadzór nad pracami konserwatorskimi prowadził historyk sztuki Ryszard Brykowski.



Budowa murów oporowych kwatery na stoku

Cmentarza Obrońców Lwowa. Informujemy Czytelników „SF” o nich na bieżąco (uczestniczył w nich także prezes ZG TMLiKPW Andrzej Kaminski), o podpisanych, kolejnych porozumieniach, których lwowskie władze nie dotrzymywały, o nowych szykanach i prowokacjach. Wreszcie w lipcu 1998 r., po wyjątkowo trudnych rozmowach min. A. Przewoźnik i mer Lwowa W. Kujbida podpisali protokół, który choć nie usunął wszystkich sprzeczności, otworzył



Odbudowa kamiennej balustrady i schodów



Odbudowa cmentarza, mimo zakazów, wstrzymywania robót, prowokacji i zniszczeń, powoli jednak postępowała...

ozdoby. Odnowiono wszystkie groby, założono nowe kwatery, zbudowano mury oporowe i wokół cmentarza. „Orlęta” są gotowe do otwarcia. Jedynie odtworzone kamienne posągi – Amerykańskich Lotników i Francuskich Piechurów czekają na powrót, na swoje „stare” miejsca na Cmentarzu Obrońców Lwowa, który odrodził się jak Feniks z popiołów i ponownie stał się najpiękniejszą polską nekropolią wojskową...

Zbigniew Umański

Fot. Janusz Smaza

drogę do dalszej odbudowy Cmentarza Obrońców Lwowa. Na zlecenie ROPWiM prowadziła ją Energopol-Trade S.A. z Warszawy, prace konserwatorskie wykonywali konserwatorzy warszawskiej ASP pod kierunkiem dr. J. Smazy oraz firma kamieniarska Furmanka z Daleszyc. Ekshumowano prochy Obrońców Lwowa spod drogi przeprowadzonej przez cmentarz i z grobów znajdujących się poza nim. Odrestaurowano katakumby, tarasy, zbudowano nowe schody, balustrady, odtworzono marmurowe



W takich nowych mogiłach spoczęli Obrońcy Lwowa ekshumowani spod asfaltowej drogi zbudowanej przez cmentarz.

Grażyna Hońdo Spotkanie Orląt

Szkoła Podstawowa nr 9 im. Orląt Lwowskich w Tarnowie i bliźniacza Szkoła Podstawowa nr 14 również im. Orląt Lwowskich w Sitkowie-Nowinach k. Kielc od dwóch lat współpracują ze sobą.

Ale po kolei. Chcę opowiedzieć tę historię, bo warta jest przytoczenia ze względu na możliwy ciąg dalszy.

Otóż wiadomo było mi, że inne szkoły noszące np. imię Jana Pawła II tworzą tzw. Rodziny, spotykają się, wymieniają doświadczenia, nawiązują współpracę i przyjaźnię. Faktem jest, iż szkół noszących imię Wielkiego Papieża-Polaka jest w Polsce całe mnóstwo. Aby zasięgnąć informacji, jak wiele szkół noszących imię Orląt Lwowskich jest w Polsce, zwróciłam się do redakcji „Semper Fidelis”. W niedługim czasie otrzymałam odpowiedź od... Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z Wrocławia. Okazało się, że w Polsce istnieje 8 szkół podstawowych noszących to imię, 7 gimnazjów i 3 szkoły średnie. Ze względu na dość dużą różnicę wiekową moich uczniów i tych ostatnich postanowiłam zaproponować podjęcie współpracy szkołom podstawowym i gimnazjum. Do wszystkich napisałam tzw. list intencyjny zawierający informacje o naszej szkole i propozycję nawiązania bliższego kontaktu. Trochę przykro, że odpowiedziały tylko dwie szkoły – właśnie SP nr 14 z Sitkowie i SP nr 13 ze Szczecina-Wielgowa. Odpowiedzieliśmy natychmiast, lecz ze względu na odległość dzielącą Tarnów i Szczecin nawiązanie bliższej znajomości było możliwe tylko z Sitkowie. Tak się też stało. Dwa lata wstecz otrzymaliśmy zaproszenie na Święto Patrona Szkoły. Pojechałam jako przedstawicielka dyrekcji wraz z panią Marią Haldzińską-Kuboń wicedyrektorem oraz z pocztą sztandarową naszej szkoły. To było nasze pierwsze spotkanie. Absolutnie niezwykle. Pani Dyrektor SP nr 14 mgr Barbara Cedro okazała się osobą niezwykle sympatyczną, otwartą, gotową do podjęcia współpracy. Podczas tej wizyty okazano nam tyle serdeczności i tyle autentycznej radości ze spotkania. Mieliśmy okazję także spotkać się z tamtejszymi Lwowiakami. Ze zdumieniem stwierdziłam, że wszyscy Lwowiaczy na całym świecie są identyczni. Pełni optymizmu, życiowej mądrości i radości. Obdarzeni cudowną pamięcią mogą godzinami opowiadać o swoim ukochanym mieście. Ich pamięć przechowuje drobiazgi dotyczące zakątków miasta i szczegółów z życia jego mieszkańców. Po uroczystościach oficjalnych spędziliśmy w ich towarzystwie przy stole niezwykle chwile. Potem jeszcze pani Dyrektor Barbara Cedro pokazała nam szkołę, obejrzelśmy Izbę Pamięci z jej ciekawymi zbiorami. Byłam bardzo szczęśliwa z powodu tego spotkania. Nadszedł okres świąteczny, potem wakacyjny. Korespondencja, kartki z życzeniami, częste telefony podtrzymywały naszą znajomość. Zaprosiliśmy delegację z SP nr 14 wraz ze sztandarem na Święto Patrona naszej szkoły w listopadzie. Niestety, warunki pogodowe nie pozwoliły na przyjazd gości. Pani dyrektor tłumaczyła odwołanie przyjazdu obawami o bezpieczeństwo na drodze. Tak rzeczywiście było – mocny wiatr, pierw-



Warta honorowa przed tablicą pamiątkową w SP nr 14 w Nowinach

sze mrozy i opady nie sprzyjały podróżom. Żalowałabym bardzo, że nasze spotkanie nie mogło się odbyć. Cóż... Ale kiedy rozmawiałam po raz kolejny przez telefon z panią dyrektorem, zaproponowałam, że skoro oni nie mogli do nas przyjechać, to my przyjedziemy wraz z naszym programem artystycznym. Tak też się stało. 35-osobowa grupa dzieci wraz z nauczycielami, księdzem katechetą Henrykiem Madziarem, panią wicedyrektorem Ludmiłą Zygunt i moją skromną osobą 26 kwietnia szczęśliwie dotarła do Sitkowie i uczestniczyła w uroczystej akademii. Trudno dobrać odpowiednie słowa i przekazać nastrój tego spotkania. Kiedy padła komenda „Sztandary szkoły wprowadzić” przyznam, przeszedł mnie dreszcz. Potem podczas przemówień, wymiany podarunków i pamiątek, wzajemnych podziękowań i w końcu programu artystycznego, poczuliśmy się jak wśród swoich. Tyle ciepła, wzajemnej życzliwości i radości z powodu spotkania „Orląt”. Od czasu, kiedy byliśmy w Sitkowie ostatni raz zmieniło się bardzo wiele. Na bazie starej szkoły urosła nowa, piękna, nowoczesna, rzecz by można – na europejskim poziomie placówka oświatowa. Oprowadzono nas po pachnących nowością salach lekcyjnych, gabinetach, bibliotece, podziwialiśmy nową stołówkę i... zazdrościliśmy, że wójt gminy pan Stanisław Barycki tak wielką troską otacza sprawy dotyczące edukacji młodych ludzi. Nie była to „zła” zazdrość. Przyjaciółom w ten sposób się nie zazdrości. Raczej podziwialiśmy i cieszyliśmy się, że poprawiły się im warunki pracy i nauki. Ponowiliśmy zaproszenie do Tarnowa. Czekamy teraz na rewizytę w listopadzie.

Cieszy nas ogromnie ten kontakt, ponieważ stwarza warunki do zawarcia nie tylko bliższej znajomości, przyjaźni, ale także wymiany wszelkich doświadczeń z dziedziny edukacji, wychowania, a także sposobu pracy z Patronem Szkoły. Myślę, że takie doświadczenia sprzyjają rozwojowi nie tylko dydaktyki i nie tylko w szkołach podstawowych.

Wyrażam nadzieję, że inne szkoły noszące imię Orląt Lwowskich zechcą przyłączyć się do nas. Jest ich przecież w pobliżu sporo: SP nr 16 z Nowego Sącza, SP nr 14 z Rzeszowa, SP nr 8 z Zamościa, Gimnazjum nr 15 z Częstochowy i inne.

Zapraszamy do współpracy! □

Anna Celińska, Wojciech Tesarczyk (nauczyciele historii),
Marlena Sicińska, Elżbieta Wojdat (nauczyciele-bibliotekarze)

Orlęta Lwowskie i Lwów

Relacja ze szkolnej uroczystości pt. „Orlęta Lwowskie i Lwów”
obchodzonej w Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 4 w Lublinie – wspomnienia

Zainspirowani wypowiedziami i wspomnieniami dotyczącymi listopadowych uroczystości – 86 rocznicy bohaterskich walk obrońców Lwowa o przynależność tego miasta do niepodległej Ojczyzny, pragniemy podzielić się z czytelnikami wspomnieniami, wrażeniami i odczuciami związanymi z przygotowaniem cyklu spotkań dla młodzieży naszej szkoły. Dla młodego pokolenia ważna jest pamięć o poświęceniu naszych rodaków w walce o wolność i zachowanie polskości Kresów. Młodzież naszej szkoły pielęgnuje tradycje, dba i troszczy się o historyczne dziedzictwo.

ZSO nr 4 w Lublinie nosi zaszczytne imię „Orląt Lwowskich”. Jak co roku, listopad jest odpowiednim czasem do uczczenia patrona szkoły, przybliżenia młodemu pokoleniu historii Kresów i Lwowa. Uroczystości miały szczególnie podniosły charakter. Trwały kilka dni. Młodzież zorganizowała uroczysty apel z okazji Święta Niepodległości, który zaprezentowała w naszej szkole i na Akademii Medycznej w ramach obchodów rocznicy walk o Lwów. Miała też okazję uczestniczenia w konkursie historycznym, wieczornicy i spotkaniu z Lwowiakami.

Uczniowie pod naszym kierunkiem przygotowali w czytelni szkolnej bogatą ekspozycję książek i dokumentów dotyczących Lwowa, a także wystawę pt.: „Orlęta Lwowskie”, „Lwów zawsze wierny”, „Lwów wczoraj i dziś”. Materiałów do tak pokaźnej ekspozycji dostarczyli uczniom liczne zbiory naszej biblioteki, która od lat gromadzi wszystko, co związane jest z patronem szkoły i z Kresami. Młodzież samodzielnie zdobywała także informacje z Internetu i innych bibliotek. Poszukiwania te dostarczyły uczniom dużo wartościowej i pożytecznej wiedzy, jak również wiele nowych doświadczeń i odkryć historycznych. Wykorzystane one były również w przygotowaniach do konkursu historycznego dotyczącego Lwowa i Orląt Lwowskich. Zainteresowanie było bardzo duże wśród młodzieży gimnazjalnej. Konkurs przepro-

wadzony został w dwóch etapach w formie pisemnej, zakończył się wyłonieniem najlepszych uczniów-zwycięzców, dla których czekały nagrody książkowe ufundowane przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Członkowie lubelskiego oddziału całym sercem poparli naszą inicjatywę i włączyli się do uroczystości. Przyjęli zaproszenie młodzieży i zaszczytlili swoją obecnością mury naszej szkoły.

Pani Krystyna Chruszczewska była gościem „Wieczornicy”, na której przybliżyła młodzieży gimnazjalnej i licealnej postać Lwowiaka – poety i patrioty Mariana Hemara. Przyniosła ze sobą tomiki jego poezji, by poprzez słowa wyrażone w strofach wierszy trafić w serca i dusze młodego pokolenia. Recytowane przez panią Chruszczewską słowa poety pobudziły i odkryły w uczniach wyobraźnię, wzbudziły wielkie uczucia patriotyczne, uczucia szacunku dla ludzi, którzy umiłowali nasz kraj i poświęcili mu to, co najcenniejsze – własne życie. Hemar swoją poezją zagrzewał młodych do walki, dodawał otuchy i wiary w to, że jutro będzie wolna Polska. Wspólnie zastanawialiśmy się, skąd ci bardzo młodzi obrońcy Lwowa mieli tyle sił, aby stanąć do walki w obronie najwyższych wartości, jakimi są Bóg, Honor, Ojczyzna.

Młodzież, która przybyła na spotkanie miała okazję uczestniczyć w prawdziwej, żywej i barwnej lekcji historii, w skupieniu słuchała słów i wspomnień – to było spotkanie, które przyczyniło się do obudzenia i odkrywania w młodych sercach szacunku dla bohaterów, patriotyzmu, o którym tak naprawdę na co dzień się zapomina.

Uwieńczeniem uroczystości „Orlęta Lwowskie i Lwów” było spotkanie młodzieży, na którym honorowymi gośćmi byli p. K. Chruszczewska, p. prof. Wł. Stążka, p. Maria Rodziewicz, a także zaprzyjaźniona z naszą



Rozstrzygnięcie konkursu



Szkolna akademія

szkołą p. G. Czerkas z Biblioteki im. Łopacińskiego w Lublinie.

Młodzież gimnazjalna, na podstawie własnego scenariusza, przygotowała część artystyczną pt. „Lwów – Semper Fidelis – zawsze wierny” – recytowała poezję o „Orlętach” i bohaterskim mieście Lwowie.

Była to kolejna okazja do wzruszeń i przeniesienia się pamięcią do tych tragicznych listopadowych dni – walki młodego pokolenia o Polskość, uświadomienia sobie żywej, bolesnej historii, o której nie wolno młodym Polakom zapomnieć.

Po zakończeniu montażu poetyckiego, ogłoszono wyniki konkursu historycznego. Zwycięzcami konkursu zostali uczniowie gimnazjum: Aneta Zdunek – 1 miejsce, Karolina Olcha – 2 miejsce, Daniel Sokół – 3 miejsce. Otrzymali oni z rąk p. prof. Stążki i p. Chruszczewskiej nagrody: dyplomy, książki, albumy i ryciny z miastem Lwowem ze specjalną dedykacją. Pozostali uczestnicy również otrzymali dyplomy uczestnictwa w konkursie.

Kolejnym punktem spotkania były wspomnienia p. prof. Stążki i p. Chruszczewskiej, którzy chętnie wra-

cali do przeszłości w rozmowie z młodzieżą, przekazując jej to, co najcenniejsze – prawdę historyczną naocznych świadków tamtych dni. Wprawdzie byli oni wtedy młodymi ludźmi, ale doświadczenia życiowe wyryły w ich pamięci trwale piętno. Dobrze, że mamy szczęście gościć tak wspaniałych ludzi, jakimi są p. Chruszczewska i p. prof. Stążka. Jesteśmy im niezmiernie wdzięczni i chcemy raz jeszcze wyrazić swoje podziękowanie za współpracę i trud, jaki włożyli w kształtowanie serc i postaw patriotycznych naszych uczniów. Na pewno nie zrobiliby tego lepiej od nich nikt inny.

Trzeba przyznać, że młodzież szkolna słuchała z ogromnym zainteresowaniem słów naocznych świadków tamtych dni, zadawała wiele pytań i żywo reagowała, angażując się przy tym emocjonalnie. Takie spotkania są dla młodych ludzi niezmiernie potrzebne i ważne. Widzimy konieczność organizowania tego typu uroczystości jak najczęściej. Mamy nadzieję, że w przyszłym roku – w listopadzie młodzież ponownie zaangażuje się z wielkim entuzjazmem w przygotowanie kolejnych wieczornic z okazji „Dnia patrona szkoły – Orląt Lwowskich”. □

Małgorzata Deska

Arcylwowanie patronami częstochowskich szkół

10.03.2005 r. w sali sesyjnej częstochowskiego Urzędu Miasta odbyło się spotkanie dydaktyczno-nauczowe zorganizowane przez lokalny oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Honorowy patronat nad całością przedsięwzięcia objął Prezydent Częstochowy dr Tadeusz Wrona.

Jednym z założeń statutowych częstochowskiego oddziału TMLiKPW jest działalność kulturalno-oświatowa, w związku z tym do zarządu napływają różne propozycje edukacyjno-wychowawcze ze strony środowisk oświatowych. Wychodząc naprzeciw tym propozycjom prezes p. Wacław Baczyński podjął decyzję o zorganizowaniu spotkania integrującego środowisko oświatowe miasta. Z ramienia zarządu odpowiedzialną za zorganizowanie sympozjum została p. Małgorzata Deska.

Do udziału w konferencji zaproszeni zostali uczniowie szkół, których patronami są sylwetki wielkich Lwowian. Wzięli w nim udział także przedstawiciele tych placówek, które nie mają jeszcze swego patrona (mamy nadzieję, że pomogliśmy im podjąć decyzję dotyczącą wyboru!).

Już od wczesnych godzin rannych przed salą sesyjną szkoły przygotowywały stoiska, na których w trakcie

konferencji prezentowany był dorobek związany z sylwetką patrona (gazetki, kroniki, fotografie). Konferencja podzielona została na dwie części. Pierwszą stanowiły wystąpienia zaproszonych gości, a drugą wypełniliśmy prezentacjami szkół. Uczniowie w formie referatów i materiałów multimedialnych przedstawiali historię swych szkół, niektórzy nawet recytowali piękne lwowskie wiersze.

W podsumowaniu spotkania przewodniczący Młodzieżowego TMLiKPW zaprezentował efekt działań młodzieży i zachęcał do przyłączenia się uczniów do tej organizacji. W końcowym panelu dyskusyjnym padło wiele trafnych wniosków i pozytywnych uwag ze strony dyrektorów szkół, nauczycieli i uczniów. Pani Anna Pawłowska (Naczelnik Wydziału Organizacyjnego Urzędu Miasta w Częstochowie) w imieniu Prezydenta dr. Tadeusza Wrony gratulowała organizatorom trafnej inicjatywy. Podkreśliła prężność działań TMLiKPW w Częstochowie i zachęcała do podejmowania nowych inicjatyw.

W lokalnej prasie i mediach pozytywnie odniesiono się do naszej inicjatywy, a prezes oddziału p. Wacław Baczyński zapewnił, że to nie będzie ostatnie takie spotkanie.

Maria Helena Dobrowolska

Polscy Ormianie

W Klubie „Jedynka” Grodzkiego Domu Kultury w Gorzowie Wlkp., prowadzonym przez wiceprezesa gorzowskiego TMLiKPW Władysława Staryszak, zainaugurowany został cykl spotkań pod hasłem „Ludzie stamtąd”. Mija bowiem 60 lat od przyjazdu pierwszych osie-

dleńców Gorzowa Wlkp., którzy w wyniku ustaleń w Jalcie po zakończeniu II wojny światowej w 1945 r. zostali ekspatriowani z Kresów II Rzeczypospolitej. Wśród ekspatriantów zasiedlających tzw. Ziemię Odzyskane, w tym Gorzów, znaleźli się również spolszczeni Ormianie, Tatarzy, Romowie, Żydzi oraz inne nacje od wieków związane z Polską.

Spotkanie w dniu 23 lutego 2005 r. poświęcone zostało polskim Ormianom, konkretnie poecie ormiańskie-

mu Kajetanowi Petrowiczowi, którego córka Krystyna Petrowicz-Szopa mieszka od ponad 50 lat w Gorzowie Wlkp.

Po zagajeniu przez Władysława Staryszak Jerzy Duda, instruktor Grodzkiego Domu Kultury, zaprezentował muzyczną aranżację utworu Kajetana Petrowicza: wykonał na mandolinie skomponowaną przez siebie melodię do wiersza poety *Matce-Marii*, poświęconego Najświętszej Marii Pannie, matce naszej Ojczyzny – Polski i wszystkim jej mieszkańcom.

Rys historyczny o Ormianach przedstawił wnikliwie Aleksander Gerlach – przewodniczący Klubu Stanisła-



Aleksander Gerlach z TMLiKPW w klubie „Jedynka” wygłasza prelekcję o polskich Ormianach

wowian Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW. Słuchacze, wśród których znaleźli się nie tylko członkowie naszego TMLiKPW i jego sympatycy, ale też liczna grupa młodzieży z Zespołu Szkół Budowlanych ze swoją opiekunką (niebawem członkowie TMLiKPW) dowiedzieli się o pochodzeniu Ormian, o miejscach najliczniej przez nich zasiedlanych na Kresach Południowo-Wschodnich Polski, o zajęciach i zawodach wykonywanych najczęściej przez Ormian, o ich stosunku i przywiązaniu do Polski, o cechach charakteryzujących polskich Ormian, wśród których dominowały wierność i gościnność.

Krystyna Petrowicz-Szopa przedstawiła sylwetkę swojego ojca Kajetana Petrowicza, ilustrując wspomnienia licznymi zdjęciami, wyjaśniała pytania, jakie zadawali słuchacze. Jej wspomnienia przeplatały wiersze z tomu poezji Kajetana Petrowicza, które zaprezentowały



Spotkanie w klubie „Jedynka” Grodzkiego Domu Kultury w Gorzowie Wlkp. poświęcone polskim Ormianom. Od prawej: Krystyna Petrowicz-Szopa i Maria Helena Dobrowolska

uczennice IV Liceum Ogólnokształcącego: Katarzyna Rosińska, Monika Araszczyk, Weronika Zaręba – członkinie Młodzieżowego Koła TMLiKPW, zaś Helena Dobrowolska przeczytała wiersz *Wyjazd na Święta*, zawierający wspomnienia autora z pobytu w Bursie ormiańskiej im. dra J. Torosiewicza we Lwowie oraz opis Świąt Bożego Narodzenia w rodzinnym domu, w tym zwyczaj i potrawy świąteczne charakterystyczne w kręgu Ormian. Krystyna Petrowicz-Szopa wyjaśniła znaczenie określeń „gandzabur”, „chorut”, „dołwat”, jakie wystąpiły w tym wierszu, pokazała zebrany przyprawę „chorut”, skrzętnie przez nią przechowywaną.

Za swoje wiersze zebrane w tomiku *Z przeszłości górnej i chmurnej – obrazki z życia Ormian polskich* autor otrzymał Medal Brązowy wybitny ku czci ks. dra Józefa Teodorowicza – Arcybiskupa Metropolity Obrządku Ormiańskiego we Lwowie dla uświetnienia 40-lecia kapłaństwa i 25-lecia arcybiskupstwa.

Spotkanie zakończyło wspólne odśpiewanie znanej pieśni kresowej *Czerwony pas, za pasem broń*, którą ułożył autor *Karpackich górali* – Józef Korzeniowski. Akompaniował na fortepianie Bogdan Zalewski – kresowianin rodem z Wołynia, znany gorzowski muzyk i kompozytor. Pieśń ta związana jest z Pokuciem – krainą na południowo-wschodnich rubieżach, którą upodobał sobie szczególnie Ormianie, a którym przygrywał do pracy i do tańca szum Prutu i Czeremoszu. □

Maria Janowska

Wspomnienia z dzieciennych lat (II)

Szłam dniem i nocą, gdy przyszedłam do wsi – odpędzano mnie, wykrzykiwali „że faszystka”, rzucali kamieniami i szczuli psem. Noce były już chłodne, więc nowocześnie przebrałam się w łaźni (czyli bani) za wsią. Rano, gdy ktoś mnie zobaczył wychodzącą z łaźni, pędził za mną, a ja głodna, więc nie miałam nawet siły uciekać. Modliłam się jedynie, płakałam i mówiłam, by mnie ukamienowali jak świętego Szczepana. Nic dziwnego, wy-

glądałam okropnie. Po zjedzeniu tych placków nie miałam już co jeść. Byłam sina i spuchnięta, spódnica i bluzka były wygniecione, a długie włosy sięgające kolan brudne i od wielu dni nie widzące grzebienia.

Nie miałam sił by dalej iść. Bałam się jednak, że gdy osłabnę z głodu ktoś mnie zabije. I ten strach jakby przywracał mi resztkę sił. Doszłam do małej stacji kolejowej, a gdy pociąg zwolnił chwyciłam się kurczowo

schodków ostatniego wagonu towarowego i tak dojechałam do Sławgorodu. Tu mnie zauważyła milicja kolejowa i zabrano mnie na posterunek dworcowy. Ponieważ byłam bardzo osłabiona, nawet nie słyszałam, co do mnie mówiono. Powtarzałam tylko z uporem maniaka: jeść, jeść. Milicja w obawie, że umrę wyprowadziła mnie z posterunku, wrzuciła na wagon z węglem i tak dojechałam do jeszcze jednej stacji. Przy przetaczaniu wagonów na bocznice spadłam na ziemię. Znalazła mnie jakaś kobieta, wzięła do swego domu i przez dwa tygodnie karmiła, aż odzyskałam zdrowie. Gdy poczułam się lepiej poprosiła znajomego konduktora o pomoc i tak szczęśliwie dojechałam do Pawłodaru. Był już październik. Noce stały się coraz bardziej zimne, a drzewa pokrywał rano szron. Było mi zimno w nogi, nie miałam nic cieplejszego z odzieży, udałam się więc do UNRR. Tam opowiedziałam koleje swojego losu. Dano mi buty na nogi, ale okazały się za duże, więc wzięłam je do ręki, okryłam się kocem i tak wyposażona wsiadłam na statek. Dojechałam do Majśka. Gdy w rajspalkomnie dowiedzieli się, że już wróciłam, wsadzono całą moją rodzinę do auta i wywieziono nas do kopalni rudy żelaza.

Ja z Mamusią pracowałam w kopalni – 172 m pod ziemią, a brat w fabryce. Była to praca po 12 godzin dziennie, a jak przychodził tak zwany „peresmienok”, czyli zmiana, co drugi tydzień, wtedy pracowaliśmy i całą dobę. Była to ciężka praca. Matka moja pracowała jako ładowaczka, a ja nosiłam świdy, glinę, dynamit. Gлина była mokra. Bury (świdry) żelazne, ciężkie to było brzemie, ciężkie, noszone przez 12 godzin. Gdy wracaliśmy do domu, czyli baraku, nic nam się nie chciało, chyba tylko umrzeć.

Pomimo tak ciężkiej pracy z ust naszych nie padła nigdy żadna skarga na ciężką dolę. Brat miał dwanaście lat, pracował w fabryce przez dwanaście godzin jak my. W baraku na pryczy leżały moje młodsze siostrzyczki i czekały na tyżkę strawy. Przez tyle godzin otaczał je jedynie głód i chłód. Atmosfera ta przytłaczała nas, jak i nasze współlokalki, które przyjechały z Leningradu.

Barak nasz stał na tak zwanych kurzych łapkach, czyli na belkach. Wiatr hulał w baraku, a jeszcze bardziej pod domem. Było to szczególnie dokuczliwe, gdy mróz spadał do minus 50°. Nie mieliśmy czym palić, by ogrzać siebie i ugotować strawę. Węgla tam nie było, łajna zwierzęcego również, więc musieliśmy przynosić ukradkiem z kopalni kawałki podkładów, jakiegoś drzewa lub umiejętnie podcinałymi belki pod domkiem, chociaż baliśmy się, by to wszystko razem nie runęło nam na głowę. Boże, co za koszmarna była ta zima – trzecia już z rzędu! W tej górniczej wiosce leżącej w dolinie otoczonej naokoło pagórkami bez drzew o niewielkiej ilości domów – było bardzo smutno i cicho. Drogi wyglądały jakby wyludnione, a widziało się jedynie ludzi idących do pracy i wracających po trudach dnia do domu.

Wszyscy starali się by norma dzienna była zrobiona. Wtedy każdy zarabiał więcej, ale cóż z tego, jeśli za te 300 rubli można było kupić wiadro zmrożonych ziemniaków, jak również wykupić przydział na kartki 40 dkg chleba czarnego mokrego, 20 dkg chleba dla dzieci,

razem 180 dkg i po 1 kg maki na miesiąc dla pracującego. Po tak ciężkiej pracy były to raczej głodowe. Ludzie pracujący pod ziemią jeszcze przed pracą dostawali gorącą zupę. Był to z reguły kapuśniak, musieliśmy się dzielić. Zlewaliśmy połowę zupy do blaszanki, by po pracy zanieść do domu dla rodzeństwa. Siostry cały dzień siedziały na pryczy i oczekiwały na nasz powrót. Biedne one były, całe we wrzodach od przeziębienia, pozbawione cienia radości i wygody. Nie mogliśmy się doczekać wiosny. Czekaliśmy na nią jak na zbawienie. Z chwilą gdy pokazały się pierwsze promyki słońca, a śnieg zaczął topnieć, postanowiliśmy uciec z tego piekła. Ponieważ żadnych rzeczy nie mieliśmy, szliśmy tak, że nikt nie zwracał na nas uwagi. Wyglądaliśmy bowiem na pastuchów. Po kilku dniach dotarliśmy do Ust-Kamiennogorska. Jest to ładne miasteczko, dużo w nim zieleni, drzew, niskich drewnianych domków, od czasu do czasu widać było i piętrowe z obiektem nawet jak teatr. Ludzie okazali się życzliwi. Dużo wśród nich było zesłańców.

Gdy usłyszeli, że my uciekliśmy z kopalni, poradzili nam byśmy na jakiś czas schowali się 12 km od Ust-Kamiennogorska w górach. Tak zrobiliśmy. Poszliśmy paść bydło.

Była to wiosna 1943 roku, gdy przybyliśmy na miejsce. Tu odczuliśmy od niepamiętnych czasów spokój wewnętrzny, ciszę i piękno. Wysokie góry otaczały piękny jar, bujna roślinność była wokół, a w środku płynął Irtysz. Piękna zieleń i drzewa tak bardzo dodatnio wpływały na nas, że do dziś to wspominam. W małym, kwadratowym domku mieszkała stara kobieta z młodą, piękną córką Marią. W domu było jedno pomieszczenie, w którym znajdował się piec, na nim można było spać, a w środku pieca piekło się chleb, gotowało się strawę. Obok stało jedno łóżko, mały stolik i taboret. Pół kilometra dalej w podobnym domku mieszkał stary, samotny rybak. Dziwiłam się zwłaszcza kobietom, że mieszkają na takim odludziu.

Latem zajmowały się one wypasem bydła, które było przyprawiane na cieplejsze miesiące, a zabierane jesienią. Za to dostawały prowiant i zapłatę, więc można było niezbędne rzeczy dokupić. Matka Marii nauczyła nas żyć z tego co jest i żyliśmy nienajgorzej. Jedliśmy dużo botwiny czy lebiody, pokrzywy, różnych roślin. Posiedliśmy nawet umiejętność łowienia ryb rękami. Woda była tam tak czysta, że nigdy potem takiej czystej wody nie spotkałam, a ryba była w niej dużo. Oprócz tego mieliśmy nawet niedużo mleka, gdyż Maria każdego dnia płynęła łódką na drugą stronę Irtysza i wywoziła mleko. Bardzo mnie to intrygowało, gdy czasem z nią tam płynęłam wydawało mi się, że nie ma tam żywej duszy, gdyż teren wyglądał jak kamieniołom. Gdy Maria prosiła bym z nią płynęła, nie chciała bym dalej jej towarzyszyć, tylko wracała. Ona wracała wtedy do domu przez góry.

Zaraz na początku swego pobytu tam zachorowałam na tyfus brzuszny. Położono mnie na piecu na ponad miesiąc, bez lekarza i lekarstw. Gdy po miesiącu wstałam na chwiejnych nogach, bez włosów na głowie, zachorowała Mamusia i brat. Wtedy po raz pierwszy matka Marii wezwwała pogotowie ratunkowe i zabrano cho-

rych do szpitala. Pamiętam jak popłynęli łódką, a ja bardzo się o nich bałam, by im się nic złego nie stało, żeby wrócili zdrowo, byśmy nie zostały sierotami. Przeraziła mnie wizja domu dziecka i los moich rówieśników w Majsku.

Wówczas matka Marii zaczęła mnie pocieszać i powiedziała, że ona bardziej boi się ode mnie, gdyż zdradziła swoją najśłodszą tajemnicę tj. schronienie. Myśli jednak, że Bóg jej to wybaczy. Nie pytałam o nic więcej, chociaż wiem, że one darzyły nas wielką przyjaźnią. Któregoś jednak razu poznałam tę tajemnicę. Pojawił się wówczas młody człowiek. Widać było u niego zdjęty łańcuch z nogi. Był z nami przez okres dwóch dni i znikł jak sen. Nie pytaliśmy się, kto to był, bo zauważyliśmy po ich zachowaniu, że musiał to być ktoś najdroższy, zesłaniec. One były nam za to bardzo wdzięczne i tak dożyliśmy do jesieni 1943 roku.

Jesienią przyjechali ludzie po swoje bydło i zabrali je, jary zaczęły tracić zielony kolor, z drzew opadały liście. Zaczęło robić się smutno, a w powietrzu czuło się nadchodzącą zimę.

Maria wybierała się na drugą stronę Irtysza, poprosiła mnie bym płynęła z nią i zabrała łódkę, gdyż ona wróci tradycyjnie przez góry. Zgodziłam się, wiedziałam, że wybiera się do brata lub narzeczonego. Płynęliśmy spokojnie na drugą stronę rzeki. Maria wysiadła, zawróciłam łódkę i płynę dalej. Wtem zaczęły przepływać kry tak wielkie, że wydawało mi się, iż rozkruszą łódkę. Pierwszy raz ze strachu zaczęłam krzyczeć. Łódkę zaczęło znosić na olbrzymie góry, podczas krzyku nie miałam siły wiosłować i wydawało mi się, że może już przyjść śmierć w odmętach rzeki wzburzonej. Ta myśl przeraziła mnie i zaczęłam się uspokajać, pomyślałam sobie: przecież nieraz już byłam w tak strasznych sytuacjach. Prosiłam Boga o pomoc, zaczęłam się modlić, nie patrzyłam już na te olbrzymie góry, jedynie na dziób łodzi, by nie dryfować i tak dopłynęłam do brzegu.

Gdy było już blisko zimy, postanowiliśmy przenieść się do Ust-Kamiennogorska, gdyż baliśmy się, że gdy nie będziemy razem z innymi Polakami zostaniemy na zawsze na Sybirze. Matka Marii również nam radziła by trzymać się razem z Polakami. Dała nam adres do swojej znajomej w mieście, której córka wróciła z zesłania. Mieszkała ona z córką i Kazaczką z czteroletnim synkiem. Przyjęły nas chętnie, chociaż była to niewielka ciasna piwnica. Twierdziły jednak, że gdy będzie nas więcej to będzie cieplej, zwłaszcza że zima nadchodzi, a pieca nie ma. Było tam zwykłe palenisko z kociołkiem w środku bez przewodu kominowego.

Ust-Kamiennogorsk to duże i rozległe miasto. Dom zbudowany nad naszą piwnicą był drewniany, parterowy, na wysokim fundamencie. Mieszkała w nim stara kobieta. Pozwoliła ona wykopać pod domem małą piwniczkę i w środku obmurować. Wyjście było z tyłu domku, okienko prześwitywało na wysokości 1 m, prawie pod sufitem. Przez cały dzień było tam mroczno, a gdy paliło się w piecu, to było szaro od dymu. Mieszkaliśmy tak do końca naszego pobytu na Syberii. Nic dziwnego, że w takich warunkach przebywając zaczęliśmy wszyscy chorować na oczy. W tym domku każdy z nas sta-

rał się krótko przebywać. Od rana każdy miał zajęcie i wychodził do pracy. Spotykaliśmy się dopiero wieczorem, a ponieważ światła nie było, oprócz łuczywa, szybko jadło się cokolwiek i szło spać. Wtedy każdy po ciemku rozbierał się, modlił, a przed zaśnięciem opowiadał swoje przeżycia często do późna w noc. Najpiękniej opowiadała moja Mamusia. Po takim opowiadaniu łżej się robiło na sercu. Gdy przychodziły jakieś święta, staraliśmy się wystroić naszą piwniczkę, bieliliśmy ją, a ziemię gliną zmywaliśmy, na pryczy zmieniali się siano i podglówek. Wtedy szliśmy obowiązkowo wszyscy do łaźni, by się wyparzyć. Przy okazji oddawaliśmy bieliznę do odparowania i wytępienia wszy. Wszy to była najgorsza plaga. Narzekali na nie lekarze, aktorzy, bogaci i biedni, może dlatego, że nie było mydła i proszku do prania. Prało się w popiele z drzewa, wszystko było szare, ale mówili, że jest on jak ług, więc robiło się tak jak i inni czynili. Paliliśmy pod kotłem drzewem, chodziliśmy nad rzekę, wyciągaliśmy je, bo na rzece odbywał się spław drzewa. Już wtedy zaczynaliśmy myśleć o zimie, by zaopatrzyć się w opał.

Współlokatorzy byli bardzo dobrymi kobietami, zwłaszcza Tania – ta, która była tu na zesłaniu. Miała ona amputowane palce u nóg, gdyż odmroziła nogi. Kulala troszeczkę, ale zawsze była uśmiechnięta, miała bałajkę, na której godzinami potrafiła grać i śpiewać, a my jej wtórowaliśmy, był wtedy piękny chór. Handlowała wraz ze swą matką na rynku, zimą gazetami i zapalkami, a latem jeszcze sprzedawały wodę. Pragnęły zdobyć pieniądze, by wrócić do Moskwy. Wciągnęły one moją Mamusię i brata do handlu. Młodsze siostrzyczki nareszcie mogły pójść do szkoły. Uczyły się bardzo dobrze, pomimo że w domu nie miały warunków ku temu. Po południu zawsze pomagały w handlu, donosiły wodę lub szły do ludzi pomagać przy porządkach, za co dostawały posiłek. Ja zaczęłam pracować w teatrze jako garderobiana, czyli od-
iwałszczyca.

W teatrze oprócz mnie pracowały jeszcze trzy Polki. Robiły one peruki, czesały aktorów, sprawowały opiekę nad rekwizytornią. Aktorzy byli wspaniali, prawie połowa z nich przyjechała z Leningradu. Wśród nich byli młodzi i starzy, i tak samo czekali jak my z utęsknieniem na powrót do domu. Ładnie grali swoje role, pamiętam do dziś wspaniałe sztuki grane przez nich jak: „Damy i huzary”, „Grzesznica bez winy”. Tyle razy widziałam tę sztukę, ale zawsze bardzo ją przeżywałam i płakałam, zwłaszcza gdy syna porzuconego przez ojca grał pan Kruczkow. Do końca naszej bytności na Syberii pracowałam w teatrze. Pamiętam jak wielką zapanowała radość, gdy oznajmiono koniec wojny. Czekaaliśmy z utęsknieniem kiedy oznajmią nam powrót do domu.

Aktorzy mówili, że oni prędzej wyjadą do Leningradu niż my i tak żyliśmy w ciągłym oczekiwaniu jeszcze przez cały rok.

Nadszedł rok 1946, koniec kwietnia, gdy zapowiedziano nasz powrót do Polski. Pomimo, że wyjeżdżaliśmy pierwsi, wraz z nami cieszyli się nasi aktorzy, którzy wkrótce mieli wyjechać do Leningradu. Nie wiem skąd się znalazły zapasy na drogę, ale dostaliśmy tego wszystkiego dosyć dużo z naszego teatralnego sklepi-

ku. Od tylu lat nie jedliśmy cukierków czekoladowych, czekolady, otrzymaliśmy ich tyle, że mogliśmy wszystkich poczęstować na odjeździe.

Pamiętam że nasze współlokatorzy, gdy dowiedziały się o naszym wyjeździe, wybieliły naszą piwnicę i udekorowały kwiatami. Żegnałyśmy się z radością, im było smutno, że nigdy się już nie zobaczymy, płakaliśmy wspólnie, gdyż przez dwa i pół roku bardzo nas połączyły dole i niedole. Życzyłyśmy naszym współlokatorom, by im też życie na dobre się odmieniło, a Pan Bóg każdą pocieszył.

Po dowiedzeniu się o wyjeździe zaczęłyśmy zapominać o tym, co się przeżyło, chociaż straty na zdrowiu, w oczach i płucach były coraz dotkliwsze. Miałam wtedy siedemnaście i pół lat skończonych, a czułam się stara i wiedziałam, że już moja młodość przeszła, że wciąż będę musiała spieszyć się by zdążyć za rówieśnikami.

Gdy byliśmy już w wagonie nawet wtedy nie mogłam uwierzyć, że to prawda, że wracamy do Polski, upragnionej ojczyzny. Za krajem rodzinnym tęskniliśmy dzień i noc, modliliśmy się, śpiewaliśmy i opowiadaliśmy jej dzieje. Tuż przed odjazdem pociągu przyszli z NKWD. Zrobili tzw. czystkę, kilka osób wyciągnęli siłą z pociągu, porozdzielano rodziny. Nie wiem dlaczego tak było, ale wiem, że była to wielka rozpacz dla najbliższych. Po latach dowiedziałam się, że niektórzy Polacy podpisali obywatelstwo rosyjskie, by zapewnić najbliższymi lepszą pracę, pomóc w uzyskiwaniu żywności i łatwiejszego życia.

W wagonie okna nie były zakratowane, drzwi otwarte, a my siedzieliśmy w nich, śpiewaliśmy radośnie, nie zwracaliśmy uwagi na niewygodę i zaduch oraz przepełnienie.

Gdy przejeżdżaliśmy przez tereny, na których przeszłam gehennę i upodlenie, nie wierzyłam, że przez to wszystko przeszłam i udało mi się to przeżyć. Gdybym się przecież wtedy załamała, nigdy bym nie wracała ze swoją rodziną do swego kraju.

Człowiek jest jednak mocny – pomyślałam sobie. W Pawłodarze, gdy doczepiono jeszcze kilka wagonów, dało się odczuć wielkie podniecenie. Oczekiwano najpierw przejazdu przez Wołgę, a potem przez Ural. Oglądaliśmy z przyjemnością piękne krajobrazy, cudowne dziewicze lasy i tereny, do których człowiek jeszcze nie dotarł. Bogactwa te nie miały jeszcze swego gospodarza. Piękne wschody i zachody słońca.

My Sybiracy wiedzieliśmy już o Katyniu i oczyma szukaliśmy na horyzoncie krzyża. Dziesiątego dnia byliśmy w Moskwie. Tu oczom naszym ukazał się obraz całkiem inny – gruzy i straszne zniszczenia. W Moskwie zatrzymano nas na jeden dzień. Przewodnik grupami rozdzielił nas i pokazywał to spustoszenie, które zostało już po wojnie. Na koniec powiedział, że powinniśmy dziękować Stalinowi, iż wywiózł nas w głąb kraju rosyjskiego i tym samym nie musieliśmy przeżywać tej strasznej wojny. Oni nie chcieli wiedzieć naprawdę, co się przeszło i przeżyło. Uważali się za naszych wybawców. Gdy wyruszyliśmy z Moskwy do Polski, już przez cały czas było widać tylko gruzy i zgłiszcz.

Czternastego czerwca 1946 roku dojechaliśmy do granicy w Brześciu. Wysiedliśmy wszyscy z wagonów, młodzi i starzy, każdy objął rękami naszą ukochaną i umęczoną ziemię i całowaliśmy ją tak, jak to czynił Ojciec Święty. Potem odśpiewaliśmy pieśń, zrobiliśmy zdjęcia i wsiedliśmy znów do wagonów, by jechać do miejsca swego przeznaczenia.

Pieśń ta brzmi w moich uszach do dziś, gdyż powstała przy bardzo ciężkiej pracy w kolchozie w 1941 roku. Gdy powróciłam z domu dziecka zaraz zatrudniono mnie w tak zwanej kopalni gliny, wraz z innymi ludźmi. Przez tydzień wyciągałam glinę na powierzchnię, a drugi tydzień była zmiana i pracowałam na powierzchni. Glinę z łajnem i słomą ugniatałam nogami (gdyż woły nie chciał tak długo chodzić w tej glinie w kółko). Przez 12 godzin trzeba było w tej glinie chodzić, by była dobrze wyrobiona, by nie było najmniejszej grudki. Z tego potem wyrabiano się kierpicy, czyli cegły. Na słońcu ją suszono i budowano z niej domy i obory. Bardzo ciężka była to praca, pot lał się z nas, a kolana odmawiały posłuszeństwa, były sztywne, a brygadzysta stał nad nami i krzyczał, a nieraz i kijem uderzył, my łzami się zalewałyśmy i płakałyśmy.

*Hen, na Sybirze w kopalni gliny,
Tam naród polski przebywa.
Z sił wyczerpany, głodem morzony
Glinę tak ciężko dobywa.*

*Dobywa glinę we dnie i w nocy
Zrasza ją potem i łzami.
Wzdycha do Boga, zanoszą modły
Zlituj się Boże nad nami.*

*Zlituj się Boże, ulżyj w cierpieniu
Byśmy w katordze wytrwali.
Pokrzep na duchu, wzmocnij na siłach
Wybaw o Boże z niewoli.*

*Wybaw z niewoli, wróć nam Ojczyznę
Nie daj nam ginąć bez Boga.
Usłysz błagania polskiego ludu,
Uwolnij lud swój od wroga.*

*Prosimy Ciebie Boże Jedyny,
Weź nas pod Swoją opiekę.
By biedny naród powrócił w swe strony,
By tu nie zginął na wieki.*

*Spojrzyj o Boże na te męczarnie,
Które tak ciężko znosimy.
Daruj nam winy za grzechy nasze,
My Cię o Boże prosimy.*

Moje zapiski dobiegły już końca, ale jest w nich Prawda i ona powinna już wystarczyć! Takie było bowiem rozstanie z Ojczyzną, moje i moich bliskich, a tęsknota do kraju, prawie... mickiewiczowska, bo
*Ile Cię trzeba cenić, Ojczyzno ma
Ten tylko się dowie, kto Cię stracił.*

„Wspomnienia” przekazał mi w 2005 r. kuzyn mojej żony. Maszynopis (sprzed lat) został przepisany na komputerze. Maria Janowska to stryjeczna siostra mojej żony – Anny Szlichty z d. Lenard.

Andrzej Szlichta

Anna Chlęch

Tablica pamięci w Katowicach

Odsłonięcie i poświęcenie w Katowicach tablicy poświęconej pamięci ofiar zbrodni na Polakach na Kresach w latach 1939-1947

Na Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym katowickiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w listopadzie 2003 r. została podjęta uchwała o ufundowaniu tablicy pamiątkowej poświęconej pamięci Polaków zamordowanych na Kresach Wschodnich. Problemem dla naszego niewielkiego oddziału było już zebranie funduszy, bo żadnych sponsorów nie udało się pozyskać. Następnie przedłużały się formalności związane z akceptacją treści tablicy i miejsca jej usytuowania. Tym większą była nasza satysfakcja, że w rok po podjęciu uchwały udało nam się sprawę doprowadzić do pomyślnego zakończenia i w grudniu 2004 r. tablica została umieszczona na zewnętrznej ścianie kaplicy cmentarnej przy ulicy Sienkiewicza w Katowicach. Pierwotnym naszym zamysłem było uczczenie pamięci ofiar okrutnych zbrodni ukraińskich nacjonalistów. Ostatecznie jak głosi napis tablicę ufundowano w hołdzie Polakom zamordowanym na Kresach w latach 1939-1947 zarówno przez OUN-UPA, jak i przez obu okupantów – hitlerowców i sowietów.

14 marca 2005 r. nastąpiło uroczyste odsłonięcie i poświęcenie tablicy. W tych dniach spotykaliśmy się codziennie. 12 marca żegnaliśmy na cmentarzu naszego seniora 99-letniego Romana Chrzastowskiego. 13 marca w krypcie katowickiej katedry odprawiona została Msza Św. w intencji Polaków wywiezionych przez sowieckiego okupanta na *nieludzką ziemię*. Wspomniano także mieszkańców Górnego Śląska, głównie górników, wywiezionych w 1945 r. do Rosji, z której mało kto wrócił. Po Mszy Św. kwstowaliśmy na pomoc Rodakom z Kresów, którzy pozostali na ojczystej ziemi.

14 marca o godzinie 12, przy pięknej słonecznej pogodzie witaliśmy przybyłych na uroczystość zapro-



szonych gości: przedstawiciele władz miasta, Związku Sybiraków, Światowego Związku Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego, Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem, oddziałów w Zabrzu i Tychach TMLiKPW, a przede wszystkim młodzież katowickich szkół ze sztandarami.

Uroczystość była bardzo podniosła. Odsłonięcia tablicy dokonał Prezes Oddziału Katowice TMLiKPW kol. Lesław Hawling.

Tablicę poświęcił ks. kanonik Paweł Buchta, proboszcz miejscowej parafii, bardzo przyjazny wszystkim naszym staraniom. Przewodniczył on modlitwie za pomordowanych oraz zaintonował *Boże coś Polskę*.

Następnie przemawiali:

– Ks. prof. dr hab. Józef Krętosz z Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego, kapłan zasłużony dla odradzającego się kościoła na Kresach, autor monografii pt. *Katedra obrządku łacińskiego we Lwowie i jej proboszcz O. Rafał Kiernicki OFM conv. w latach 1948-1991*.

– Wiceprezydent miasta Katowice p. Józef Kocurek.

– Prezes Śląskiego Oddziału Związku Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego p. Irena Kasprzykiewicz.

– Wiceprezes Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem p. Barbara Adamczyk.

O tragicznych wydarzeniach na Kresach mówili ich bezpośredni

świadkowie: Prezes Oddziału w Zabrzu TMLiKPW kol. Andrzej Michniewski oraz nasza koleżanka Anna Chlęch.

Mówcy podkreślali konieczność dawania świadectwa martyrologii Polaków na Kresach, zwłaszcza wobec faktu, że historia tych ziem była przez wiele dziesięcioleci zakłamywana.

Szczególnie nas ucieszył liczny udział młodzieży szkolnej w uroczystości, gdyż mamy nadzieję, że ci młodzi ludzie będą dalej nieść pamięć o tragedii Polaków z Kresów Wschodnich, zwłaszcza że wiedza o jakże skomplikowanych wojennych i powojennych losach Rodaków na Kresach jest w Polsce niewielka. Opiekunowie młodzieży z poszczególnych szkół otrzymali na pamiątkę po jednym egzemplarzu, ufundowanym przez nasz Oddział, książki naszego kolegi Stanisława Jastrzębskiego pt. *Martyrologia polskiej ludności*

Kazimiera Głogowska-Gosz

Jednym rzutem pod Pnikutem

Wioska nasza ukochana – kraj lat dziecinnych i rodzinnych, leży przy drodze Mościska-Sambor, w odległości 10 km od Mościsk. Położona jest około 30 km na południowy wschód od Przemyśla i około 70 km na południowy zachód od Lwowa.

Do połowy XX w. zabudowania wsi były rozmieszczone po obu stronach rzeki Sieczna na długości 3 km (Sieczna stanowi dopływ Wiszni w dorzeczu Sanu).

Przed II wojną światową wieś liczyła blisko 300 domów, co stanowiło około 600 rodzin, rdzenni mieszkańcy byli Polakami, a we wsi mieszkało tylko 3 Rusinów, którzy ożenili się z Polkami oraz 3 rodziny żydowskie.

Historia wsi Pnikut sięga II połowy XIV wieku. Już w 1385 r. wioska zwana wówczas Pneholt została darowana biskupowi przemyskiemu. Od roku 1440 istniała tu parafia i drewniany kościółek, a wszystko otoczone było wałem, wał był obity palisadami i naokoło obłany wodą. Przez fosę był most zwodzony. 21 października 1648 r. wpadli do Pnikuta Kozacy i przez zdradę dostali się do kościoła (jakaś dziewczyna spuściła most zwodzony). Kozacy udusili księdza, a zgromadzony tam lud i kościół spalili. Na miejscu starego kościoła wybudowano kilkanaście lat później nowy, też drewniany i umieszczono napis: „Ten dom Boży, wystawiony na chwałę Najwyższego w roku 1667, poświęcony 27 lipca 1667 r.”. Gdy w 1672 r. hordy tatarskie kierowały się na Przemyśl, polscy wojownicy pod wodzą Gwardiana OO Reformatorów Przemyskich Krystyna Szykowskiego, zadały im klęskę, a opis tej bitwy znajdujemy w poemacie z albumu Józefa Dunikowskiego-Dunina:

A któż to jest do stu katów
Na łbie kaptur, w ręku krzyż
Jak go widzisz, tak go pisz
Sługa to boski Krystyn Szykowski.
Gwardian OO Reformatorów
Ano patrzcie Przemyśl stary
I budowny i warowny
Lecz się niebo zaczerwienia
Poza miastem tłą pożary

w województwie lwowskim w latach 1939-1947 – zbrodnie popełnione przez nacjonalistów ukraińskich. Na książkach umieściliśmy stosowną dedykację z życzeniem, by ta znalazła się w bibliotece szkolnej.

Na zakończenie pod tablicą złożono kwiaty, zapalono znicze oraz odśpiewano *Rotę*.

W *Aktualnościach* programu TV Katowice ukazała się relacja z naszej uroczystości, a w *Dzienniku Zachodnim* zamieszczono notatkę i zdjęcie tablicy.

W Katowicach powstało miejsce, gdzie będziemy mogli zapalić znicze i zmówić modlitwę za naszych ojców i braci – ofiary ukraińskiego nacjonalizmu, komunizmu i hitleryzmu, a także za wszystkich naszych przodków, których groby pozostały na Wschodzie. Chcemy, aby było to miejsce modlitwy i refleksji historycznej dla wszystkich, a zwłaszcza dla młodzieży. □

I ktoś woła od wzniesienia
To Tatarzy, to Tatarzy
W mieście rozruch niewymowny
Pan starosta zamku strzeże
Kwarcianymi garstką małą
Zamkowe obsadza wieże
Więc na zamek wszyscy biegają
Księża, pany i mieszczany
Co przedniejsze mnóstwem gratów
W mieście nic nie pozostało
Krom narodu ubogiego
i ubogich Reformatorów
Kiedy trwoga to do Boga
Książd w kościele Reformatorów
Lud pobożny krzyżem leży
Ojciec Gwardian msze odprawiał
Przeżegnał i pobłogosławił
I z krzyżem z kościoła bieży
Pan Bóg z nami za mną wiarą!
Co pod ręką? czy szablica
Czy samopał, czy rudnica
Choćby jeno i kół z płota
Wszystko dobre na Tatarów
Byle męstwo i ochota.
Wysypała się hołota
Jednym rzutem pod Pnikutem
Wpakowała go w parowy
Tam to bili Chryste Panie
Krew zgnoila pola puste
Żaden nie mógł unieść głowy
Tatarzyna poganina
Het wysiekli na kapustę
Samego wzięli chana
A chan wołał: hej Polaku
Pokaż mi twego hetmana
Poganińskie płaskonosy
Ot, nasz hetman tamten bosy
Wytrzeszcz ślepie nieboraku
A chan z brody targał włosy
Że go pobił hetman bosy



Poświęcenie Tablicy upamiętniającej pomordowanych Polaków na Wschodzie

Znamieną dla Pnikuta datą był rok 1849, kiedy to zarządzający kościołem ks. Jan Jakubowski uwolnił chłopów od pańszczyzny.

W roku 1877 proboszczem zostaje ks. Leon Świtalski, który około roku 1901 tak scharakteryzował ludność Pnikuta:

„... była od wieków rdzennie polską w przeważającej części, świadczy o tem, że już w roku 1385, a więc przeszło 6 wieków był kościół, plebania i pleban polski, co w tak zapadłej, od świata odległej, a do tego niedostępnej wiosce byłoby niemożliwym, gdyby Polacy przeważali nie mieli. O cerkwi w Pnikucie nigdzie nie ma mowy. Świadczy po wtóre to, że w najstarszych metrykach kościelnych są polskie nazwiska ludzi, którzy do dziś dnia w Pnikucie mieszkają i są Polakami. Najstarsi z tych są: Lech, Czop, Mazur, Zarański, Pietraka, Skrabka i inni. Wskutek wielokrotnego zdziesiątkowania ludności przez Tatarów i Kozaków pojawiły się nazwiska tatarskie np. Ferenc, Krutij, Pindyk oraz kozackie – samych Doroszków było ze 30 rodzin. Kapituła przemyska sprowadziła sobie „mazurów” spod Nowego Sącza i dziś mamy: Głogowskich, Paprockich, Kosowskich, Mazurów. Ponieważ ci mazurzy fizycznie, moralnie i materialnie stali daleko wyżej od tuziemców, przeto ci ostatni przejęli od mazurów zwyczaje i obyczaje, a nosili mazurskie buty, także pracowici i zapobiegliwi tak, że cała wieś jako oaza wśród Rusinów stała się czysto mazurską. Dzisiaj spytaj się okolicznego chłopca kto idzie, gdy tenże jest z Pnikuta, powie bez namysłu i zastanowienia, to mazur z Pnikuta.”

Ks. Leon Świtalski w dniu 25 października 1905 r. kończąc kronikę Pnikuta napisał:

„Napisałem dzieje kościoła i parafii Pnikut, może by je można wydrukować we wychodzącej teraz „Kronice Przemyskiej”, a pisałem dlatego aby zachować dla potomstwa cenne pamiątki naszego polskiego katolickiego kościoła i zachęcić innych proboszczów, osobliwie na Rusi mających parafie polskie do pisania podobnych, aby dowieść Rusinom, którzy nam ubliżają w oczy, że my tu intruzi, iż kłamstwem to jest, bo od wieków i to dalekich my tu Polacy zamieszkali, od wieków mamy tu kościoły i parafie polskie.”

I wojna światowa spowodowała ogromne straty i zniszczenia Pnikuta. Twierdza Przemysł dobrze ufortyfikowana była zaciekle broniona przez wojska austro-węgierskie przed Rosjanami. Front kilkakrotnie przechodził przez Pnikut, rozebrano i spalono wiele gospodarstw, a cały teren był zryty okopami i rowami. Po zakończeniu działań wojennych wkrótce wybucha na tych terenach kolejna wojna polsko-ukraińska w latach 1919-1920. Niektórzy mieszkańcy Pnikuta byli więzieni przez Ukraińców, do czego przyczynili się Ukraińcy z sąsiednich wiosek. Pnikuczanie biorą czynny udział w działaniach wojennych, służąc głównie w wojsku austriackim. Po powstaniu oddziałów polskich blisko 20-osobowa grupa pnikuczan służyła w Legionach, a do szczególnie zasłużonych legionistów należeli: Walenty Miśniak odznaczony m.in. orderem Virtuti Militari oraz wielokrotnie odznaczony w I wojnie światowej wachmistrz kawalerii Władysław Dorosz. Wielu pnikuczan służyło także w Armii Hallera.

W okresie międzywojennym wioską rządili kolejno wójtowie: Leon Lech (przez rok więziony przez Ukraińców), Michał Paprocki i Ludwik Czop (za jego kadencji wybudowano nowoczesną mleczarnię oraz Dom Ludowy), a następnie Władysław Dorosz i Wawrzyniec Gła-

dysz. Około 1930 r. w Pnikucie powstała Gmina Zbiorowa, a jej wójtrem został wspomniany już legionista Walenty Miśniak.

Rozwój szkolnictwa w Pnikucie nastąpił już w latach 80-tych XIX w., a pierwszą szkołę wraz z mieszkaniem dla nauczyciela wybudowali chłopci własnymi rękami. Pierwszym kierownikiem szkoły czteroklasowej był Jan Filip wraz z żoną Zofią, a później szkoła została rozbudowana i przekształcona w siedmioklasową przez Kazimierza Kwiatkowskiego. Po zajęciu Pnikuta przez armię sowiecką (1944 r.) polska szkoła w Pnikucie przestała istnieć, a dzieci polskie uczono w języku ukraińskim i rosyjskim. Język polski był wykładany raz w tygodniu i tylko przez jeden rok. Od 1945 r. języka polskiego nie uczono wcale.

Oprócz szkoły do końca II wojny światowej siostry zakonne prowadziły ochronkę, do której uczęszczały dzieci w wieku przedszkolnym, młodzież, organizowano kursy i odczyty w zakresie wiedzy rolniczej i obywatelskiej. Szczególnie duży nacisk kładziono na wychowanie patriotyczne. Już pod zaborem austriackim powstała organizacja „Sokół” skupiająca młodzież i dorosłych w zespółach: teatralnym, muzycznym, recytatorskim i chóralnym. Komendantem „Sokoła” zostaje Feliks Świtalski, a aktywnymi działaczami Andrzej Lech (mój dziadek – zginął w Rosji podczas I wojny światowej), Stanisław Żółkiewicz, Antoni Czerniec, Ludwik Czop, Michał Lichwa.

Około 1910 r. wybudowano w Pnikucie okazały, murowany budynek „Sokolnicę”, zniszczony podczas I wojny światowej. Toteż po zakończeniu wojny polsko-ukraińskiej wieś mobilizuje się do budowy Domu Ludowego, a głównym inicjatorem był wójt Ludwik Czop. Poświęcenie Domu Ludowego odbyło się w ostatnią niedzielę maja 1927 r. w niezwykle podniosłej atmosferze, gdyż z udziałem Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej Macieja Rataja. Marszałka wieziono ze stacji kolejowej w Mościskach wozem drabiniastym przystrojonym zieleńią, eskortowanym banderą konną chłopów pnikuckich w strojach ludowych. Na otwarcie teatr amatorski przygotował sztukę „Krakowiacy i Górale”. Zespoły pnikuckie wielokrotnie wygrywały konkursy powiatowe. W Pnikucie działała biblioteka, którą prowadził mój wuj Kazimierz Lech.

Po I wojnie światowej patriotyczne tradycje „Sokoła” przejął Związek Strzelecki.

We wsi organizuje się Kasa Stefczyka umożliwiając chłopom wyzwolenie się spod presji lichwiarzy. Inicjatorem Kasy Stefczyka byli: Wawrzyniec Głogowski (mój dziadek), Stanisław Kosowski, Michał Paprocki, Władysław Dorosz, Mikołaj Dorosz, Kazimierz Lech, Józef Żółkiewicz, Mateusz Zdziobek.

Ponadto we wsi założono: Kółko Rolnicze, Ochotniczą Straż Pożarną, Akcję Katolicką, a także BBWR.

Najliczniejszą organizacją społeczno-polityczną było w tym okresie Stronnictwo Ludowe, które w drugiej połowie lat trzydziestych organizowało wiece, manifestacje i strajki.

W 1928 r. powstała prężna organizacja młodzieżowa „Wici”, jej prezesem zostaje Kazimierz Lech, a ilość członków przekracza 100 osób. Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici” staje się głównym motorem postępu i wielu inicjatyw w zakresie kultury, oświaty, równouprawnienia i manifestacji patriotycznych.

We wsi istniały w tym czasie: 2 młyny wodne, 1 olejarnia, 3 warsztaty tkackie, kuźnie, szewcy, kraw-

cy, rymarze, kołodzieje, powroźnik, fryzjerzy, stolarze, cieśle, murarze, blacharze i studniarz. Funkcjonowała nowoczesna mleczarnia oraz cegielnia.

Wskutek kryzysu ekonomicznego (1930/31) najbiedniejsze rodziny lub osoby wyjeżdżały na roboty sezonowe (saksy) do Niemiec, Danii i Łotwy. Jednocześnie wyjeżdżali na stałe do Francji i Stanów Zjednoczonych, łącznie wyemigrowało przed II wojną światową około 86 osób.

W lipcu 1936 r. ludowcy z Pnikuta biorą udział w wielkiej manifestacji politycznej w Nowosielskach z udziałem Marszałka Polski Rydza-Śmigłego.

W sierpniu 1937 r. Pnikut przystępuje do 10-dniowego wielkiego strajku chłopskiego. Pomimo spokojnej i rzetelnej realizacji zaleceń strajkowych w trzecim dniu strajku dochodzi do interwencji policji, następuje demowanie gospodarstw i aresztowania około 50 osób. Po kilku tygodniach większość aresztowanych wypuszczono, a zatrzymano: Franciszka Lecha, Michała Kosowskiego i Szymona Czuryłę – groziła im Bereza Kartuska, lecz po wielu staraniach w kilka miesięcy później wrócili oni do wsi z lwowskiego więzienia.

II wojna światowa w Pnikucie

Po wybuchu wojny w 1939 r. zdolni do służby wojskowej mieszkańcy Pnikuta nie czekając na mobilizację zgłaszają się do swoich jednostek. Około 15 września Niemcy wkraczają do Pnikuta. Na mocy zawartego 23 sierpnia 1939 r. tajnego układu Ribbentrop-Mołotow armia sowiecka już 20 września staje pod Lwowem, a Lwów nadal skutecznie broni się przed Niemcami. Rosjanie wzywają wojsko polskie do złożenia broni, obiecując za to wolny przemarsz do Rumunii. 20 września Lwów złożył broń Rosjanom, którzy umowy nie dotrzymali internując oficerów i żołnierzy.

27 września w Moskwie ustalono granicę „na Bugu i Sanie” jako „ostatyczną granicę między Związkiem Radzieckim a Niemcami”. Niemcy wycofują się do Przemysła, następuje okupacja tzw. „pierwszych Sowietów”.

W tym czasie grupa operacyjna gen. Władysława Andersa po walkach z Niemcami w rejonie Zamościa i Tomaszowa przedziera się na południe do granicy węgierskiej. Idąc na południe oddział dowodzony przez samego generała przedziera się korytarzem między Niemcami i Rosjanami. Oddział ten zatrzymuje się na nocleg w Pnikucie, a gen. Wł. Anders nocuje w domu Jakuba Dorosza. Po krótkim odpoczynku pnikuczanin Andrzej Głogowski wyprowadza lasami oddział gen. Andersa w kierunku granicy węgierskiej. Niestety, przekroczenie granicy się nie udaje, gdyż w miejscowości Turka (za Samborem) grupa zostaje zaatakowana przez Rosjan, a ciężko ranny generał dostaje się 29 września 1939 r. do niewoli sowieckiej.

Ten okres władzy sowieckiej w Pnikucie (do 22 czerwca 1941 r.) charakteryzuje się życiem w ciągłym strachu i niepewności. Żydzi i ukraińscy nacjonaliści denuncjują polskich patriotów przed Rosjanami, następują aresztowania i deportacje rodzin w głąb Związku Radzieckiego. W 1940 r. do Armii Radzieckiej wcielono cztery roczniki mężczyzn od 1918 do 1921 r.

Próby powstania organizacji wojskowej w ramach ruchu ludowego zostały stłumione (członków aresztowano, a rodziny deportowano).

Po napaści Niemiec na Związek Radziecki (czerwiec 1941 r.) w Pnikucie przystąpiono do odbudowy struktur organizacyjnych „Rocha” i Straży Chłopskiej, co było zalążkiem Batalionów Chłopskich.

Komendantem obwodu BCh w Pnikucie zostaje Kazimierz Lech. Z chwilą wkroczenia armii hitlerowskiej na wschodnie ziemie polskie część ludności ukraińskiej poszła na współpracę z okupantem. Ludność polska znów żyła w ciągłym zagrożeniu. Organizujące się brygady UPA zmuszają pnikuczan do zorganizowania samoobrony wsi przed banderowcami.

Ludność buduje zamaskowane schrony podziemne, do których podczas alarmu chronią się kobiety i dzieci. Mężczyźni uzbrojeni częściowo w broń palną (przechowywaną od 1939 r.), a także w widły i kosy podążali na punkty zbiórki. Straże pełnione przez chłopów powiadamiały dyżurującego dzwonnika i alarm był oznajmiany biciem dzwonu w kościele. Łączność z Lwowem utrzymywana była przez przyjeżdżającego do Pnikuta studenta ps. „Manio”, który podrabiał niezbędne dokumenty niemieckie (kennkarty) oraz przygotowywał warunki do przyjęcia zrzutów broni i amunicji przez Anglików. Podczas próby odwiedzin swojej matki we Lwowie „Manio” zostaje zamordowany przez Ukraińców.

Kolejny łącznik ze Lwowa podobnie jak poprzedni zatrzymuje się w domu Władysława Żółkiewicza. Zimą 1943 r. dochodzi do pierwszego udanego zrzutu – angielski samolot „Liberator” w wyznaczonym miejscu dokonuje zrzutu na spadochronach 24 skrzyń z bronią i amunicją. Zimą 1943/44 do Pnikuta przybywa około 300 partyzantów AK, nocują we wsi, a po ociepleniu w lesie.

W 1943 r. banderowcy we wsi Ładpol dopuszczają się mordu na rodzinie Szajerów (zginął Antoni Szajer z żoną, synem i córką, druga córka zostaje ciężko ranna). W odwecie za ten mord pnikuczanie zorganizowali akcję we wsi Krukienice, gdzie spalili 7 gospodarstw osób podejrzanych w tym mordzie i sprawdzonych sympatyków UPA, przy czym ofiar w ludziach nie było. Bandy UPA widząc zorganizowanie Pnikuta nie odważyły się zaatakować wioski, a późniejsza obecność partyzantki AK całkowicie udaremniła taką ewentualność.

W lipcu 1944 r. przed wkroczeniem na te tereny armii sowieckiej partyzanci z AK oraz pnikucki oddział BCh postanawiają udać się do Mościsk, aby tam spotkać armię sowiecką. Około 1000 partyzantów przemaszerowało w biały dzień przez Pnikut w pełnym uzbrojeniu strzelając na wiat, a ludność wioski stojąc przy drodze kwiatami żegnała swych obrońców. W drodze do Mościsk we wsi Pakość Ukraińcy utworzyli ogień do maszerującego oddziału (źródło ognia natychmiast zlikwidowano). Z Mościsk usiłowano nawiązać kontakt z nadciągającą armią sowiecką, lecz wysłani łącznicy nie powrócili. W trudnej sytuacji oddział AK postanawia przedzierać się w kierunku Warszawy. Komendant obwodu Kazimierz Lech zarządza zbiórkę i rozwiązuje oddział. Młodzi żołnierze BCh zostają oddelegowani pod rozkazy AK, a starsi wracają do Pnikuta, by jeszcze kilka lat po wojnie utrzymać gotowość do obrony przed Ukraińcami.

Po zajęciu tych terenów przez armię sowiecką w sierpniu 1944 r. wszyscy mężczyźni roczników 1908-1927 zostają powołani do Ludowego Wojska Polskiego w szeregach I i II Armii. W styczniu 1945 r. odbył się drugi pobór do II Armii WP, a wielu z nich walczyło pod Kołobrzegiem i Budziszynem.

Ci pnikuczanie, którzy przeżyli wywózkę na Syberię walczyli u boku gen. Wł. Andersa pod Monte Cassino i w innych bitwach na Zachodzie.

Bilans II wojny światowej to ponad 40 zabitych, 27 aresztowanych przez Gestapo, 86 wywiezionych na

przymusowe roboty do Niemiec. Po zakończeniu wojny większość wróciła do Pnikuta, część osiedliła się na Ziemiach Odzyskanych, a reszta pozostała na Zachodzie.

Po II wojnie światowej Pnikut znalazł się po stronie Związku Radzieckiego. Wielu skorzystało z możliwości wyjazdu do Polski w latach 1945/46 i otrzymało częściowo rekompensatę za pozostawione mienie. Ci co pozostali w Pnikucie przez wiele lat z nadzieją oczekiwali na przesunięcie granicy. Niestety ludzie ci przeszli przez koszmar życia w warunkach kolchozowych, kiedy utracili dorobek swych ojców i dziadów, gdyż odebrano im jedyne źródło utrzymania, to jest ziemię, w zamian oferując pracę za głodowe wynagrodzenie. Wielu zmuszonych było do kradzieży nocą z własnych niegdyś pól, gdy za worek ziemniaków czy buraków narażali siebie i rodzinę na sąd z wywózką włącznie.

Stąd też podczas drugiej tury repatriacji w latach 1956/58 z Pnikuta wyjechało wiele rodzin, ale dla tych w Polsce rekompensat nie było. Ogółem wyjechało z Pnikuta ponad 400 polskich rodzin. Do największych skupisk pnikutczyków należą: Przemyśl i okolice, Gliwice, Tychy, Głuszyca. Około 100 polskich rodzin nadal mieszka w Pnikucie.

Źródłem starszych informacji o historii Pnikuta była „Kronika Pnikuta” spisana w październiku 1905 r. przez ks. Leona Świtalskiego i odpisana z oryginału przez Zdzisława Dorosza w sierpniu 1986 r.

Dzieje Pnikuta w okresie 1914-1945 pochodzą z monografii spisanej w Przemyślu we wrześniu 1986 r. opartej na opracowaniu Franciszka Dorosza i wspomnieniach m.in. Władysława Żółkiewicza i jego siostry Józefy, Jana Gładysza, Władysława Wiacka i Sylwestra Pawłowskiego.

Z inicjatywy działaczy kresowych: Stanisława Żółkiewicza zamieszkałego w Przemyślu oraz Kazimierza Głogowskiej-Gosz zamieszkałej w Tychach, doszło do spotkania wszystkich pokoleń pnikutczyków w ramach I Zjazdu Pnikuczan w Przemyślu w dniach 19-21 września 1986 r.

Była to wspaniała i niepowtarzalna uroczystość, podczas której spotkali się pnikutczanie, którzy niegdyś byli sąsiadami, a nie widzieli się nawet 46 lat. Do dnia dzisiejszego istnieje taki piękny zwyczaj, że gdy umiera ktoś z pnikutczyków – na jego pogrzeb jadą wszyscy niezależnie od stopnia pokrewieństwa.

Pomimo upływu tylu lat pnikutczanie, niezależnie od miejsca zamieszkania, stanowią jedną wielką rodzinę.

Podczas I Zjazdu Pnikuczan w Przemyślu we wrześniu 1986 r. gościliśmy naszego ukochanego proboszcza, którego w 1946 r. siłą zmuszono do wyjazdu do Polski – późniejszego arcybiskupa tarnowskiego Jerzego Ablewicza.

Nieco później 4 czerwca 1988 r. arcybiskup Jerzy Ablewicz gościł w Tychach biorąc udział w poświęceniu



I Zjazd Pnikuczan w Przemyślu 19-21 września 1986 r.
Pierwszy od lewej Stanisław Żółkiewicz – organizator

kamienia węgielnego pod budowę nowego kościoła pw. Bł. Karoliny.

Na życzenie licznej grupy pnikutczyków zamieszkałych w Tychach i w Gliwicach zorganizowano specjalne spotkanie, które odbyło się w kościele tuskim pw. Ducha Świętego.

Oto słowa, jakimi witaliśmy naszego ukochanego pasterza:

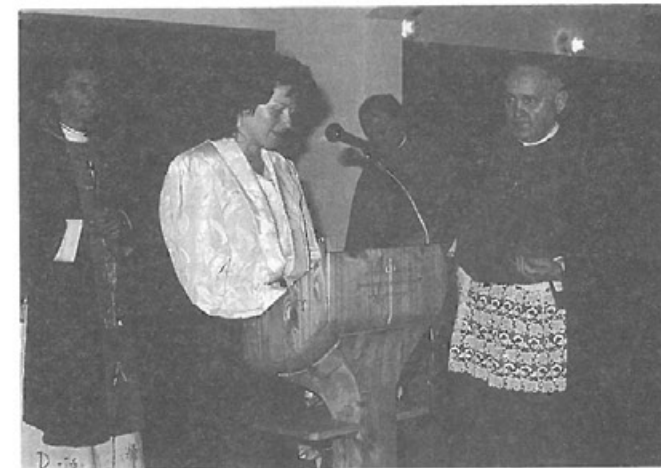
„Wielebny i drogi Arcypasterzu!

W imieniu grupy byłych parafian Pnikuta zamieszkałych obecnie w Tychach i okolicy, pragniemy jak najserdeczniej przywitać Waszą Ekscelencję.

Do powitania dołączają się przybyli na dzisiejszą uroczystość mieszkańcy byłego dekanatu Mościska, jak również przedstawiciele dalszych zakątków ziemi lwowskiej i kresów wschodnich. Dziękujemy z głębi serca za udział w tak wzniosłym, niecodziennym i niepowtarzalnym spotkaniu.

W imieniu pokolenia naszych ojców, a byłych parafian Waszej Ekscelencji, jak również w imieniu młodego pokolenia Pnikuczan urodzonych po obydwu stronach granicy raz jeszcze dziękujemy za trud duszpasterskiej pracy, która nie poszła na marne.

Dowodem naszej bezgranicznej wdzięczności był przed 2 laty niezapomniany I Zjazd Pnikuczan w Przemyślu, którego data przypadła w 40 rocznicę naszej przymusowej bolesnej rozłąki. Ale nasze więzi z Waszą Ekscelencją okazały się niezniszczalne nawet w wyniku upływu tych dziesiątków lat. W pamięci naszych ojców i w sercu młodego pokolenia na zawsze pozostanie historyczny obraz pożegnania osieroconej parafii w Pnikucie, kiedy to w 1946 r. młodzieńki proboszcz ks. Jerzy Ablewicz zmuszony został do opuszczenia swych owieczek. Kto żył tego dnia wyszedł pożegnać na wiele dziesiątek lat ostatniego stacjonarnego proboszcza parafii, żegnając go łzami i żalosnym lecz bezlitosnym biciem dzwonów pnikutckiego kościoła. W dniu tym głęboki smutek ogarnął setki, tysiące katolików zamieszkujących pozostałe wioski dekanatu mościckiego, których nazwy przypominę przybyłym na dzisiejszą uroczystość. Poza Mościskami i Pnikutem w skład byłego



Spotkanie Pnikuczan z arcybiskupem Jerzym Ablewiczem w Tychach 4 czerwca 1988 r.
Od lewej: ks. Franciszek Resiak – proboszcz parafii Ducha Świętego, Kazimiera Głogowska-Gosz, arcybiskup Jerzy Ablewicz

dekanatu wchodziły: Trzciniec, Husaków, Radenice, Radochońce, Miżyniec, Myślatycze, Balice, Lipniki, Krukienice, Tamanowice i Strzelczyska i... Dziś, po 42 latach, mamy szczęście powitać ponownie drogiego Arcypasterza, tym razem na ziemi śląskiej sercami i kwiatami, nie zapominając, że gdziekolwiek rzuci nas los, pozostaniemy zawsze wierni Kościołowi i ułotowanej ojczyźnie naszej – Polsce. Zgromadzeni dziś w tej przepięknej świątyni, za wstawiennictwem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy łaskami słynącej w klasztorze mościckim oraz Ducha Świętego i bł. Karoliny będziemy się modlić, aby już nigdy na polskiej ziemi żadna parafia nie musiała na zawsze żegnać swego duszpasterza. Nasze myśli i serca biegną jak zwykle setki razy do gotyckiego kościoła w Pnikucie, życząc pozostałym tam rodakom odzyskania swobód religijnych.

Korzystając z dzisiejszej niezwyklej okoliczności pragnę na ręce księdza ordynariusza katowickiego Damiana Zimonia złożyć w imieniu wszystkich przybyłych tu przed laty rodzin serdeczne podziękowanie za przyjęcie nas, opiekę i wieloletni trud duszpasterski włożony na terenie miasta Tychy. Tak wiele chcielibyśmy wszyscy powiedzieć naszemu najmilszemu Arcypasterzowi, ale czas nie pozwala, aby wypowiedzieli się wszyscy. Modlić będziemy się również za tych spośród nas, którzy nie doczekali tego serdecznego spotkania i spoczywają na licznych cmentarzach tuskich i śląskich.

Na zakończenie pragniemy życzyć Waszej Ekscelencji wielu wspaniałych dni i lat, aby Bóg wszechmogący nie szczędził łask i zdrowia, pozwalając nadal tak ofiarnie prowadzić powierzony lud boży. Nie chcemy żegnać się z Waszą Ekscelencją na długo, marzymy o wielu jeszcze wspólnych spotkaniach, dlatego kierujemy pod adresem wszystkich tu zgromadzonych proste słowa tak wielokrotnie wypowiedziane w Pnikucie: „Daj Boże szczęście”... bo tylko spełnienie tego życzenia może w obecnych, niełatwych czasach stać się fundamentem autentycznej odnowy w szeregach solidarnie współpracujących Polaków ze wschodu i zachodu, z północy i południa. Ufamy, że pod przewodnictwem tak wspaniałych arcybiskupów i pasterzy nie zbłądzimy z raz obranej drogi. Nie zmienimy naszych tradycji i dążeń i dolożymy wszelkich starań, aby w tym samym duchu wzrastały następne pokolenia.

Do zobaczenia ukochany Arcypasterzu! Pnikuczanie są z Waszą Ekscelencją zawsze: wspomnieniami, myślami i nadziejami na lepszą przyszłość.

Szczęść Boże”

Od I Zjazdu Pnikuczan minęło 18 lat, a lata te przeżyły szeregi jego uczestników. Pojawiały się kolejne mogiły w różnych miejscowościach, gdyż jak Polska długa i szeroka, wszędzie osiedlili się ludzie z opisanej wioski. Od Przemyśla i Rzeszowa, poprzez Kraków, Zakopane, Maków Podhalański, cały Górny i Dolny Śląsk (Gliwice, Bytom, Zabrze, Pyskowice, Tychy, Żywiec, Wrocław, Kłodzko, Polanice, Wałbrzych, Głuszyce i Warszawę.

Na północy są pnikutczanie nie tylko w Gdańsku, ale nawet na Helu oraz na wyspie Wolin.

Na wschód od Torunia między Kowalewem a Gołubiem-Dobrzyniem leży wioska Ostrowite, a wokół kościółka znajduje się cmentarz. Połowa grobów sięga korzeniami Pnikuta – bo obok Paprockich, Skwirzyńskich, Mazurów leżą tam wspomniani wcześniej działacze i patrioci: Ludwik Czop i Ludwik Zarański. Przytoczyłam tu jedynie wybrane przykłady.

Każda rodzina ma swoją własną historię, toteż gorąco apeluję, aby spisać ważniejsze rodzinne wydarzenia, zarówno smutne jak i wesole, gdyż jest to jedyna metoda ocalenia od zapomnienia i jednocześnie wzbogacenia tradycji i dorobku tych, którzy urodzili się w II połowie XX w. oraz tych, którzy będą następcami i spadkobiercami.

Jestem szczęśliwa, że od lat istnieje to wspaniałe czasopismo „Semper Fidelis”, za co pragnę podziękować zarówno jego założycielom, jak i wszystkim, którzy przyczyniają się do jego istnienia.

Korzystając z kontaktu na łamach „Semper Fidelis” z szerokim gronem czytelników, proszę o:

1) Utrwalenie i gromadzenie własnych oraz usłyszanych wspomnień i przeżyć, gdyż jest to częścią historii narodu polskiego.

2) Pragnę w najbliższej przyszłości opisać okoliczności tworzenia po wojnie kolchozów oraz warunki życia wówczas panujące. Ponieważ jestem za młoda, aby to wszystko pamiętać, gorąco proszę o przysyłanie wszelkich pamiątek (fotografii, opisów bądź ustnych relacji) dotyczących tej tematyki, gdyż jest to okres godny utrwalenia.

3) O ile „Semper Fidelis” dociera za ocean, to chciałabym odnaleźć potomków siostr mojego dziadka, Zofii Czerniec z domu Lech oraz Heleny Loster z domu Lech – wiem, że Zofia mieszkała w Nowym Jorku i żyła jeszcze po naszym przyjeździe do Polski, czyli po 1958 r.

Ponadto poszukuję rodziny z Buenos Aires, gdzie mieszkał po wojnie mój wuj Wacław Lech (ur. ok. 1909 r.), a jego żona była prawdopodobnie Hiszpanką.

Dla ułatwienia załączam fotografię, która w latach sześćdziesiątych okrężną drogą dotarła do Polski, a gdzie mój wuj Wacław... stoi pośrodku w jasnym kapeluszu. Obok w ciemnym kapeluszu stoi pan Jan Kuśnier, który przed laty mieszkał pod adresem: BUENOS AIRES Avellanola, Ave. Gr. Roca 2041 i mieszkał w pobliżu wuja Wacława Lecha.

W 2005 r. planujemy organizację II Zjazdu Pnikuczan w Przemyślu, który odbędzie się w dniach 13-15 sierpnia. W zjeździe będą mogli uczestniczyć pnikutczanie zza wschodniej granicy, gdyż jest to okres przebywania



Fotografia pochodzi z Buenos Aires (około 1960 r.). Pośrodku w jasnym kapeluszu stoi Wacław Lech (syn Marii i Andrzeja) urodzony w Pnikucie około 1909 r.

licznych grup pielgrzymów na naszą Kalwarię Paclawską. Na czele pielgrzymki z Pnikuta stoi już tradycyjnie ks. proboszcz Stanisław Węgrzyński, z którym jesteśmy w stałym kontakcie.

W dniu 15 sierpnia 2004 r. przekazaliśmy skromne dary dla naszego kościoła pw. św. Mikołaja w Pnikucie zakupione za dobrowolne ofiary pnikuczan mieszkających w Polsce.

Serdecznie zapraszamy wszystkich przejeżdżających drogą z Mościsk do Sambora, zarówno osoby indywidualne, jak i grupy liczniejsze (autokary) o zatrzymanie się przed gotyckim kościołem tuż przy drodze w Pnikucie, zwiedzenie jego zadbanego wnętrza bez względu, czy będzie to dniem czy nocą. Ks. proboszcz Stanisław Węgrzyński jest zawsze gotów do przyjęcia miłych gości.

Dziękując za przeczytanie artykułu podajemy numery telefoniczne, pod którymi można uzyskać dodatkowe informacje o Pnikucie oraz o II Zjeździe Pnikuczan:

- 1) Stanisław Żółkiewicz – Przemyśl (016) 6707223
 - 2) Kazimiera Głogowska – Tychy (032) 2274184
- Do zobaczenia na Kalwarii Paclawskiej! □

Piotr Franków

KRESOVIANA 2005 w Gorzowie Wielkopolskim

Po raz trzynasty – w dniach 7-8 maja 2005 r. – Gorzowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich był organizatorem Spotkań Wykonawców Piosenki Kresowej „Kresoviana”.

Patronat Honorowy nad tegorocznym konkursem objął **Janusz Gramza** – Wojewoda Lubuski, równocześnie fundator głównych nagród.

Występy artystyczne odbywały się w Miejskim Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp. przy ul. Drzymały 26.

W tegorocznym festiwalu wzięło udział 46 wykonawców: solistów, duetów, tercetów, zespołów śpiewaczych, zespołów wokalo-instrumentalnych i chórów; łącznie uczestniczyło 476 osób, co stanowi rekordową liczbę w historii gorzowskich spotkań z piosenką kresową.

Otwierając imprezę **Piotr Franków** – Prezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW powitał serdecznie:

– gości honorowych: **Bogusława Andrzejczaka** – Wicemarszałka Województwa Lubuskiego, **Grażynę Wojciechowską** – Wiceprzewodniczącą Rady Miasta Gorzowa Wlkp., **Józefa Żarskiego** – Starostę Powiatu Gorzowskiego, **Romana Bukartyka** – Przewodniczącą Komisji Edukacji, Kultury i Sportu Rady Miasta, **Ewę Hornik** – Dyrektora Miejskiego Centrum Kultury, przedstawicieli Wojewody Lubuskiego i Wydziału Kultury Urzędu Miasta;

– przedstawicieli organizacji związanych z Kresami Wschodnimi: **Zdzisława Czubakowskiego** – Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, **Janusza Popławskiego** – Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, **Kazimierza Suproniuka** – Towarzystwo Miłośników Polesia, **Kazimierza Tumiłowicza** – Związek Sybiraków, **Jana Kaczanowskiego** – byłego Przewodniczącą Rady Miasta, naszego wieloletniego sympatyka;

– przedstawicieli gorzowskich mediów – prasy, radia i telewizji, a także wszystkie przybyłe na konkurs zespoły.



„Kresoviana 2005”. Na scenie laureaci – zespół „CANZONA” z Gorzowa Wlkp. Od lewej: Mieczysław Świątek, Jadwiga Puchała, Kazimierz Cymbrykiewicz

Następnie Piotr Franków przedstawił zebranym decyzję Zarządu Głównego TMLiKPW z 19.04.2005 r. dotyczącą przyznania ZŁOTYCH ODZNAK TMLiKPW następującym osobom:

- **Lidii Przybyłowicz** – naczelnik Wydziału Kultury Urzędu Miasta Gorzowa Wlkp.,
- **Ewie Hornik** – Dyrektora Miejskiego Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp.,



„Kresoviana 2005”. Na scenie zespół wokalny z Gimnazjum nr 11 z Gorzowa Wlkp. z solistką Kasią Serbakowską (druga od strony prawej). Szkoła ta ubiega się o imię Orłat Lwowskich

– **Januszowi Winieckiemu** – Dyrektorowi Grodzkiego Domu Kultury w Gorzowie Wlkp.

za wieloletnie wspieranie finansowe i organizacyjne wszelkiej działalności Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW w sferze kultury, a w szczególności w przygotowaniu festiwali piosenki kresowej. Odznaki honorowe wręczył **Władysław Olszowy** – członek Zarządu Głównego i jednocześnie wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.

Po krótkiej części oficjalnej rozpoczęły się występy konkursowe zgłoszonych zespołów. Rozpoczął je chór o ustalonej już renomie – „Biały Orzeł” z Sulęcina.

Poszczególne zespoły prezentowały swój kunszt artystyczny w dwóch częściach z godzinną przerwą.

Reżyserem konkursu była **Władysława Staryszak** – wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.

Zespół konferansjerów z IV Liceum Ogólnokształcącego – **Elwira Bednarczyk, Ewelina Janczylik, Mateusz Feder** oraz **Piotr Michalski** z Klubu „Jedynka” Grodzkiego Domu Kultury – sprawnie i profesjonalnie poprowadzili występy konkursowe.

Artystów oceniało Jury w składzie: **Anna Makowska-Cieleń** – przewodnicząca, **Leszek Bończuk** – sekretarz, **Czesław Ganda** i **Bogdan Zalewski** – członkowie.

Wśród prezentujących swój dorobek wykonawców większość reprezentowała województwo lubuskie, trzy zespoły pochodziły z województwa zachodniopomorskiego oraz jeden – z Dolnego Śląska.

Laureatami XIII edycji „KRESOVIANY 2005” zostali:

1. W kategorii chórów:
 - chór „ŁĘCZANIE” z Osna Lubuskiego (Puchar Wojewody Lubuskiego),
 - chór „BIAŁY ORZEŁ” z Sulęcina (Puchar Starosty Gorzowskiego).
2. W kategorii zespołów śpiewaczych:
 - Zespół śpiewaczy „JARZĘBINA” z Sieniawy Żarskiej (Puchar Regionu Gorzowskiego NSZZ „Solidarność”),
 - Zespół Folklorystyczny Ziemi Ścinawskiej ze Ścinawy – Dolny Śląsk (Puchar Towarzystwa Miłośników Polesia),
 - Zespół śpiewaczy „DRZEWICZANKI” z Kostrzyna n. O. (Nagroda Marszałka Województwa Lubuskiego – wieża DVD).
3. W kategorii małych form wokalnych i instrumentalnych:
 - Dorota Czernisz z zespołem kameralnym ze Szprotawy (Puchar Lubuskiego Kuratora Oświaty),
 - Duet: Simona Zebut i Marcin Bojski z Gimnazjum nr 1 w Szprotawie (Puchar Wojewody Lubuskiego).



„Kresoviana 2005”. Na scenie zespół taneczny „LWOWIACY” z Polskiej Średniej Szkoły nr 24 im. Marii Konopnickiej we Lwowie

- Duet: Maria Krynojewska i Michał Ciesielski z Zielonej Góry (Puchar Prezydenta Miasta Gorzowa Wlkp.),
- Tercet wokalny „CANZONA” w składzie: Jadwiga Puchała, Kazimierz Cymbrykiewicz, Mieczysław Świątek – z Gorzowa Wlkp. (Puchar Wojewody Lubuskiego),
- Bogusława Rogulska z zespołem „TA CZEMU NI” z Gorzowa Wlkp. (Nagroda Oddziału Wojewódzkiego Związku Sybiraków – rzeźba anioła).

Jury postanowiło nagrodzić instruktorów tegorocznej „KRESOVIANY 2005”: **Zbigniewa Chomickiego** z Sulęcina, **Tadeusza Pencaka** z Boleszkowic, **Włodzimierza Czernisza** ze Szprotawy, **Henryka Romanowskiego** z Olbrachtowa, **Jurija Tiepłowa** z Zielonej Góry, **Jana Piśko** z Kostrzyna n. O., **Danutę Major-Senszyn** z Osna Lubuskiego, **Franciszkę Darul** z Górek Noteckich, **Zofię Raubo** z Gorzowa Wlkp., **Mirosława Kościunikiewicza** z Krzeszyc, **Stanisława Węgrzyna** z Gorzowa Wlkp., **Hannę Bednarczyk** z Gorzowa Wlkp., **Alojzego Nowaka** z Gorzowa Wlkp., **Krzysztofa Sowę** z Lubczy, **Zbigniewa Bociana** z Gorzowa Wlkp., **Marię Francuz** ze Ścinawy, **Bernadetę Bębenek** z Zielonej Góry.

Ocena imprezy

Jury stwierdza, iż w tegorocznych XIII Regionalnych Spotkaniach Wykonawców Piosenki Kresowej wzięła udział rekordowa ilość uczestników, co oznacza, że piosenka kresowa jest ciągle żywa i popularna, a Kresy obecne w pamięci zarówno dorosłych, jak i młodzieży, co tym bardziej jest godne podkreślenia.

Poziom wykonawstwa utworów, aczkolwiek zróżnicowany, w wielu prezentacjach był wysoki. Cieszy doskonałość poziomu, zwłaszcza zespołów śpiewaczych oraz liczny udział zespołów szkolnych. Zwraca uwagę troska o walory estetyczne zespołów.

Jury sugeruje, aby w następnych edycjach poszczególne placówki reprezentowane były przez jeden zespół.

Specjalne podziękowania Jury składa organizatorom tegorocznej „KRESOVIANY 2005”: TMLiKPW Oddział w Gorzowie Wlkp. – za profesjonalne przygotowanie imprezy, MCK – za udostępnienie sali koncertowej z zapleczem, Wydziałowi Kultury UM – za finansowe wsparcie, jak również fundatorom nagród i sponsorom.

Fundatorami nagród i wyróżnień byli m.in.: Wojewoda Lubuski, Marszałek Województwa Lubuskiego, Rada Miasta Gorzowa Wlkp., Prezydent Gorzowa Wlkp., Lubuski Kurator Oświaty, Wydział Kultury Urzędu Miasta, Starosta Powiatu Gorzowskiego, Zarząd Regionu Gorzowskiego NSZZ „Solidarność”, Wojewódzki Ośrodek Metodyczny, Firma „Copyline”, Związek Sybiraków, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Zielonogórski Oddział TMLiKPW, Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Regionalne Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze, Towarzystwo Miłośników Polesia, Stanisław Dżumaga oraz organizator imprezy – Gorzowski Oddział TMLiKPW.

W drugim dniu „Kresoviany 2005” występy artystyczne rozpoczął Teatr Seniora „Maski i Twarze” z Klubu „Pogodna Jesień” z Gorzowa Wlkp. pod kierunkiem Jolanty Szeligi-Bujak – widowiskiem „Jak si bawić, to si bawić”.

Zaprezentowano piosenki, skecze i scenki sytuacyjne dawnej lwowskiej ulicy. Program zakończono wykonaną przy zapalonych zniczach piękną patriotyczną pieśnią ku czci Orląt Lwowskich, nawiązującą do bohaterów późniejszych lat – harcerzy Szarych Szeregów z Powstania Warszawskiego.

Wypełniona widzami sala Miejskiego Centrum Kultury nagrodziła zespół teatralny gromkimi oklaskami.

W następnej kolejności wystąpił dziecięcy zespół mandolinowy „Plektron” z zespołem wokalnym „Śpiewająca Gromada” z Klubu „Jedynka” Grodzkiego Domu Kultury oraz solistką **Justyną Winnicką** ze Szkoły Podstawowej nr 15 w Gorzowie Wlkp. pod kierownictwem Hanny Bednarczyk. Te najmłodsze wiekowo zespoły i 7-letnia Justynka zebrały za swój występ zasłużone brawa. Szczególnie spodobała się pieśń *Orlątko* w wykonaniu najmłodszej solistki.

Po gorzowskich zespołach scena została opanowana przez naszych gości ze Lwowa: kapelę „Lwowska Fala” pod kierunkiem Edwarda Sosulskiego i zespół taneczny „Lwowiaczy” z Polskiej Szkoły Średniej nr 24 im. Marii Konopnickiej. Znana już w Gorzowie Wlkp.

Kapela Edwarda Sosulskiego zaprezentowała piękny program, rozpoczynając występy od pieśni *W dzień deszczowy i ponury...*, następnie śpiewano o bohaterskiej walce Orląt o polskość Lwowa.

Drugą część ich występów stanowił program „lekki i przyjemny”, jak podkreślił lider zespołu. Śpiewano znane przedwojenne, batorskie szlagiery związane z zabawą lwowskiej ulicy, przypomniano pieśni Tońka i Szczepka z „Wesołej Lwowskiej Fali” Polskiego Radia Lwów.

W programie „Lwowskiej Fali” Edwarda Sosulskiego wystąpił także młodzieżowy zespół taneczny „Lwowiaczy”, którego występy nagradzane były również długotrwałymi brawami.

Za piękne występy gościom ze Lwowa podziękował Piotr Franków – Prezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW, przekazując młodzieży z Polskiej Szkoły Średniej nr 24 im. Marii Konopnickiej zestaw kaset edukacyjnych – dar Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Gorzowie Wlkp.

Podziękowania za piękne występy złożyli także: Zdzisław Czubakowski – Prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” oraz Władysław Olszowy, który w imieniu TMLiKPW oraz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” otoczył gości ojcowską opieką podczas ich pobytu w Gorzowie Wlkp. i w miastach ościennych.

Lwowskie zespoły mogły przybyć do Gorzowa Wlkp. dzięki Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska”, które pokryło koszty ich przejazdu i pobytu w Gorzowie. Lwowianie wystąpili ponadto w Gminnym Ośrodku Kultury w Kłodawie (6 maja), w Domach Kultury w Myśliborzu i Dębnie (7 maja) na uroczystościach poświęconych 60 rocznicy zakończenia II wojny światowej.

Podczas „Kresoviany” gorzowska restauracja kresowa „Ajsza” uruchomiła na terenie Miejskiego Centrum Kultury stoisko, gdzie serwowano dania kuchni kresowej, cieszące się dużym uznaniem.

Gorzowski Oddział TMLiKPW jako organizator „Kresoviany 2005” miał wsparcie wieloletnich przyjaciół z Rady Miasta, Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego, Miejskiego Centrum Kultury, Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego i Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Gorzowie Wlkp. □

Henryk Mitraszewski

Spotkanie z Piosenką Lwowską i Kresową w Jeleniej Górze

Spotkanie z Piosenką Lwowską i Kresową to tradycyjna impreza majowa, mająca już swoje stałe miejsce w życiu kulturalnym Jeleniej Góry. Po raz dziewiąty Osiedlowy Dom Kultury na Zabobrze, pod kierownictwem Jarosława Gromadzkiego, zorganizował tegoroczny koncert. Współorganizatorami był Urząd Miasta i tutejszy Oddział TMLiKPW.

Koncert odbył się 15.05.br. w Teatrze Zdrojowym usytuowanym w przepięknym parku. Zainteresowani w oczekiwaniu na otwarcie teatru spacerowali wśród kwitnących kiści bzu i w cieniu rozłożystych drzew.

Słuchali śpiewu ptaków i podziwiali ciekawskie wiewiórki. Nie jest to Park Stryjski, ale zawsze coś.

Rozpoczęto koncert projekcją filmu pt. „Lwów dawniej i dziś” (ze zbiorów tut. Oddziału TML), wprowadzając słuchaczy w nastrój lwowski. Następnie na scenę teatru wkroczył wspaniały, jak zwykle, kabaret „Pacalycha” prezentując program pt. „Ta Joj, Europa”. Wykonawcy w zmienionym częściowo składzie z werwą, temperamentem i uśmiechem bardzo naturalnie wykonali lwowskie piosenki oraz pisane obecnie w prawdziwym lwowskim bałaku. Na koncert przybyli przedstawiciele



władz administracyjnych i samorządowych m.in. Sekretarz Urzędu Miasta Ewa Bajurny i Starosta Powiatu Jeleniogórskiego Jacek Włodyga oraz mieszkańcy miasta i okolic.

Dużym zainteresowaniem cieszyła się wystawa fotograficzna prezentowana w kuluarach teatru. Były to fo-

Janina Oparowska

Nie możemy zapomnieć...

I dlatego w dniu 10 listopada 2005 roku dawni mieszkańcy Ziemi Lwowskiej, a dokładnie pochodzący z miejscowości koło Lwowa – z Nawarii, Sokolnik, Hodowicy, Obroszyna, Pustomyt, Siemianówki – przybyli na wspólnotowe spotkanie pn. „Święcone”.

Było to już 22 spotkanie Kresowiaków z okolic Lwowa. To spotkanie zgodnie z tradycją odbyło się we Wrocławiu w Domu Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej.

Organizatorem tego spotkania – jak i wszystkich poprzednich – byli członkowie Społeczno-Kulturalnego Stowarzyszenia Pomocy w Odbudowie Kościoła w Nawarii koło Lwowa.

Na to spotkanie przybyli Kresowianie obecnie mieszkający w różnych miejscach naszej Ojczyzny. Najwięcej było osób z Wrocławia i jego okolic, ale przybyli też ze Szczecina, Nowej Soli, Jeleniej Góry, Olawy, Jawora itp. W tym spotkaniu wzięło udział około 136 osób.

O godz. 13 wszyscy uczestniczyli w uroczystej Eucharystii sprawowanej przez ks. kan. Franciszka Rozwoda oraz ks. prałata Walentego Szalęgę.

Po Mszy św. odbyło się wspólne tradycyjne wielkanocne śniadanie. Było to śniadanie szczególne. Przy wielkanocnym stole zasiadli przedstawiciele pokolenia, które bardzo dobrze pamięta swoje rodzinne strony pozostawione na Kresach oraz ten smutny czas, kiedy trzeba je było opuścić. Niektórzy przybyli na to spotkanie ze swoimi dziećmi, a nawet wnukami. To było szczególnie wzruszające i pouczające.

Ks. kan. Franciszek Rozwód powitał wszystkich bardzo serdecznie życząc im miłego spędzenia czasu na tym spotkaniu.

Następnie chwilą ciszy uczczono pamięć zmarłego Ojca Świętego Jana Pawła II oraz odmówiono modlitwę za Jego duszę.

tografie wykonane przez uczestników wycieczek na Kresy organizowanych przez Oddział TMLiKPW w Jeleniej Górze. Równocześnie nasze wystawy fotograficzne o tematyce kresowej znajdują się w gmachu Filharmonii Jeleniogórskiej oraz w pomieszczeniach naszego Oddziału.

Nie jest dziełem przypadku, że tematyką kresową zainteresowanych jest wiele osób z naszego regionu. To właśnie wygnańcy ze Lwowa i Kresów, którzy zamieszkali na tym terenie, uruchomili w Jeleniej Górze tramwaje, wodociągi, energetykę, handel, usługi itp. Po wielu latach tęsknoty i złudzeń utracili nadzieję na powrót w rodzinne strony. Ale zaszczerpili swoim dzieciom i wnukom miłość do miejsc, które zostały za „żelazną kurtyną”. Zainteresowanie do miejsc, gdzie tkwią rodzinne korzenie przejawia coraz więcej ludzi młodych. Chętnie uczestniczą w imprezach organizowanych przez nasz Oddział.

W roku 2006 będziemy obchodzić w Jeleniej Górze jubileusz, po raz dziesiąty odbędą się „Spotkania z Piosenką Lwowską i Kresową”. Serdecznie zapraszamy. □

Ks. prałat Walenty Szalęga dokonał uroczystego poświęcenia pokarmów znajdujących się na stołach. Dla podkreślenia świątecznego i okolicznościowego nastroju Janina Oparowska zaprezentowała swój wiersz pt. „Nie możemy zapomnieć...”.

A potem wszyscy dzielili się święconym jajkiem i składali sobie życzenia. Na twarzach poznaczonych już upływem czasu pojawiał się uśmiech, a w oczach ich niejednokrotnie błyszczały łzy ocierane ukradkiem. Odczuwało się tu prawdziwie rodzinną atmosferę. Ten wspólny wielkanocny stół znowu połączył ich tak jak kiedyś tam na Kresach łączyły ich świątynie, parafie, bliskie sąsiedztwo.

W czasie tego spotkania przekazano życzenia od ks. Tadeusza Kupczyńskiego – proboszcza parafii Nawaria, Siemianówka i Szczerec koło Lwowa oraz od o. Lucjana – franciszkanina, który był proboszczem parafii Nawaria w latach 1992-1995.

Miłym akcentem tej uroczystości było złożenie życzeń ks. prałatowi Walentemu Szalęgę z okazji zbliżającego się jubileuszu 50-lecia jego święceń kapłańskich. Śpiewem „Sto lat” oraz „Życzymy, życzymy” uzupełniono szczere i serdeczne życzenia.

Klasztorny refektarz rozbrzmiewał dziś niezwykle głośnymi rozmowami, którym bardzo często towarzyszyło słowo: „a pamiętasz?”.

Wszyscy byli uradowani, uśmiechnięci, pragnęli tak wiele dziś wypowiedzieć. Chcieli wypowiedzieć to, czego w zwykłej sytuacji nie mieliby odwagi wyrazić, to co na pewno głęboko było skrywane w ich sercach.

A dziś byli razem i to ich ośmielało. A echo tych rozmów, tej radości ze wspólnotowego spotkania, echo pieśni wielkanocnych razem śpiewanych na pewno przedostało się przez mury klasztorne, a wiatr wiosenny przeniósł je do ziemi rodzinnej, której nie można zapomnieć. □

Janina Oparowska

Nie możemy zapomnieć...

Oto już lat 60 przemija
gdy spotkał nas wygnaniec los –
ale pamięć o ziemi opuszczonej w nas żyje
choć tak nieubłagane upływa czas.

Długa droga w czasie i przestrzeni
oddziela nas od dzieciństwa i młodości –
jak graniczny słup dzieli nas od rodzinnej ziemi
lecz nie pokona w nas oddania i miłości.

Jakże często odzywają nasze wspomnienia
o tamtych czasach, o tam spędzonych dniach –
przecież nam pozostają tylko marzenia
i powroty do niej tylko w snach.

Czy możemy zapomnieć tamtą ziemię
nasze domy, sady i ogrody
i te pola poprzecinane miedziami,
lasy, łąki zielone, ścieżki i tamte drogi.

Czy możemy zapomnieć nasze kościoły,
ten w Nawarii, Sokolnikach, w Hodowicy –
takie polskie, takie nasze one tam były
i te we Lwowie, w Pustomytach i Siemianówce.

Czy możemy zapomnieć nasze cmentarze
gdzie pozostały naszych bliskich mogiły –
gdzie tylu naszych przodków tam spoczywa,
gdzie za ich dusze pokolenia się modliły.

Chociaż zmienił się krajobraz tamtej ziemi
chociaż inni tam prowadzą swoje życie –
naszych uczuć tęsknoty i żalu nic nie odmieni
zawsze będziemy strzec w naszej pamięci jej odbicie.

I dlatego znowu dzisiaj tu jesteśmy
po latach 60-ciu jej tchnieniem wezwani
i dlatego nigdy nadziei nie utracimy
że kiedyś – co nam zabrano – zostanie oddane.

Henryk Mitraszewski

Bohaterki tamtych lat

Odzyskanie niepodległości i powstanie II Rzeczypospolitej to rezultat wysiłku samych Polaków. Granice zostały wytyczone orężem w walce z Rosją Sowiecką, Niemcami i Ukraińcami, wspierane przez zabiegi polskich polityków i dyplomatów o uznanie naszych praw do ziem kresowych.

Walki w latach 1914-1920 zostały szczegółowo opisane i słusznie uznane jako fakt niezwykle patriotycznego porywu. Kiedy zaistniała potrzeba obrony ojczyzny, bez chwili wahania na pole walki poszły również zastępy kobiet.

O bohaterkach tamtych lat Andrzej Niemojewski pisał: „W chwili tak przełomowej, jak ta, dzięki której powstała Rzeczpospolita Polska, kobieta nasza nie siedziała z założonymi rękami. I nie było tak, iżby mężczyznę doganiała lub przeganiała. Odbiło się bez rywalizacji płci. Tylko po prostu zatarła się różnica pomiędzy mężczyzną a kobietą, gdy chodziło o czyn piękny, myśl wielką i sprawę narodową.”. Kto dzisiaj pamięta o walczących kobietach z tamtych lat. Im właśnie chcę poświęcić tych kilka słów przypomnienia. Szczególnie tym, które stanęły w obronie kochanego Lwowa.

Z chwilą wybuchu wojny światowej, mającej rozstrzygnąć o losach Polski, zgłosiły swoją gotowość do pracy dla celów wojennych wszystkie organizacje kobiece. Do pierwszych organizacji ściśle związanych z potrzebami wojska polskiego należały: Drużyny Strzeleckie, Liga Kobiet i Koło Polek.

Wychowanie w duchu umiłowania Boga i Ojczyzny w chwili zagrożenia zaowocowało eksplozją niezwykle patriotyzmu i poświęcenia. Uciekały z domów rodzinnych młodzieńki 15-16-letnie dziewczęta, aby ginąć od

kul nieprzyjacielskich lub wśród pękających szrapneli, w zimne noce stać na warcie czy opatrywać rannych. Nie bacząc na niebezpieczeństwo kurierki przekradały się przez linie nieprzyjacielskie niosąc rozkazy, dokonując zwiadu oraz przeprowadzając ochotników do wojska polskiego. Nie sposób opisać bohaterskich czynów dokonywanych zarówno przez nieletnie, wyrwane spod skrzydeł matczynych dziewczęta, jak i starsze kobiety, które rzuciły dom własny, spokój, dobrobyt, aby stanąć w szeregach tych, co nie dają ginać ojczyźnie.

Przywołajmy garść faktów z mroków zapomnienia. Plut. Zofia Prokopowiczówna walczyła pod Lwowem i Wilnem, trzykrotnie odznaczona za odwagę, pocięta szablami i zbita nahaniami przez bolszewików, zmarła 21 września 1920 roku. Pogrzeb jej odbył się w Warszawie. Trumna na ramionach żołnierki i straż kobieca z bronią. Dwóch księży, kwiaty i wieńce. Samochód z komendantką Ochotniczej Legii Kobiet, kilka pań z Czerwonego i Białego Krzyża, grupki gapiów na chodnikach – to wszystko.

Piętnastoletnia Halinka Grabska wyrwała się do Legii wprost z pensji bez wiedzy rodziców (rodzina ziemiańska w Płocku). Jadąc do Lwowa kryła się pod ławkami w wagonie, mając za całe pożywienie kilka suchych bułek. Postawiono ją na warcie przy wozie, z którego wyładowywano żywność przed dworcem, gdy nagle Ukraińcy zaczęli rzucać granaty. Kto mógł uciekał w bezpieczne miejsce. Halinka wierna rozkazowi komendantki została na posterunku aż potężny granat rozszarpał konie i bohaterskie dziecko. Przy zwłokach znaleziono niewysłaną do koleżanki kartkę: „Czy wyobrażasz sobie jakam szczęśliwa? Jestem nareszcie z tymi, którzy bronią Ojczyzny!”.

Na pomoc obrońcom Lwowa pospieszyły studentki z Krakowa. Ćwiczenia w obsłudze karabinu maszynowego odbywały się na Wysokim Zamku. Słuchaczka ma-



Por. Maria Szymańska (później zamężna Jasińska),
komendantka Baonu OLK we Lwowie



Por. Maria Opieńska, organizatorka drużyn kobiecych
w Sokole, przeznaczonych do walki z Ukraińcami

tematyki uniwersytetu krakowskiego, dwudziestoletnia Katarzyna Chorzepianka, po przeszkoleniu brała udział w walkach pod Lwowem jako celowniczy karabinu maszynowego. Po skończeniu walk z Ukraińcami udała się wraz z pułkiem na front bolszewicki. Ranną w boju przewieziono do szpitala na Mokotowie. Po wyleczeniu natychmiast udała się na front. Ciężko ranna po raz drugi umiera w warszawskim szpitalu.

W listopadzie 1918 r. podczas walk na placówce Bema poległa dzielna ochotniczka, znana pod pseudonimem Józefa Balcera – prawdziwego nazwiska nigdy nie ustalono.

Podczas wybuchu amunicji na dworcu głównym we Lwowie niezwykłą odwagę wykazała Józefa Balceraówna, która wraz z innymi legionistkami brała udział w akcji ratowniczej, ulegając silnym oparzeniom i okaleczeniom.

Wielką odwagę i męstwo w pełnieniu służby kurierskiej wykazała szer. Wanda Lechowinówna, skautka, która wysłana na zwiady dostała się do niewoli ukraińskiej. Więziona, torturowana, a nawet skazana na śmierć, cudem ocalała, pieszo przedarła się przez śniegi Karpat i wypełniła rozkaz. W tym czasie zginęły m.in. kurierki: jedna, nieznanego nazwiska, podczas przechodzenia linii bojowej przy Cytadeli, druga – Felicja Sulimirska, trafiona w pierś kulą Ukraińca, zmarła w ciężkich męczarniach 21 listopada 1918 roku.

W dniach 18, 20 i 27 grudnia 1918 roku na Zboiskach odparła trzy zacięte ataki nieprzyjaciela kompania szturmowa złożona z 70 kobiet pod dowództwem ppor. Millera i Piguleczki. Ciężko ranna została Józefa Bardowska, a Zofia Wrońska poległa.

Dowody niezwyklej przytomności umysłu, żelaznego poczucia obowiązku i odwagi wykazała por. Kamilla Jonotówna, komendantka posterunku na Wysokim Zamku, gdzie zorganizowała bardzo trudną służbę. W 1920 roku została wysłana do Poznania i powołała tam batalion Ochotniczej Legii Kobiet.

Magazynu z amunicją pilnowała szer. Bronisława Fąfara. Nocą podkradło się trzech Ukraińców z zamiarem wysadzenia składu. Wywiązała się strzelanina, pomimo ciężkiej rany w nogę broniła powierzonej placówki. Odpędziła napastników, obroniła magazyn, ale została inwalidką na zawsze.

W marcu 1919 roku do Ochotniczej Legii Kobiet we Lwowie wstąpiła Olga Stawecka. Odkomenderowana do Stanisławowa dowodzi tam oddziałem Legii. Kolejno wysłana do Wilna dowodzi kompanią w czasie walk i odwrotu naszej armii. Następnie była dowódcą baonu wartowniczego OLK w Warszawie. W czasie powstania na Górnym Śląsku została kierowniczką jednostki apro wizacyjnej na froncie i uczestniczyła w walkach. Po skończonej wojnie wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Felicjanek.

Wszystkie wymienione bohaterki należały do Ochotniczej Legii Kobiet, której organizatorką i komendantką była plk Aleksandra Zagórska. Od pierwszych dni zagro-



Mjr Aleksandra Zagórska,
organizatorka drużyn kobiecych POA,
później organizatorka Ochotniczej Legii Kobiet

żenia Lwowa zajęła się organizowaniem sił kobiecych dla obrony miasta. Rozpoczęła od utworzenia oddziału kurierów. Po oswobodzeniu Lwowa przekształciła go na Milicję Obywatelską Kobiet, która stała się częścią Miejskiej Straży Obywatelskiej pod komendą kpt. Wita Sulimirskiego. W styczniu 1919 roku MOK przekształciła się na formację wojskową pod nazwą Ochotnicza Legia Kobiet. Przez pierwsze trzy lata komendantką OLK była płk Aleksandra Zagórska, wyróżniona w rozkazie dziennym nr 190 ministra K. Sosnkowskiego.

Do Ochotniczej Legii Kobiet w pierwszym okresie jej rozwoju zaciągnęły się: Wanda Goertzówna, Ludwika Rudowska, Józefa Pawłowska, Kamilla Janota, Maria Szamańska, Olga Stawecka, Halina Kowalska, które były komendantkami tej formacji kobiecej

w Wilnie, Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie i Grudziądzu.

W czasie wojny powstały inne stowarzyszenia i związki kobiece o celach czysto militarnych jak: Pogotowie Wojenne Kobiet Polskich, Towarzystwo Chrzestnych Matek Żołnierza Polskiego, a 5 lipca 1920 r. Narodowa Służba Kobiet, której zadaniem było zjednoczenie wszystkich stowarzyszeń oraz kobiet nienależących do organizacji.

Lista bohaterskich dokonań Polek jest bardzo długa. Informacje o poświęceniu, trudzie i bohaterstwie legionistek zawarte są na pożółkłych kartach raportów i rozkazów wojskowych zamkniętych w archiwach. Kto dziś wie ile tych dziewcząt i kobiet przepadło bez wieści. Ile zostało wziętych do niewoli bolszewickiej i zakatowanych na śmierć. Pamiętajmy o bohaterkach tamtych lat. □

Aleksander Smoliński

„Bez ognia i miecza” (III)

Migawki z sentymentalnych podróży po niepodległej Ukrainie w poszukiwaniu śladów byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów

Część 3. Złoczów – Podkamień

Złoczów

Kolejnym etapem podróży po Wołyniu mogą być Złoczów i Podkamień. Kierując się bowiem z Podhorców w kierunku południowym dotrzemy do Złoczowa leżącego nad Złoczówką oraz przy drodze biegnącej ze Lwowa do Tarnopola. W roku 1919, a więc na progu istnienia II Rzeczypospolitej, miasto to liczyło 13.000 mieszkańców, spośród których jedynie 3400 osób stanowiła ludność narodowości polskiej. Obok nich mieszkali tam również 2100 Rusinów, czyli Ukraińców, oraz 6300 Żydów. Pozostałą część mieszkańców Złoczowa stanowili przedstawiciele innych grup etnicznych.

Miejscowość ta istniała już w połowie XV w. jako wieś królewska, która znalazła się następnie we władaniu rodziny Sienińskich. Staraniem jednego z nich, a mianowicie Stanisława Sienińskiego w 1523 r. król Zygmunt Stary nadał jej magdeburskie prawo miejskie.

Już jednak w 1532 r. dobra te przeszły w ręce wielkopolskiej rodziny Górków, którzy otoczyli miasto systemem fortyfikacji oraz sprowadzili do niego Ormian, którzy wybudowali tam świątynię swego obrządku. Złoczów stał się następnie ważnym ośrodkiem handlowym i rzemieślniczym kolonią ormiańską. Ponadto już od XVI w. poczęli osiedlać się tam także Żydzi, tworząc z czasem prężną gminę. W wyniku tego w XVII w. miasto stało się centrum chasydyzmu, a po 1770 r. działał tam słynny cadyk Jehiel Michael.

Kolejnymi właścicielami Złoczowa, od 1592 r., byli Sobiescy herbu Janina. Pierwszym z nich był Marek Sobieski, wojewoda lubelski i dziad późniejszego króla Jana III. Najwięcej dla miasta zrobił Jakub Sobieski – ojciec Jana III, który dokończył budowę kościoła rzymsko-katolickiego oraz hojnie uposażył parafię, a w 1627 r. ufundował przytułek dla ubogich oraz klasztor reformatorów. Jednakże najważniejszym jego dziełem było wznie-

sienie zamku – warowni otoczonej czterema murowanymi bastionami. Warto bowiem pamiętać, iż był to niezwykle światowy i dobrze wykształcony człowiek oraz „pan wojenny”, który brał udział w wielu wyprawach i wojnach z licznymi wrogami Rzeczypospolitej Obojga Narodów, jak choćby w wyprawie królewicza Władysława Wazy na Moskwę w latach 1617-1618. Ponadto walczył także z Turkami w wyprawie chocimskiej 1621 r. oraz z Tatarami, Szwedami i Kozakami. Także kolejny właściciel miasta, a mianowicie Jan III dbał o zamek obsadzając go odpowiednią załogą wojskową.

Nie uchroniło to jednak Złoczowa przed klęskami wojennymi. Już bowiem w 1672 r. miasto złupili i spalili Turcy nie zajmując go jednak na stałe. W dwa lata po tych tragicznych wydarzeniach odbyła się tam narada wojenna, w wyniku której ówczesny hetman wielki koronny Jan Sobieski odłożył termin swojej koronacji królewskiej i ruszył z armią na Ukrainę. W roku 1675 pod miastem pojawił się 10.000 czambuł tatarski, który został odparty przez wojska koronne dowodzone przez ówczesnego wojewodę ruskiego, a późniejszego hetmana wielkiego koronnego i kasztelana krakowskiego, a mianowicie Stanisława Jabłonowskiego. Po raz kolejny Tatarzy podeszli pod Złoczów w 1690 r. i zagrozili nawet przebywającemu tam wtenczas królowi.

Kolejnym przedstawicielem rodziny Sobieskich, który przyczynił się do dalszego rozwoju miasta był „królewicz” Jakub Sobieski. W 1730 r. ufundował on kolegium, czyli szkołę pijarską, w której po 1760 r. nauczał wybitny ówczesny pedagog ojciec Onufry Kopczyński. Po śmierci Jakuba w 1740 r. jego córka Maria Karolina sprzedała dobra złoczowskie wraz z miastem i zamkiem jednemu z największych magnatów Rzeczypospolitej, a mianowicie wojewodzie wileńskiemu i hetmanowi polnemu litewskiemu Michałowi Kazimierzowi Radziwiłłowi „Rybeńce”. Natomiast po rozsprzedaży majątku Radziwiłłów na krótko włości te przeszły w ręce

Sapiehów, a na początku XIX stały się własnością Komarnickich.

Po zajęciu w wyniku rozbiorów Galicji przez Austriaków za czasów cesarza Józefa II dokonano kasaty obydwu klasztorów, a należące do nich kościoły pozamieniano na magazyny. Miasto zaczęło podupadać, a miary nieszczęść dopełnił pożar z roku 1797. Dopiero po 1848 r. Złoczów zaczął się odradzać. Ostatnim jego właścicielem do 1868 r. był Aleksander Komarnicki. Wśród wielu innych osób jego częstym gościem był również znany wówczas, choć dzisiaj już nieco zapomniany polski poeta romantyczny, a mianowicie Wincenty Pol. Ponadto miasto było siedzibą starostwa i garnizonem armii austro-węgierskiej, w którym do czasów I wojny światowej stacjonował II Batalion 80 Galicyjskiego Pułku Piechoty Wielkiego Księcia Sasko-Weimarsko-Eisenachskiego Wilhelma oraz część 13 Galicyjskiego Pułku Ułanów Generała Böhm-Ermolli, a także 35 Pułk Obrony Krajowej. Ponadto korzystając z ery autonomicznej w Złoczowie istniało polskie szkolnictwo oraz szkoły z polskim i ruskim językami wykładowymi, a także żydowska szkoła ludowa. Jednocześnie od 1882 r. działała tam również znana drukarnia Zukerkandel & Syn, która wydawała polską klasykę oraz książki dla dzieci i młodzieży.

Kolejny kataklizm w postaci ogromnego pożaru spadł na miasto w 1903 r. Natomiast w latach 1919-1920 wokół miasta toczyły się zacięte walki najpierw z Ukraińską Armią Halicką, a następnie z nacierającą od wschodu Robotniczo-Chłopską Armią Czerwoną.

Najważniejszym zabytkiem i jednocześnie obiektem wartym obejrzenia jest leżący na południowo-wschodnim krańcu miasta, na niewielkim wzgórzu **złoczowski zamek**. W latach 1634-1636 zbudował go wspomniany już



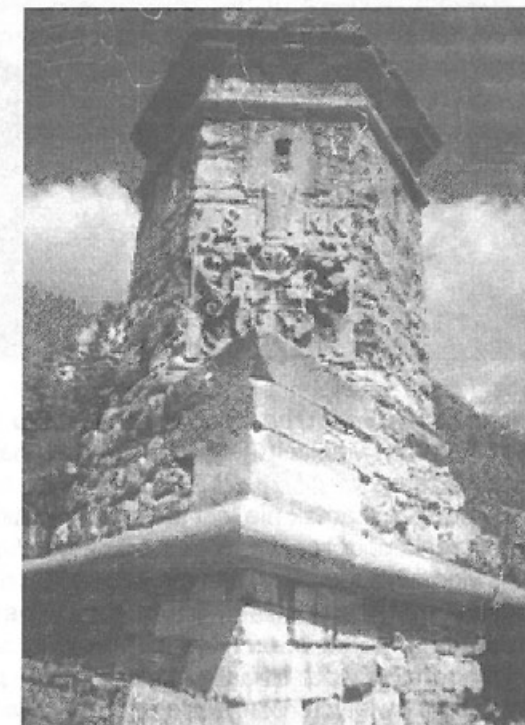
poprzednio wojewoda ruski Jakub Sobieski, nadając mu formę XVII-wiecznej twierdzy bastionowej. Po przejęciu miasta przez Komarnickich został on odrestaurowany, co upamiętniono niezbyt zgodną z prawdą marmurową tablicą pamiątkową umieszczoną na ścianie zewnętrznej, na której napisano: „Joannes III Rex fundavit, Comes Komarnicki restauravit”. W tłumaczeniu znaczy to bowiem: „Jan III Król ufundował, Kasztelan Komarnicki odbudował”.

Od 1834 r. zamek służył jako koszar armii austriackiej, która w znacznym stopniu go zdewastowała. W wyniku tego groziło mu nawet całkowite zniszczenie, ale w 1872 r. rząd austro-węgierski, na wniosek prezesa

gminy Poźniaka, wykupił obiekt od jego właścicieli i urządził w nim więzienie. W ten sposób udało się powstrzymać dziką jego rozbórkę, jaką od dłuższego już czasu prowadzili miejscowi Żydzi, pozyskując w ten sposób materiał budowlany.

Do funkcji tej zamek powrócił po zajęciu tych terenów we wrześniu 1939 r. przez Armię Czerwoną. Zamieniono go bowiem w katownię NKWD, gdzie w przeddzień wkroczenia latem 1941 r. na te tereny Niemców zamordowano około 700 więzionych tam Polaków oraz przedstawicieli innych narodowości. Następnie mieściła się tam siedziba i więzienie Gestapo, gdzie mordowano Żydów oraz innych. Obecnie zamek jest własnością Lwowskiej Galerii Obrazów, która prowadzi tam pewne prace konserwatorskie.

Zamek ma plan kwadratu z narożnymi bastionami. Na wysokich ziemnych i olicowanych kamieniem oraz nieźle zachowanych skarpach bastionów i kurtyn usypało wysokie nadszańce oraz nadbudowano kamienne wieżyczki strażnicze, na których znajdują się zachowane do dnia dzisiejszego i robiące na odwiedzającym silne wrażenie, piękne, wykute w jasnym piaskowcu tarcze z herbami rodziny Sobieskich, a mianowicie Janiną, Gozdawą, Rawiczem i Herburtem oraz inskrypcje dotyczące fundatora zamku w postaci: „J.S.K.K.S.K”, co jest skrótem oznaczającym: „Jakub Sobieski, król, czy koronny, starosta krasnostawski”. Warto przypomnieć, iż ten szlachcic i senator Rzeczypospolitej Obojga Narodów był ponadto czterokrotnym marszałkiem sejmu, podczaszym koronnym, wojewodą bełskim, wojewodą ruskim oraz starostą trembowelskim, jaworowskim i barskim. Ponadto osiągnął także najwyższą świecką godność senatorską, a mianowicie kasztelana krakowskiego. Jest to widomy ślad dawnej świetności niegdysiejszej Rzeczypospolitej Obojga Narodów i chyba jeden z najciekawszych elementów całego tego obiektu. Pod wałami mieszczą się, czy też raczej niegdys mieściły się, kazamaty. Wejście na dziedziniec znajduje się od strony północnej przez obszerną i rozbudowaną wieżę z bramą ozdobioną portalem z głową



Iwa. Nad nadprożem znajduje się łacińska inskrypcja: „*Sub Tuum praesidium configimus Sancta Dei Genitrix*”, co w języku polskim oznacza: „*Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko*”.

Pośrodku zamkowego dziedzińca stoi fontanna, a jego perspektywę zamyka „pawilon chiński”, będący pozostałością mody panującej na sztukę Dalekiego Wschodu, jaka istniała w Europie w II połowie XVII w. Wybudowano go za czasów Jana III. Natomiast zachodnią pierzeję dziedzińca zamyka skromnie zdobiony budynek mieszkalny – „pałac”, obok którego znajduje się cehhaus z herbem Janina.

Cały zamek od kilku lat znajduje się w „remoncie”. Ostatnio nawet na wałach oraz obok nich prowadzono jakieś prace wykopaliskowe. Ślady prac budowlanych widoczne są w pawilonie chińskim oraz w budynku mieszkalnym. Jeszcze do niedawna za parę hrywien danyh robotnikom można było tam wejść i obejrzeć zgromadzone w głębokich piwnicach liczne i ciekawe kamienne elementy architektoniczne. Jednakże śladem niezwykle jak na warunki polskie i europejskie robót „konserwatorskich” są wykonane z betonowych bloków i współczesnej cegły konstrukcje, przy pomocy których próbowano kiedyś odbudować umocnienia (rawelin) znajdujące się przed zamkową bramą (fot. 1). Jest to typowy przykład sowieckiej „sztuki konserwacji zabytków”. Dziś też użycia ciężkiego sprzętu trudno byłoby nawet je rozebrać. Tymczasem w niebywały sposób szpecą one widok zamku oglądanego od strony bramy wjazdowej.

Warto też dodać, iż do dziś jest pewien problem z dotarciem na zamkowy dziedziniec, bowiem pomiędzy bramą a wspomnianymi powyżej betonowymi konstrukcjami, na samym końcu prowizorycznego mostu przerzucone jest coś w rodzaju kładki wykonanej ze starych i trzeszczących desek, które robią wrażenie, jakby



w każdej chwili miały się załamać. Mimo to warto jednak nacieszyć oczy widokiem tego obiektu oraz nawet wejść na ziemne wały.

Opisany powyżej zamek nie jest jedynym zabytkiem wartym obejrzenia podczas wizyty w Złoczowie. W mieście stoi bowiem wybudowany w latach 1731-1763 dawny popijarski a obecnie parafialny trzynawowy **Kościół pod Wezwaniem Najświętszej Marii Panny**. Fasadę zdobi piękny barokowy portal, balkon z kutą kratą i pięć kamiennych figur świętych. W mieście są też inne świą-

tnie, jak choćby były kościół bernardynów, a obecnie cerkiew grekokatolicka. Warto też zauważyć, iż życie w tym niewielkim mieście toczy się w swoisty, w Polsce dawno już zapomniany, spokojny, by nie powiedzieć leniwy, sposób.

Podkamień

Wyjeżdżając ze Złoczowa w kierunku północno-wschodnim dojedziemy do miejscowości Podkamień. Droga do tego miejsca wiedzie poprzez tereny o pięknym krajobrazie urozmaiconym sporymi nawet wzniesieniami Woroniaków oraz ładnymi, mieszanymi lasami. Już z daleka, na Górze Różańcowej widoczny będzie bardzo duży, niegdyś **dominikański, ufortyfikowany kompleks klasztorny** dominujący nad miasteczkiem o tej samej nazwie. W 1919 r. mieszkało tam około 3500 mieszkańców, w tym 1100 Polaków, 950 Rusinów i 1450 Żydów, którzy, obok innych zajęć, prowadzili wtenczas także dwa zajazdy podróżne.

Zgodnie z dominikańską tradycją już w XIII w. na te tereny miała dotrzeć misja św. Jacka Odrowąża, a w 1245 r. dwunastu braci zakonnych wraz z przeorem Urbanem miało zginąć w męczeński sposób z rąk tatarskich najeźdźców. Ponownie, tym razem już bezspornej, fundacji klasztoru w 1464 r. dokonał Piotr Cebrowski, a kościół konsekrował arcybiskup lwowski Grzegorz z Sanoka. Kres temu klasztorowi położył jednak najazd tatarski z roku 1519.

Na przełomie XVI i XVII w. przy ruinach klasztornych powstała najprawdopodobniej drewniana kaplica, w której znajdował się słynący cudami obraz będący kopią obrazu Matki Boskiej Śnieżnej z bazyliki Santa Maria Maggiore w Rzymie. Pewne fakty wskazują na to, iż kopia ta została zakupiona w 1598 r. we Lwowie przez szlachcica Aleksandra Paczyńskiego, którego córka za jego przyczyną w cudowny sposób została uzdrowiona. Fakt ten oraz inne powody sprawiły, że na początku XVII w. ówczesny właściciel Podkamienia Baltazar Cerner ponownie sprowadził dominikanów, a w 1612 r. roz-



poczęto budowę okazałego kościoła i klasztoru. Budowa kompleksu trwała przez cały wiek XVII, a jednym z hojnych donatorów był król Jan III. Zbudowano wówczas klasztor z „murem obronnym w kształcie gwiazdy i wzmocnionym okrągłymi basztami”.

Natomiast świątynia, a także zapewne cały kompleks klasztorny ostateczny swój kształt uzyskały dopiero po przebudowie, jaka miała miejsce w III ćwierci XVIII w. Wtenczas to znany jezuicki architekt Paweł Giżycki zaprojektował hełm na wysokiej wieży, a wewnętrzny wystrój świątyni, po którym dzisiaj nie ma już żadnego śladu wykonał Stanisław Stroiński. Warto tutaj dodać, że klasztor ten i kościół odwiedzało wiele ważnych postaci historycznych, by wspomnieć choćby o królach Władysławie IV oraz Janie Kazimierzu, którzy modlili się u stóp „Podkamieńskiej Pani”.



W 1719 r. na dziedzińcu klasztornym wystawiono wysoką **koryncką kolumnę z połączoną figurą Matki Boskiej**, która miała być pamiątką konfederacji tarnogrodzkiej. Obok kolumny wykopano studnię o głębokości 94 m., nad którą zbudowano specjalny zadaszony budynek. Według ustnej tradycji przekazywanej przez obecnych gospodarzy klasztoru, a mianowicie zakonników z grekokatolickiego zgromadzenia studytów, figurę tę otacza aura świętości. Świadczyć mają o tym różne fakty, jak choćby to, iż pomimo strzelania do niej przez żołnierzy sowieckich nie ma na niej żadnych śladów po kulach. Ponadto w momencie, gdy po latach sowiezacji i ateizacji wierni na powrót mogli powrócić na tę świętą górę, figura „samoczynnie”, w ciągu jednej nocy i „bez jakiegokolwiek ludzkiej interwencji cudownie się

oczyściła”, uzyskując dawny złoty blask. Tak przynajmniej twierdzą obecni gospodarze tego miejsca. Przyznać trzeba, iż rzeczywiście obecnie wygląda ona jak świeżo i dość starannie odnowiona. Zauważyć też należy, iż wysokość kolumny powoduje, że czynności tej nie można by było wykonać choćby bez specjalnych drabin. Zresztą sam fakt, iż nie została skradziona czy też zniszczona, o co w realiach tamtych czasów wcale nie było aż tak trudno, rzeczywiście graniczy niemal z cudem.

Dodać również trzeba, iż w okresie świetności klasztoru poza jego murami znajdowało się kilka barokowych kaplic, z których najważniejsza była ta, w której krył się **kamień z odciskiem stopy Matki Bożej**. Stąd też nazywano ją „Stopka Maryi”. Później powstała tam cerkiew unicka. Do dni dzisiejszych jest to miejsce pielgrzymek zarówno miejscowej, jak i przyjezdnej ludności.

Podkamieńskie sanktuarium maryjne zwane też „wołyńską Częstochową” przyciągało przez wieki tysiące pielgrzymów, zwłaszcza w czasie odpustów 2 lipca, 15 sierpnia i 8 września, a zwłaszcza 4 października. Aura niezwykłości miejsca oraz świętości obrazu spowodowały, iż w dniu 15 sierpnia 1727 r. biskup łucki Stefan Rupniewski dokonał aktu koronacji cudownego obrazu złotymi koronami przywiezionymi z Rzymu przez wojewodę wołyńskiego Michała Potockiego. Z okazji tej obraz otrzymał również srebrną i pozłacaną sukienkę. Jednak w 1870 r. korony te oraz berło wysadzane diamentami, a także inne cenne wota padły ofiarą świętokradczego rabunku.

Również i potem dzieje klasztoru nie układały się zbyt szczęśliwie. Bowiem w 1915 r. wskutek ostrzału artyleryjskiego spłonęła biblioteka klasztorna wraz z cennymi starodrukami i rękopisami liczącymi w sumie około 5.000 tomów. Ponadto spłonęło też 145 obrazów, ze 152 jakie znajdowały się wtenczas w klasztornej galerii. Poza tym w trakcie dalszych działań wojennych ten katolicki klasztor kilkakrotnie plądrowały wojska rosyjskie, dokonując na dodatek wielu zniszczeń. W wyniku tego w okresie międzywojennym podjęto intensywne prace remontowe, wykonując między innymi nowe freski w nawie kościoła. Natomiast w 1927 r. dokonano powtórnej koronacji cudownego obrazu.

Nadszedł jednak rok 1939, a wraz z nim okupacja sowiecka i koniec pewnej epoki. Oznaczało to również początek końca życia dominikańskiego klasztoru. Już bowiem w tym roku ulokowano w nim zakład odzieżowy. Natomiast po chwilowym odejściu Armii Czerwonej i wkroczeniu Niemców rozpoczęła się kolejna faza wiekowego konfliktu polsko-ukraińskiego, który zamienił się w ludobójstwo. Spowodowało to, iż w 1943 r. klasztor stał się miejscem schronienia dla polskich uciekinierów z Wołynia. Mimo to w rok później nacjonaliści ukraińscy wymordowali tam około 250 osób, głównie kobiet i dzieci. Wraz z powtórna okupacją sowiecką nastąpiło zamknięcie klasztoru i opuszczenie go, tym razem już na zawsze, przez dominikańskich zakonników, którzy wraz z cudownym obrazem najpierw przenieśli się do Lwowa, a potem zostali przesiedleni do Polski, na tak zwane „ziemie odzyskane” – do Wrocławia. Obecnie cudowny obraz znajduje się w Kościele Dominikanów pod Wezwaniem Świętego Wojciecha.

Po II wojnie światowej w obiektach klasztornych mieścił się cały szereg instytucji sowieckich, jak choćby więzienie, a potem zakład dla chorych psychicznie i upośledzonych kobiet. Dodać trzeba, iż ta ostatnia placówka w dalszym ciągu zajmuje większość pomieszczeń poklasztornych, głównie gospodarczych. Ulokowanie więzienia przyczyniło się natomiast do kompletnej dewastacji kościoła, gdyż całe jego wyposażenie, jak ołtarze, ławki itd., zostało przez więźniów wykorzystane jako opał. Ponadto splądrowano także krypty grobowe, co według opowiadań mieszkańców spowodowało, iż okoliczne psy rozwiły ludzkie szczątki po całej okolicy. Ocalały tylko pojedyncze przedmioty stanowiące dawne wyposażenie kościoła, jak choćby krzyż, które przez dziesięciolecia przechowywało w swoich domach okoliczna ludność grekokatolicka, a po 1991 r. w uroczysty sposób zwróciła studytom. Miary nieszcześć dopełniło umieszczenie w kościele garażu dla ciężarówek i innego sprzętu mechanicznego. Czego nie zniszczyli ludzie zniszczyły maszyny.

Dodać też trzeba, że cała góra różańcowa nosi ślady dawnych, a wspomnianych już wcześniej XVII w. umocnień (bastionowych?). Do dziś pozostały resztki kamiennych lic wałów, mury oporowe itd. (fot. 6). Elementy te wymagałyby jednak szczegółowego i fachowego rozpo-

znania oraz naukowej inwentaryzacji. Fakt ten może stanowić jeszcze jedną, swoistą analogię Podkamenia z Częstochową. Obydwa klasztory w swym pierwotnym założeniu były bowiem nie tylko miejscami świętymi, ale również twierdzami. Kolejnym elementem podnoszącym walor miejsca i stanowiącym jego swoistą magię jest fakt, iż z góry tej przy dobrej pogodzie widoczny jest piękny widok na okolicę, a nawet na leżący w oddali monastyr, a mianowicie ławrę w Poczaiewie. Dwa stojące naprzeciw siebie klasztory dwóch różnych chrześcijańskich wyznań to jeszcze jeden element będący pozostałością dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Cały zespół, pomimo pewnych prac renowacyjnych, jest nadal bardzo mocno zdewastowany. Ponadto wskutek przejścia obiektu przez grekokatolików oraz w wyniku wykonywanego przez nich remontu obiekt traci powoli swój łaciński kształt architektoniczny i charakter. Pamiętać bowiem trzeba, iż bardzo często rzeczy takie dzieją się bez jakiegokolwiek nadzoru konserwatorskiego lub też wykonywany on jest bardzo niefachowo. Często również wykorzystuje się to jako swoistą okazję do legalnego zacierania śladów dawnej, wspólnej zarówno do Polaków jak i Ukraińców, przeszłości, do której współcześni Ukraińcy nie bardzo wiedzą jak się ustosunkować. □

Mieczysław Kowal

Chór im. Juliusza Słowackiego

Rzeszowski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Rzeszowie zaprosiła na koncert miasta Rzeszowa i okolic Młodzieżowy Chór Kameralny imienia Juliusza Słowackiego z Krzemieńca (Ukraina) w dniu 28 stycznia 2005 r.

Młodzieżowy Chór Kameralny im. Juliusza Słowackiego z krzemienieckiego college'u (będący spadkobier-

cą sławnego, założonego przez T. Czackiego i H. Kołłątaja, Liceum Krzemienieckiego, gdzie nauczycielami byli m.in. E. Słowacki – ojciec Juliusza, J. Lelewel, J. Korzeniowski, który w sierpniu 2002 r. otrzymał status Instytutu – Wyższej Szkoły) jest zespołem młodym. Jego założycielem był dyrygent Eugeniusz Lirski.



Fot. M. Kowal

Z prawej ojciec Cherubin Pajak – muzyk-poeta, kapelan chórów w Rzeszowie wręcza dyrygentowi pamiątki

Przez ostatnie trzy lata chórem kieruje utalentowany dyrygent Anatol Galiszewski, któremu bardzo pomaga jego żona Nelli Galiszewska, pod kierownictwem których chór niejednokrotnie występował w Krzemieńcu, Tarnopolu, Równem, Rzeszowie, Przemyślu, Jaworznie, Częstochowie, Krośnie, Chmielniku Podkarpackim i in.

Corocznie w dniu urodzin Juliusza Słowackiego – 4 września – chór występuje na konferencjach międzynarodowych poświęconych polskiemu wieszczowi, w których udział biorą profesorowie i studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego i Warszawskiego.

Z inicjatywy kompozytora Bohdana Klimczuka (dyrektora artystycznego chóru) podczas uroczystości

130-lecia sławnej ukraińsko-polsko-włoskiej śpiewaczki operowej Salomei Kruszelnickiej w Tarnopolu 6 października 2002 roku chórowi nadano imię urodzonego w Krzemieńcu Juliusza Słowackiego. Chór m.in. jest laureatem Wojewódzkiego Konkursu Chórów im. S. Kruszelnickiej w Tarnopolu oraz laureatem VII Międzynarodowego Festiwalu Pieśni Sakralnej w Łapach (Polska).

Kierownik artystyczny i dyrygent – Anatolij Galiszewski, akompaniatorka – Nelli Galiszewska, soliści: Jacek Ścibor – tenor (Rzeszów) i Mykała Błażenko – baryton (Tarnopol). Chór podczas koncertów w Rzeszowie i poza jego granicami był oklaskiwany i został ponownie zaproszony do Rzeszowa na Festiwal w bieżącym roku. □

Józef B. Zając

Sanktuaria Maryjne na Kresach Wschodnich

Sanktuarium prawosławne w Poczaiewie

Na miejsce dzisiejszej świątyni około 1240 roku przybyli mnisi uciekając przed wojskami tatarsko-mongolskimi z Ławry Peczerskiej i osiedlili się w Poczaiewie (oddalonym 23 km od Krzemieńca), który stał się miejscem świętym i ostoją tradycji prawosławnej. Dzięki ufortyfikowaniu góry, klasztor mógł się oprzeć najazdom. W tym miejscu Matka Boża objawiła się w słupie ognia, pozostawiając ślad w postaci odcisniętej prawej stopy na kamieniu. W miejscu tego śladu wytrysnęło źródło, z którego woda uzdrawiała i uzdrawia do dziś pielgrzymów. W roku 1597 Anna Kosińska-Hojska przekazała klasztorowi cudowną ikonę pochodzącą z Grecji. W 1675 roku, jak głosi tradycja, Matka Boża ukazała się nad klasztorem i ochroniła go przed najeźdźcami.

W XVIII wieku, na mocy decyzji synodu z Zamościa, zwierzchnik prawosławny klasztoru przyłączył się do Kościoła Katolickiego Obrządku Greckiego. Staraniem hrabiego Mikołaja Potockiego, starosty kaniowskiego, w 1773 roku cudowna ikona została przyozdobiona koronami papieskimi papieża Klemensa XIV, a sanktuarium w Poczaiewie nazwano Częstochową Unitów. Pielgrzymował tu m.in. Juliusz Słowacki z pobliskiego Krzemieńca.

Po powstaniu listopadowym w 1831 roku zakończył się katolicyzm w Poczaiewie, bo rząd carski przekazał klasztor mnichom prawosławnym. W 1833 roku Święty Synod Prawosławny ustanowił Ławrę Poczaiewską – czwartą co do rangi Cerkwią Rosyjską. Krąży opinia, że ostatni archimandryta wywiózł i ukrył cudowną ikonę, a mnisi prawosławni twierdzą, że ikona znajduje się wewnątrz soboru Uspieńskiego.

Poczaiew przejął zwyczaje cerkwi rosyjskiej, a w okresie do 1939 roku nawet nabożeństwa odbywały się według czasu moskiewskiego, dzięki czemu po wkroczeniu na Kresy armii sowieckiej w 1939 roku klasztor ocalał.

Poczaiew ma swoich świętych, a mianowicie: św. Jowa (Hioba), zmarłego w 1651 roku w wieku stu lat i św. Amfilocha, zmarłego w 1971 roku.

Na terenie Ławry jest siedem cerkwi, w których odprawiane są Msze św. zamawiane przez pielgrzymów. W czasie wielkich świąt zjeżdża tu olbrzymia rzesza pielgrzymów. Główne uroczystości Maryjne odbywają się 28 sierpnia (Zaśnięcie Matki Bożej), 21 września (Narodzenie Matki Bożej), a ponadto 5 sierpnia to dzień poświęcony pamięci cudownej ikony.

Zlokalizowana i ufortyfikowana na górze Ławra Poczaiewska z daleka sprawia wrażenie twierdzy.

Poczaiew to święte miejsce nie tylko prawosławia, ale i innych wyznań, gdzie Matka Boża odbiera należną Jej część.

Sanktuarium grekokatolickie w Zarwanicy

Zarwanica – to wieś w województwie tarnopolskim, sławna z cudownej ikony Matki Bożej, która w roku 1240 objawiła się zakonnikowi, który uciekając z Kijowa przed Mongołami zatrzymał się, wyczerpany, właśnie we wsi Zarwanica. Ikona ta znajdowała się w cerkwi parafialnej grekokatolickiej Przenajświętszej Trójcy i należy do najstarszych ikon na Ukrainie. W 1867 roku Ojciec św. Pius IX koronował ikonę i nadał Zarwanicy tytuł odpustowego miejsca.

Największe straty poniosła Zarwanica w czasie totalitarnych rządów Związku Radzieckiego. Z powstaniem niepodległej Ukrainy jak Feniks z popiołów dźwiga się Zarwanica. Latem 2000 roku poświęcono zbudowaną nową cerkiew dla Zarwanickiej Matki Bożej.

Historia Zarwanicy owiana jest legendami. Jedną z nich mówi o tym jak kijowski mnich w tym miejscu zmożony snem nazwał ją Zarwanicą. W tym miejscu zbudował kapliczkę, w której umieścił ikonę Bogarodzicy. Ludzie doznali tu wielu łask i dlatego nawiedzali coraz liczniej to miejsce. O sławie tego miejsca dowiedział się książę trembowelski Wasylko i posłał swoją służbę po ikonę. Zarządca ikony nie oddał mówiąc, że książę powinien sam tu przybyć. Książę przyniesiono na noszach do kaplicy, gdzie wyzdrowiał. Z wdzięczności za uzdrowienie książę wybudował cerkiew, do której przeniesiono cudowną ikonę. Z czasem wieś się rozrosła. Pierwsza wzmianka pisana o Zarwanicy datuje się na rok 1458, jednak ślady prowadzą do czasów pierwszego tysiąclecia naszej ery. Jeden z właścicieli wioski, Roman Ochocki, znalazł na swojej ziemi wykopaliska jeszcze z okresów wcześniejszych. W latach 1662-1668 Zarwanicę niszczyli tureccy napastnicy. Spalili cerkiew i klasztor, jednak ikonę udało się uratować. Przeniesiono ją do nowej drewnianej cerkwi, wybudowanej w centrum Zarwanicy. W niej w 1740 roku umieszczono cudowny obraz Zbawiciela, który został uhonorowany w 1742 roku przez metropolitę lwowskiego Atanazego Szeptyckiego. W miejscu spalonej drewnianej cerkwi postawiono kamienny krzyż. W 1754 roku wybudowano murowaną cerkiew Świętej Trójcy, do której uroczystie wniesiono cudowne ikony.

W 1867 roku uroczyste ukoronowano ikonę Matki Bożej, a staraniem kardynała Jana Simeona Ojciec św. Pius IX nadał Zarwaniicy uprawnienia odpustowe. Od tego czasu rosła ilość pielgrzymów. W 1894 roku wybudowano murowaną kaplicę. Duże straty poniosła Zarwanica w pierwszej wojnie światowej. W 1916 roku spalono część budowli wsi i klasztor, który odbudowywano przez 6 lat. W budowie pomógł metropolita lwowski Andrzej Szeptycki, który w 1922 roku był w Zarwaniicy. Często gościem był również kardynał Józef Slipyj.

Po zajęciu Kresów przez Rosję Sowiecką w 1939 roku zabroniono odprawiania nabożeństw i działalności duszpasterskiej. W 1944 roku spalono przyklasztorną drewnianą cerkiew, zniszczono w ciągu dwóch lat klasztor, a w roku 1961 kaplicę. 23 listopada 1989 roku po 50-letniej przerwie została odprawiona Msza św. Od tego czasu Zarwanica wychodzi na nową drogę, by pełnić swoją misję. W 1991 roku odbudowano kaplicę i cerkiew.

Dla uczczenia 2000-lecia chrześcijaństwa w Zarwaniicy wybudowano wspaniałą cerkiew – Sobór Zarwanicki. Tu 22 lipca 2000 roku z udziałem duchowieństwa wszystkich wyznań Ukrainy i z udziałem biskupów z Polski został poświęcony Sobór Zarwanicki oraz Droga Krzyżowa.

Sanktuarium Matki Bożej w Jazłowcu

W odległości 16 km od Buczacza w województwie tarnopolskim leży miejscowość Jazłowiec znana z przepięknej figury (dłuta Oskara Sosnowskiego) zwanej Figurą Matki Bożej Jazłowieckiej, umieszczonej w kaplicy klasztornej w 1884 roku. W 1946 roku figura wraz z siostrami musiały opuścić klasztor i udać się do Szymanowa koło Warszawy, gdzie do dziś odbiera część. Matka Boża Jazłowiecka była koronowana koronami papieskimi przez kardynała Augusta Hlonda. W roku 1991 do Jazłowca wróciły siostry Niepokalanki. W kaplicy klasztornej stoi wierna kopia figury Matki Bożej Jazłowieckiej. W parku przyklasztornym znajdują się katakumby, w których spoczywają prochy 80 siostr Niepokal-

lanek z grobowcem Błogosławionej Matki Marceliny Darowskiej, założycielki Zgromadzenia.

W latach 1946-1991 miejscowa ludność opiekowała się katakumbami, dlatego nie zostały one zdewastowane. Obiekt klasztorny nie jest w pełni zwrócony siostram. Jeszcze w jednej części mieści się szpital. Siostry, w części im zwróconej, prowadzą Dom Rekolekcyjny oraz bazę noclegowo-żywniową dla pielgrzymów. Ponadto w zniszczonym kościele znajduje się płyta nagrobna Mikołaja Gomółki (1535-1591) kompozytora m.in. muzyki do psalterza polskiego w przekładzie Jana Kochanowskiego.

Siostry Niepokalanki pracują również w Buczaczu i Mikulińcach, a są w łączności stałej z Domem Centralnym w Szymanowie. Na podkreślenie zasługuje fakt bardzo dobrej bazy noclegowo-żywniowej, a to dzięki Siostron Julii, Marcie i Szymonie oraz wszystkim pracownikom świeckim.

Przedstawiając pokrótce historię trzech Sanktuariów Maryjnych na Kresach Wschodnich pragniemy zachęcić nie tylko Kresowiaków, ale i wiernych trzech wyznań do wzięcia udziału w organizowanej przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w dniach 12-20 lipca 2005 r.

PIELGRZYMCE,

która wyruszy z Bolesławca.

Pielgrzymi, oprócz wymienionych Sanktuariów, zwiedzą: Podkamień, Krzemieniec, Zbaraż, Tarnopol, Kamieniec Podolski, Chocim, Buczacz oraz złożą kwiaty na wspólnej mogile pomordowanych 60 lat temu Polaków w Baryszu. Ponadto pielgrzymi, będąc dwa dni we Lwowie, zwiedzą jego zabytki i odwiedzą Żółkiew.

Blisze informacje są udzielane telefonicznie: 075 732 3425 w Bolesławcu. Ilość miejsc ograniczona. □

Krystyna Angielska

Ballada o Lwowie

*Było niegdyś miasto takie piękne,
jedno z najstojniejszych polskich miast,
lecz wyrokiem losu niepojętym
cały blask i urok jego zgasł.*

*Ktoś się starał, żeby zapomniano,
że to było kiedyś polskie miasto,
a więc przyswojono nowe miana
lwowskim gmachom, ulicom i placom.*

*Obcy język wszędzie zapanował,
zamykano klasztory, kościoły,
lecz przetrwała sędziwa katedra,
w której Polak się po swojsku modlił.*

*I na przekór wynarodowieniu,
kultywując wiarę i tradycję,
garstka ludzi tutaj pozostała,
by utrzymać stracone pozycje.*

*Umrą tutaj, na ziemi swych przodków,
przekazując przyszłym pokoleniom,
że miłości do swojego grodu
nowe tysiąclecie nie wypłeni.*

MOJEMU MIASTU - LWIEMU GRODOWI
WPIĘKNIESTĄ ROZCINIE MASOŃCZYCH WYŚCIELEN
ZE LWOWA I KOSZOWA

BALLADA O LWOWIE
Słowa: Krystyna Angielska Muzyka: Bolesław Bros

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Roman Chrzastowski (1906-2005)



W dniu 8 marca 2005 r. odszedł od nas na zawsze w Katowicach Roman Chrzastowski, Lwowiec, zasłużony działacz kultury na Górnym Śląsku, nieustraszonego społecznika, oficer Armii Krajowej, od 1917 r. w okresie 88 lat silnie związany z harcerstwem, najstarszy harcerz w Polsce.

Urodził się 12 marca 1906 r. w Drohobyczu, woj. lwowskie.

Ojciec jego był artystą malarzem oraz profesorem rysunku i geometrii wykreślnej w szkołach średnich i artystycznych.

W roku 1928 ukończył XI Gimnazjum im. Śniadeckich we Lwowie i rozpoczął pracę w Urzędzie Miasta Lwowa, by utrzymać wcześniej osieroconą rodzinę, matkę i czworo nieletniego rodzeństwa.

W roku 1930 rozpoczął studia rysunku i grafiki na Politechnice Lwowskiej, przerwane po trzech latach na skutek likwidacji Wydziału. Od 1933 r. studiował historię sztuki na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Niestety musiał je przerwać na skutek trudności pogodzenia pracy zawodowej ze studiami.

W dniu 7 marca 1917 r. wstępuje do IV Lwowskiej Drużyny Skautowej im. gen. Kruka. W latach 1926-1936 drużynowy II Lwowskiej Drużyny Harcerskiej. W 1936 r. powołany zostaje do Komendy Chorągwi Lwowskiej ZHP. W maju 1936 r. zostaje mianowany harcmistrzem.

Bierze udział w wielu obozach, zlotach i wyprawach, w tym m.in.:

- 1922 r. – obóz drużyn lwowskich w Gdańsku,
- 1924 r. – I Narodowy Zlot ZHP w Warszawie,
- 1929 r. – II Narodowy Zlot ZHP w Poznaniu,
- 1932 r. – Narodowy Zlot Skautów Rumuńskich w Sibiu (Rumunia),
- 1933 r. – IV Światowe Jamborec w Gödöllő (Węgry),
- 1935 r. – Jubileuszowy Zlot ZHP w Spale,
- 1935 r. – Wyprawa na II Światowy Zlot Roversów na Ingarö (Szwecja),
- 1936 r. – Narodowy Zlot Skautów Rumuńskich w Brasov-Polana,
- 1939 r. – Obóz harcerzy lwowskich w Mamaia (Rumunia).

Od września 1939 r. w Sztacie Komendy Obszaru Wschodniego Harcerskiej Organizacji Niepodległościowo-Wojskowej podporządkowanej ZWZ we Lwowie.

W latach 1942-1944 w Inspektoracie AK Północ we Lwowie, ppor. ds. organizacyjnych w oficerskiej jednostce wojskowej.

Poszukiwany przez policję niemiecką przenosił się do Limanowej, gdzie współpracował z miejscową jednostką AK.

W 1946 r. osiedlił się w Katowicach, gdzie pracował w różnych instytucjach do czasu przejścia w roku 1993 na emeryturę.

Był m.in. w latach 1928-1939 członkiem Polskiego Towarzystwa Tatrzńskiego we Lwowie, a w okresie powojennym członkiem PTTK.

Był członkiem Polskiego Towarzystwa Archeologicznego. Był od 1968 r. założycielem i członkiem Oddziału Śląskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki.

Od 1971 r. był członkiem Katowickiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, jego Sekcji Muzealnej, której zbiory dały podwaliny obecnemu Muzeum Historii Miasta Katowic.

W latach 1981-1986 był członkiem Komitetu Budowy Pomnika Bohaterskich Harcerzy i Harcerzek poległych w obronie Katowic.

Był w roku 1976 założycielem i członkiem Kręgu b. Skautów – Harcerzy Najstarszej Polskiej Drużyny Harcerskiej I Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki.

Za swoją owocną działalność był wielokrotnie wyróżniany odznaczeniami resortowymi i państwowymi, w tym m.in.:

- Złotą Odznaką Zasłużonemu w Rozwoju Województwa Katowickiego,
- Odznaką Zasłużony Działacz Kultury,
- Złotym Krzyżem Zasługi,
- Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Do ostatnich dni swojego długiego życia pracował społecznie.

Odszedł od nas niezwykle szlachetny człowiek, gorący patriota, nieustraszonego społecznika, współtwórca Polskiego Harcerstwa, wielki miłośnik książki.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się 12 marca 2005 r. w Śląskiej Katedrze w Katowicach, gdzie po nabożeństwie żałobnym żegnali Go w przemówieniach pożegnalnych przedstawiciele: Szarych Szeregów, Armii Krajowej, Śląskiej Chorągwi ZHP, Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Biblioteki Śląskiej, Warszawskiego Towarzystwa Miłośników Książki, Katowickiej Izby Rzemieślniczej. Po uroczystościach kościelnych pochowano Śp. Romana na cmentarzu w Katowicach.

Niech Mu ziemia śląska lekka będzie.

Bolesław Bros

Śp. mgr inż. dr nauk tech. Stanisław Kopeczek (1913-2005)



Urodzony 23.05.1913 r. w miejscowości Itzany (Rumunia). Dnia 14 stycznia 2005 r. zmarł mgr inż. dr nauk technicznych Stanisław Kopeczek, zasłużony pracownik naukowy Politechniki Wrocławskiej, Politechniki Poznańskiej, Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu, Instytutu Mechaniki i Konstrukcji Maszyn Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze, Instytutu Mechanizacji Rolnictwa Akademii Rolniczej we Wrocławiu.

Szkołę powszechną i gimnazjum ukończył w Sandomierzu. Maturę zdał w Kamionce Strumiłowej w 1933 r. Po maturze zdał egzamin konkursowy na Politechnikę Lwowską Wydział Mechaniczny.

W 1936 r. został powołany do wojska do szkoły Podchorążych w Tarnopolu. Po ukończeniu odkomenderowany do 52 p.p. w Złoczowie.

Po powrocie z wojska ponownie zapisał się na Politechnikę Lwowską na trzeci rok studiów.

Wojna uniemożliwiła ukończenie studiów we Lwowie. W latach 1947-1951 ukończył studia wyższe stopnia magisterskiego na Wydziale Mechanicznym Politechniki Wrocławskiej.

Odszedł człowiek szlachetny, prawy, o wielkiej skromności i wielkiej wiedzy, cieszący się powszechną sympatią.

Kochał młodzież studencką i był lubiany przez studentów. Zawsze mile wspominał miasto swojej młodości – Kochany Lwów.

Msza św. została odprawiona 17.01.2005 r. o godz. 13.00 w kościele św. Wawrzyńca we Wrocławiu. Po Mszy św. odbył się pogrzeb na cmentarzu św. Wawrzyńca przy ul. Bujwida.

Pozostanie w naszej dobrej i wdzięcznej pamięci na zawsze.

Ukazały się drukiem

Szkoły lwowskie – monografie:

Tom I cz. A – Wyższa Szkoła Realna we Lwowie i jej przekształcenia (lata szkolne: 1873/74 – 1920/21), stron 456, ilustracje, indeksy, format B-5; Kraków 2002; ISBN 83-917122-1-4;

Tom I cz. B – Druga Szkoła Realna we Lwowie (lata szkolne: 1903/04 – 1920/21), stron 402, ilustracje, indeksy, format B-5; Kraków, 2003; ISBN 83-917122-2-2;

Tom I cz. C-1 – XI (jedenaste) Państwowe Liceum i Gimnazjum im. J. i J. Śniadeckich we Lwowie (nr 569); Dokumenty przeszłości (lata szkolne: 1922/23 – 1938/39); stron 414, ilustracje, indeksy, format B-5; Kraków, 2004; ISBN 83-917122-5-7;

Tom I cz. C-2 – XI (jedenaste) Państwowe Liceum i Gimnazjum im. J. i J. Śniadeckich we Lwowie (nr 569); Zachowane w pamięci [1] (lata szkolne: 1922/23 – 1938/39); stron 516, indeksy, format B-5; Kraków, 2004; ISBN 83-917-122-7-3);

Tom I cz. C-3 – XI (jedenaste) Państwowe Liceum i Gimnazjum im. J. i J. Śniadeckich we Lwowie (nr

569); Zachowane w pamięci [2] (lata szkolne: 1922/23 – 1938/39); stron 644, indeksy, format B-5; Kraków, 2004; ISBN 83-917-122-8-1);

Tom I cz. D – XII (dwunaste) Państwowe Liceum i Gimnazjum im. S. Szczepanowskiego we Lwowie (nr 570) (lata szkolne: 1925/1926 – 1938/1939); stron 256, ilustracje, indeksy, format B-5; Kraków 2003; ISBN 83-917122-3-0;

W przygotowaniu edytorskim jest **Tom II** monografii: **Prywatne Gimnazjum Humanistyczne im. Henryka Jordana we Lwowie (właściciel: Mieczysław Kistrzyn)** lata szkolne: 1909-1939; zachowane w pamięci i dokumenty przeszłości; ISBN 83-917122-9-X. Termin ukazania się drukiem tej pozycji: II kwartał, 2005.

Autor i wydawca

J. Kowalczyk

ul. Lublańska 24/2; 31 476 Kraków

E-mail: kajot@geol.agh.edu.pl

tel. (12) 411 36 41

Informacja

Zarząd Oddziału Buczaczy TMLiKPW informuje, że Oddział Buczaczy we Wrocławiu wydał książki:

1. „Buczaczanie piszą wiersze”, stron 198, cena z przesyłką 10 zł,
2. „Ostatni spoczynek Buczaczan”, stron 331 z 34 zdjęciami, cena z przesyłką 20 zł.

Książki można otrzymać po wpłaceniu należności na konto TMLiKPW Oddział Buczaczy we Wrocławiu PKO-BP IV O/Wrocław, Nr 49 1020 5242 0000 2502 0136 1799. Informacji udzieli Redakcja „Głosu Buczaczan” 53-407 Wrocław, ul. Preflicza 51/5 lub telefonicznie: (071) 783 90 98, 0 605995066.

Prezes Władysław Szklarz

Gdzie kupić „Semper Fidelis”

Przypominamy mieszkańcom **Warszawy** i okolic, że pismo „Semper Fidelis” jest do nabycia w Galerii Myśliwskiej Elite Expeditions przy ulicy Tarczyńskiej 1, której właścicielką jest lwowianka p. Izabela Malec, tel. (022) 8245969 (koło hotelu Sobieski).

Informujemy także PT Czytelników „Semper Fidelis” we **Wrocławiu** i okolicy, że nasze czasopismo sprzedawane jest w księgarni „Ossolineum”, która obecnie – po przeniesieniu z Rynku – znajduje się przy ul. Kollataja 16 (w pobliżu Dworca Głównego PKP).

Lista Ofiarodawców w miesiącach IV-V 2005 r.

1. TMLiKPW Toruń

na wydawnictwo 300.-

2. Elżbieta i Andrzej Poraj-Malina, Warszawa,

na wydawnictwo 200.-

3. H. J. Stokłosowie, Ostrowiec 60.-

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Contents

Józef Pieluszczyk – On a very controversial programme broadcasted by the Polish Radio III	1
Zbigniew Umański – Roots and character of Wrocław City	2
Zbigniew Umański – Borderland Diary	3
Kazimierz Wesołowski – Sixty years passed since our arrival to so called "Regained Territories"	7
Maria Poznańska – Our attendance at the meeting with Holy Father at Monte Cassino	10
Elżbieta Żołyńska – Sixtieth anniversary of World War II as celebrated in Bolonia, Italy	11
Władysław Stążka – Former and recent recollections. Sixty years of teaching medicine in Lublin (II)	13
Tadeusz Ulrych – My curriculum vitae and war fates (II)	16
Iwo Werschler – The murder of Tadeusz Hołówko at Truskawiec	19
Stanisław Majerski – Academic Legion at Lwów university colleges	22
Edward Gil – Adolescent years of Holy Father John Paul II in the Lwów Land. My pilgrimage to Lwów	24
Jerzy Duda, Dariusz Dzionek – Józef Krajewski – composer and educator	26
Jerzy Duda – The memory of Polish Borderland displacements	27
Zbigniew Umański – The Cemetery of Lwów Defenders – destruction and reconstruction	29
Grażyna Hońdo – Meeting of The Eaglets school youth	33
Anna Celińska, Wojciech Tesarczyk (nauczyciele historii), Marlena Sicińska, Elżbieta Wojdat (nauczyciele-bibliotekarze) – Relation of the celebration of "Lwów Eaglets and the City" at Lublin grammar-schools	34
Małgorzata Deska – Eminent Lwowers as patrons to Częstochowa schools	35
Maria Helena Dobrowolska – Polish Armenians	35
Maria Janowska – Childhood memories of our family's deportation to Siberia (II)	36
Anna Chłech – Unveiling and consecration in Katowice of the Plate commemorating the victims of Ukrainian murders of Poles in the Borderland in the years 1939-1947	40
Kazimiera Głogowska-Gosz – Pnikut, a small town in the former Polish South-East Borderland	41
Piotr Franków – KRESOVIANA 2005 at Gorzów Wielkopolski	46
Henryk Mitraszewski – Meeting with Lwów and Borderland Songs at Jelenia Góra	48
Janina Oparowska – We may not forget... .. a poem	49
Janina Oparowska – We may not forget... .. a poem	50
Henryk Mitraszewski – Polish heroines of yonder years	50
Aleksander Smoliński – Without "Fire and Sword". Sentimental journey across independent Ukraine in search of traces after the former Republic of Both Nations. Part III. Złoczów – Podkamień (II)	52
Mieczysław Kowal – The Juliusz Słowacki Youth Chamber Choir from Krzemieniec on performance at Rzeszów	56
Józef B. Zając – St Mary's sanctuaries in the East Borderland	57
Krystyna Angielska – A ballad of Lwów	58
OBITUARY COLUMN	
Bolesław Broś – The late Roman Chrzastowski (1906-2005)	59
The late Dr Stanisław Kopeczek (1913-2005)	60
J. Kowalczyk – The Schools of Lwów – monographs	60
Władysław Szklarz – Information	60



Zrekonstruowane pomniki Lotników Amerykańskich i Piechurów Francuskich czekają gotowe do powrotu na Cmentarz Obrońców Lwowa. Fot. Janusz Smaza